

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/596

1997



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

St. KOSSOWSKA: **PANI MARIA**

St. ABNER: **Z NORDYCKIEJ PERSPEKTYWY**

A. STACH: **ROZMOWA Z MARCELEM
REICH-RANICKIM**

B. OSADCZUK:

UKRAINA – MIĘDZY REFORMĄ A MAFIĄ

SPIS RZECZY

Stefania Kossowska:	<i>Pani Maria</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski sotowieckie (III)</i>	8
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Wileńszczyzna po wyborach do samorządów</i>	19
—	<i>III Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego</i>	28
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i>	29
WYWIADY „KULTURY”		
Andrzej Stach:	„Trzeba mówić jak najjaśniej” — <i>Rozmowa z M. Reich-Ranickim</i> ..	41
Z PERSPEKTYWY POGRANICZA		
Krzysztof Czyżewski:	<i>Jechać do Gdańska, Stanisławowa</i>	63
SPRAWY I TROSKI		
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	71
Anna Strońska:	<i>Polonez na pogorzeliśku</i>	79
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Galimatias wokół AWS</i>	83
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	90
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina — między reformą a mafią</i>	106
CI, CO ODESZLI		
Krzysztof Pomian:	<i>O Arturze Międzyrzeckim: wspomnienie</i>	113
NOTATKI REDAKTORA		
123		
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Alarmująca ekskomunika</i>	126
—	<i>Zbyt liberalny tygodnik katolicki</i> ..	130
KRONIKA KULTURALNA		
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Czytelnictwo polskie na emigracji</i>	132
Sławomir J. Żurek:	<i>Szagalowa ostatni spadkobierca</i> ..	135
—	<i>Hawthornden Castle</i>	138
—	<i>Ukraińsko-polskie sympozjum</i>	138
KSIĄŻKI		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rozdroże</i>	140
Leszek Szaruga:	<i>Badania kresoznawcze</i>	146
Wanda Polak:	<i>Stasi w oczach polskich historyków</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	154
—	•	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	156
J. Jestal:	<i>List do Redakcji</i>	159
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1997

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Nicolas Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA) – po raz 27-my – dol. 30,00	F. 150,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciela Stefana Strelcyna w szes- nastą rocznicę Jego śmierci – Kamila Halpern-Chylińska, Kolonia (Niemcy)	F. 300,00
Ewa Jędruchowa, Summit, N.J. (USA) – dla uczczenia pamięci mojego Męża dr. Jacka Jędrucha – w drugą rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00	F. 500,00
Jadwiga Juchniewicz, San Remo (Włochy) – po raz 21-szy ..	F. 200,00
Krystyna i Henryk Mucznik, Effretikon (Szwajcaria) – dla uczczenia pamięci naszego Brata i Szwagra mgr. inż. Henryka Ostrowskiego – w 13-tą rocznicę Jego śmierci .	F. 300,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz drugi	F. 500,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – po raz 46-ty – dol. 20,00	F. 100,00
W trzecią bolesną rocznicę śmierci śp. Brata Tadeusza Ungara – siostra Jadwiga oraz koledzy, Irvington, N.J. (USA) – dol. 500,00	F. 2.500,00
Zamiast kwiatów w pierwszą rocznicę śmierci mojej Matki, dr Stanisławy Dziubakowej – syn z rodziną, St. Germain-en- Laye – Fourqueux	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

SPROSTOWANIA

Zamieszczając w marcowej *Kulturze* wykaz tegorocznych nagród im. A. Jurzykowskiego, popełniliśmy błąd w nazwisku jednego z laureatów – wybitnego matematyka prof. Stanisława Świerczkowskiego (napisaliśmy Świerczewskiego). Przepraszamy. REDAKCJA

W numerze kwietniowym *Kultury*, z winy drukarni, zostały przedstawione strony 35 i 39 (nienumerowane). Bardzo przepraszamy Autorów i Czytelników. REDAKCJA

Pani Maria

Kazimierz Wierzyński powiedział o Marii Danilewiczowej, że ma dwa serca. Jedno należy do Biblioteki – miał wtedy na myśli Bibliotekę Polską w Londynie – a drugie do pisarstwa. Przypomniał te słowa prof. Andrzej Kłossowski w swym *laudatio*, wygłoszonym w Warszawie z okazji przyznania Marii Danilewicz Zielińskiej nagrody edytorskiej Polskiego PEN Clubu w 1996 r. I sam pomnożył ilość jej serc, oddanych różnym dziedzinom życia zawodowego i osobistego.

Można w tym życiu odróżnić i inny podział – dziesięciolecie przedwojenne i dwa, niemal równo przełamane, okresy od wojny – londyński i portugalski.

W tym pierwszym dziesięcioleciu, jeszcze jako studentka, rozpoczęła pracę w powstającej po wojnie Bibliotece Narodowej w Warszawie i gdy w 1978 r., w 50-lecie Biblioteki, spisywała – z fenomenalną pamięcią nazwisk i szczegółów – swoje o niej wspomnienia, siebie usunęła na margines, jako jedną z wielkiego zespołu. Ale do tej wspólnej pracy zdążyła dodać osobiste osiągnięcia: rozszerzała swe studia zawodowe, napisała pracę magisterską o Tymonie Zaborowskim, autorze „Dum podolskich”, rówieśniku Mickiewicza i pracę doktorską o życiu dawnego Liceum Krzemienieckiego, której już nie zdołała złożyć. Zaczęła też swą ogromną później działalność edytorską od pilnie potrzebnych wtedy podręczników naukowych, przechodząc z kolei do opracowania pism zebranych Zaborowskiego, które ukazały się w 1936 r., w objętości 600 stron. Jej notatki o dokumentach krzemienieckich nie przeżywały wojny.

W Anglii Maria Danilewicz znalazła się dopiero w 1942 r.

po perypetiach wojennych we Francji, Hiszpanii i Portugalii, gdzie obok opieki nad uchodźcami, jaką prowadzili oboje z mężem Ludomirem, pisała broszury na tematy literackie i biblioteczne, organizowała wieczory autorskie w polskich ośrodkach uchodźczych (w jednym z nich w nieokupowanej Francji przebywał Józef Łobodowski) i zanim Paryż został zajęty przez Niemców, w Bibliotece Polskiej pomagała przy ewakuacji do Kanady i ukrywania we Francji paryskich zbiorów bibliotecznych.

Londyński etap, który trwał ponad 30 lat, choć mieściło się w nim i własne pisarstwo, i różne inne aspekty pracy zawodowej, może mieć jeden wielki tytuł – Biblioteka Polska. Powstała ona w Londynie na początku wojny z dwóch zbiorów, gromadzonych przez uchodźcze urzędy oświatowe w Anglii i kierownictwo jej powierzono Marii Danilewiczowej.

Rodowód nowej Biblioteki i jej zadania były niepodobne do innych bibliotecznych życiorysów. Nie było to zwykłe nabywanie książek, układanie ich na półkach i profesjonalne nimi gospodarowanie. Londyńska Biblioteka miała misję i to podwójną. Jedną z nich było gromadzenie zbiorów z myślą o przekazanie ich kiedyś do pustoszonej biblioteki w kraju¹ a także tworzenie archiwum wszystkiego związanego z Polską. Rosły zbiory „poloników” – książek, dokumentów, map, fotografii itd. itp., często z prywatnych darów, wyszukiwane po antykwariatach, kupowane na licytacjach. I zbierano każdy, najdrobniejszy nawet świstek, mówiący o polskiej wojnie i sytuacji w okupowanym kraju.

Obok tej historycznej dokumentacji, drugim zadaniem Biblioteki była troska o upominających się o książki coraz liczniejszych Polaków w Anglii, a więc tworzenie dla nich księgozbiorów literackich, politycznych i czysto naukowych.

Zgodnie z potrzebami, Danilewiczowa budowała i organizowała Bibliotekę, wprowadzała do niej nowoczesne metody i sama zdobywała miejscowe kwalifikacje zawodowe, które jej umożliwiały nawiązywanie stosunków z angielskimi bibliotekami i przedstawicielami naukowych instytucji. Stosunki te okazywały się pożyteczne w pracy i jeszcze bardziej

1. W latach 1945/46 i w r. 1950 Biblioteka przekazała blisko 20 tysięcy tomów do ośrodków uniwersyteckich w Polsce.

w różnych trudnościach i niebezpieczeństwach, jakie nieraz groziły Bibliotece. A kryzysów większych i mniejszych nie brakowało i nie zawsze było łatwo Danilewiczowej dać sobie z nimi radę. W walkach o losy Biblioteki używała wszelkiej broni, od twardych argumentów do żarliwych wybuchów, a bywało, że i do łez, co przeważnie przynosiło zwycięstwo. Pomocne w tym było ogromne uznanie dla Biblioteki społeczności polskiej, która dała tego wyraz, składając ponad 20 tysięcy podpisów pod apelem do władz angielskich o zachowanie Biblioteki, gdy w pewnej chwili Anglicy uznali, że już jest „niepotrzebna”.

I znowu w londyńskim okresie, jak przed wojną, pani Maria w cudowny sposób mnożyła swój czas i swoją energię. Obok Biblioteki, pochłaniającej – jak mogłoby się wydawać – życie, umiała znaleźć czas na własne pisarstwo, do którego namawiali ją tacy ludzie jak Kazimierz Wierzyński czy prof. Stanisław Kot, a któremu nie mogła poświęcić tyle czasu ile jej literacki talent wymagał.

Po zbiorze opowiadań „Blisko i daleko”, wydała powieść „Dom”, związaną z ziemią kujawską jej młodości². Stale pisała literackie eseje i opowiadania do *Wiadomości* i *Kultury*, omawiała dla Radia Wolna Europa książki polskie, jakie ukazywały się w kraju i poza nim, i nie uchylała się od żadnej z prac, jakie na nią nieraz egoistycznie zwalano, wiedząc że nie odmówi, bo uważała je za swój obywatelski obowiązek. Więc brała udział w ciągłych zebraniach, komisjach, sądach konkursowych, pisała referaty naukowe, okolicznościowe artykuły, przewodniczyła, przemawiała. Jak w tym wszystkim znalazła czas na życie prywatne? Na to, by stale chodzić na balety, swoją pasję? (Podobnie jak przed wojną na wodne wyprawy z mężem). I na taką dbałość o swój wygląd, by – ku zazdrości kobiet i zachwytowi męża – żelazną dyscypliną doprowadzić swą figurę do młodzieńczej smukłości?

W latach 50-tych i 60-tych Biblioteka była najpopularniejszą polską instytucją w Londynie. Mieściła się przez wiele lat wygodnie dla wszystkich, w „polskiej dzielnicy” South Kensington i zawsze było w niej pełno. Dziś Polacy w Anglii książek nie kupują ani nie czytają, tylko sami je piszą, ale

2. Zbiór szkiców literackich pt. „Pierścień z Herkulanum”.

wtedy kupowano je i czytano masowo. Do wypożyczalni przychodzili nowi emeryci, nie tylko po książkę, ale żeby sobie posiedzieć i pogadać po polsku o swych sprawach, młodzież po podręczniki, Polacy z kraju po zakazane tam książki, Anglicy, zagubieni w potrzebnej im wtedy (nie tylko naukowo!) „polszczyźnie”. Jeśli kogoś zawiodły poszukiwania w ponad stu tysiącach pozycji katalogowych, i pomoc odczytanych i zawsze gotowych do pomocy pań pracujących w Bibliotece, zawsze była na miejscu p. Danilewiczowa, która – jak mówiono – nawet obudzona w nocy, umiała odpowiedzieć na każde pytanie: tytuł, autor, rok wydania, niemal numer strony.

W 1973 r. Maria Danilewiczowa przekazała Bibliotekę w inne ręce i wyjechała do Portugalii, wyszedłszy za mąż po kilkuletnim wdowieństwie, za Adama Zielińskiego, b. dyplomatę, którego poznała przed 30 laty, gdy w czasie wojennych wędrówek pracowała w jego biurze prasowym w Lizbonie.

Dr Zieliński, kolekcjoner wspaniałych poloników, wyrobił sobie duże stosunki w kulturalnych sferach portugalskich, które umiał zainteresować Polską i Pani Maria przyłączyła się do dalszego ich utrzymywania. Jednocześnie, jak to ona, nie ustawała we własnej pracy. Tam powstały jej „Szkice o literaturze emigracyjnej”, bez których nie można mówić o znajomości tej literatury. Jest to niezawodne źródło każdej informacji, nawet o ludziach i ich pracach doszczętnie przez innych zapomnianych, i jednocześnie doskonała lektura. Bo autorka nie trzyma się suchego, encyklopedycznego szablonu podobnych prac, tylko znając osobiście niemal wszystkich, o których pisze, nie ukrywa swych sympatii i antypatii i często jakąś anegdotą czy cienką złośliwością dodaje pikanterii swojej relacji.

Nie poprzestała na tym. W Feijó powstały inne książki, bibliografia *Kultury*, dalsza współpraca z pismami i z RWE, do końca jego istnienia. I rósł ogromny dorobek edytorski, ukoronowany w ostatnich latach opracowaniem monumentalnych „Mickiewiczianów” na podstawie kolekcji dr. Niewodniczańskiego z Niemiec. I trwała nieprzerwana łączność z życiem kulturalnym kraju, ostatnio jeszcze bardziej wzmożona. Na cyplu Europy, w ślicznym domu-muzeum w ukwieconym ogrodzie, Pani Maria wie wszystko, co w Polsce

się dzieje, co się pisze, co czyta. Stale przyjeżdżają do niej ekipy telewizyjne, dziennikarze po wywiady, pisarze, uczeni, młodzi i starzy, a jeśli nie mogą przyjechać to telefonują, piszą, pytając o wspomnienia, prosząc o informacje.

Maria Danilewicz Zielińska pamiętana jest w Polsce jak mało kto z dawnych emigrantów, w tym najserdeczniej przez jej *alma mater* Bibliotekę Narodową. Mogłaby już sobie założyć małą biblioteczkę z własnych książek wydawanych w Polsce (wśród nich bibliofilskie tomiki kilku opowiadań) i tego, co napisano o niej. Ukazał się w Bibliotece *Więzi* (1992) jej zbiór szkiców literackich „Próby przywołań”, i w tym samym roku drugie wydanie „Szkiców o literaturze emigracyjnej” (Ossolineum), w ubiegłym roku Biblioteka Narodowa wydała jej „Książkę i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii”, a u wydawcy czeka wybór jej opowiadań.

W jubileuszowym roku życia nie ma dla Pani Marii wycieczki. Rano zobaczy co zakwitło w ogrodzie, nakarmi bezpieczne koty, ale już musi wrócić do pracy. Listonosz podrzuca co dzień specjalny worek, przeznaczony na jej korespondencję. Na pewno są w nim nowe książki ze świata, a wśród listów może i podobne do tych, jakie dostawała w Londynie. „Czy mogłaby mnie pani poinformować jaki jest tytuł broszury o Mickiewiczu, wydanej po angielsku jakieś 50 lat temu, zdaje się w Ameryce i kto ją napisał”. Albo – „...czy to jest cytata z Norwida a jeśli tak to skąd, a jeśli nie to czyja”.

Pani Maria siada do biurka, chwilę pomyśli, gdzieś zajrzy i pisze tytuł, rok, miejsce wydania. I nie, to nie Norwid, to Garczyński i poprawny cytat brzmi: „Czy od razu pojęty – czy będzie pojętym –/ Tylko ten mistrzem w sztuce – wielkim jest pisarzem”.

Nieważne ile serc przypisuje się Pani Marii i na ile części dzieli jej życie. Pod każdym niebem, własnym czy obcym, przez wszystkie długie lata, jedynym wyznacznikiem tego życia jest polskie słowo. Książka.

Stefania KOSSOWSKA

Zapiski sołowieckie (III)

19 stycznia 97

Wiadomość z Archangielska. Mielnica wyskoczyła przez okno. Z piątego piętra. Przy upadku jej głowa rozpukała na dwoje. Dubrawa potem opowiadał, że pod koniec była smutna, często mówiła o Wyspach i miewała puste, nieobecne oczy. W ów feralny dzień, jak zwykle po kolacji poszedł do siebie, by jeszcze popracować, a ona została w kuchni pozmywać naczynia. Raptem w mieszkaniu zapachniało świeżym, mroźnym powietrzem. Tknięty złym przeczuciem wybiegł z gabinetu. Okno w kuchni było otwarte na oścież, wiatr targał firanką, a na dole, pod domem na białym śniegu czerniał nieforemny kształt... niby lalka z pakułów. Na stole zostawiła wiersz-kołysankę. O tym, że wleci nad Wyspami, swoją jedyną ziemią, której nie zdąży dotknąć rękami, bo wiatr z Północy ją podchwyci i rozmieci: u morza posieje, na wydmach zapomni, w lesie roztrwoni, po drodze zgubi, a resztę biczom w posiołku rozda, na wypominki. I nie minie dni czterdzieści, a niebo, co w oczach zastygło, znów będzie czyste.

Cztery dni później ciało Mielnicy przyleciało na Sołowki, samolotem. Najpierw chcieli wieźć ją do kostnicy, ale potem zapadła decyzja, by zwłoki w petersburskiej gostinicy wystawić – w siedzibie muzeum. Kolektyw muzealny wziął

pogrzeb na siebie, wszak kiedyś tam pracowała. Rozdzielono role: kto potrawy na stypę, kto dyżury przy ciele, kto wykopie grób. Trumnę ustawili w palarni, dokąd na *pieriekur* wychodzą – w starym zapachu taniego tytoniu – na dwóch długich stołach z kancelarii. Po bokach krzesła, po cztery w rzędzie, z opuszczanymi siedzeniami, zgoła jak w kinie. Szepty w półmroku, szelesty i szlochy. Trumna otwarta, głowa obwiązana bandażem, wgniezione czoło, twarz odęta, obca. Usiadłem wśród bab na czarno. Szepty ścisły.

Pełgają świece, film wyświetlają, pod przymkniętymi powiekami. Pierwszy dzień na Sołowkach. Początek października. Przyjechaliśmy wprost z Abchazji, z wojny. Błota żółto się żarzyły, osina już pokraśniała, a morze było zielonkawie, jak butelkowe szkło. W powietrzu pachniało świeżo solonymi śledziami i zbutwiałą morską trawą. Posiołek jakby wyludniony; tylko psy się szwendały, i kozy. W hotelu pusto. Dziewczę z recepcji ze zdziwienia wyjść nie mogło, że korespondent i do tego cudzoziemski. – Po co przyjechali – spytało. – Ach, zwiedzać? To niech do redakcji zajrzą, do *Sołowieckiego wiestnika*. Tam główny redaktor siedzi, zacna kobieta, ona wszystko pokaże, opowie. – I rzeczywiście. To była Tonia...

Trzeszczą schody w korytarzu, nowe babki przyszły, pijanice. Gapią się chciwie, moszczą się długo, na ziąb postują. (W muzeum pękła rura i ogrzewanie wyłączyli). Siedzimy zakutani, w szubach, w walonkach. Staruchy powoli milkną, zapadają w siebie, czasem któraś chlipnie, jak przez sen... wyłaniała się stopniowo z redakcyjnego kantorka: najpierw wielka – jak młyn (stąd Mielnica) – bryła ciała i twarz zdumionej dziewczynki, potem dobre oczy za grubymi szklami i leciutka woń alkoholu, wreszcie ciepłe ręce i nieśmiały uśmiech. Właśnie numer złamała i do lasu się wybiera, więc jeśli chcemy, to możemy pójść razem – po drodze porozmawiamy. Wyszliśmy z posiołka. Popołudnie, babie lato, porudziało brzozy. Rozgrzany piach, rozgrzany mech. Gadamy leniwie, ni to, ni sio. O wszystkim i niczym zarazem. Tak do cmentarza przegadaliśmy. Tam, tuż za bramką, z samego kraju, leży Julka. Poetka i przyjaciółka Toni. Powiesiła się w lesie, zostawiając tomik wierszy, czworo dzieci i męża, też poetę. Miała 25 lat. Duże zdjęcie na żelaznym krzyżu, a na

zdjęciu duże oczy, czarne. Czy zastanawiałeś się, kiedykolwiek, gdzie ciebie położą, i zakopią? – Nieco dalej, przez chaszczę, grób nieznanego zeka. To był Tonin pomysł: kopczyk z kamieni, usypany rękami dzieci i wnuków ofiar SŁON-a. Bowiem w kamieniach, jak w słowach, żyją nasi przodkowie, ich duchy. Już Saamowie to wiedzieli... Kluczymy między grobami, liście szeleszczą, słońce się sączy, tu krzyż prawosławny, tam gwiazda czerwona, a na każdej mogile stakańczyk. Można przyjść, przysiąc, wypić...

W korytarzu znowu szum się zrobił. Babule hurmą wychodzą. Zamarzyły. Któraś klnie dosadnie, i naczałstwo, i świat cały. Reszta pokasłuje, do wtóru. Przyszedł Pietja, osłuszniak (były posłuszniak monastyrski, który posłuszeństwo wypowiedział), na rauszu. Będzie psalmy czytał. (Mnisi odmówili, bo samobójczyni). Zaczął cicho, mormorando, w głębi siebie, potem głośnie, monotonnie, w takt się kiwa. Grązę się w kozuch, we wspomnienia. Świece drżą. Psalm bieży, niczym droga brzegiem morza. *Czielowiek, jako trawa dni je go, jako cwieta siel'nyj, tako oswietiot...* doszliśmy do cypla labiryntów. Przysiadamy na kamieniach, palimy. – Jeśli chcesz stąd wyjechać nie włącz w labirynty Saamów. To pułapka na dusze, i przepadniesz. Jak ja – zamysliła się. Morze pluszcze, mewy krzyczą. Idziemy dalej. Po stwardniałym piachu, grzęznąc w zwałach glonów. Anfelcja, fokus, laminaria. Ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać o sobie, beładnie. Jej pradziadek był Polakiem (bodaj Przegodzki), zesłanym na Ural, a ojciec – alkaszem i bardem. Uwielbiała go. Za to matki nienawdziła, od dziecka, i marzyła, że jej piškę nożyczkami wytnie. Ojciec rzadko przychodził do domu, zwykle po pijaku. Zdejmowała mu buty, pomagała się rozebrać, wysłuchiwała bełkotliwych wierszy, opowieści zawikłanych jak życie, fabuł nie z tej ziemi. Potem matka odebrała sobie życie (*natożila na siebia ruki*), a ojciec przepadł. Dalej ciotki, internat, szkoła, pierwszy chłopiec. Pierwsza wódka, pierwsze wiersze. Odnalazła ojca, dogorywał w R. Zapijaczony, zropaczony, tak umarł... zamilkła. Brzeg wił się, w zatokach błędził, jak jej historia. Z miraża Zajęcze wyjrzały, znienucka. Słońce łamało tam światło, raniło wzrok. Po chwili podjęła opowiadanie, przeskakując parę wątków. Na Sołowki przyjechała dwadzieścia lat temu. Z mężem i

synem, Alioszką. Sasza, jej młodszy, tutaj się urodził. Od razu poczuła, od pierwszego wejrzenia, że to ziemia dla niej. Że tu zostanie. Mąż nie wytrzymał, zabrał starszego i wyjechał. Potem parę razy wracał, wreszcie rozwód, przestał pisać. Na początku było ciężko, samej, zwłaszcza zimą, ciągle ciemno, ciągle tęskno. Niskie niebo przygniatało, wiatry duszę wywiewały. W końcu przywykła, zaczęła pić. Pracowała w muzeum, zajmowała się SŁON-em. Wtedy to nie było dobrze widziane, moda na łagry jeszcze się nie zaczęła. Ale wystawę zrobili, pierwszą w Sojuszu, i mapę zon dla „Memoriału”, i film z Gołdowską, *Wlast' sołowieckaja* (czytała w nim, zza kadru, zekowskie listy, które znalazła na Sekiernej górze, między cegłami). Latem oprowadzała wycieczki, zimą pisała wiersze. A Sasza rósł, rok za rokiem mijał, jak mężczyźni w łóżku: to wyrazisty, to nijaki. Wreszcie pojęła, że muzeum nie dla niej, tam pamięć balsamują i z turystów chcą żyć. Zaczęła więc robić *Sołowieckij wiestnik*, czasy temu sprzyjały: *glasnost'*, *pieriestrojka*, *et cetera*. Niebożenko dał *dieńgi*; ktoś *po blatu* druk załatwił i poszło, jak za SŁON-a. Sołowki znów miały swoją gazetę. Gazetę, dzięki której i tamto ożyło, i dzisiejsze zaistniało: wiersze zeka i Julki na wspólnej szpalcie, reportaże ze SŁON-a i szkice z posiołka, sylwetki umarłych obok żywych. Pracowała jak w transie. I piła coraz więcej, bo bez wody nie wytrzymasz tu długo – koszmary zadławiają. Tutaj ściany płaczą, grzyby rosną na trupach, a landszaft do życia nie przystaje, jak dekoracje z innej sztuki. Latem jeszcze pół biedy, bo turyści, goście, gwar. Ale zimą, kiedy Sołowczanie sam na sam zostają z tym wszystkim, zimą tu z *uma* się schodzi. A jednocześnie zima na Sołowkach jest porą osobliwą, porą dla wybranych; zimą możesz tu spotkać samego siebie na zaśnieżonym pustkowiu: – Przyjedź Mar zimą na Wyspy...

Pietja utknął w pół psalmu, zasnął... Raptem zrobiło się tak cicho, że słycać jak lód potrzaskuje w morzu, jak skrzypią kry. Już w pół do drugiej. Za oknem pełnia, świat, niczym lukrem obłany, to połyskuje, to cieniami się wyciąga. Gdzieś czytałem, że Samojeudy nazywają styczniowe noce „białymi”, albowiem księżyc wisi wtedy nisko, jak lampion, a śnieg i lód rozpraszają srebrną poświatę.

– ...bo w zimie można tu zobaczyć podszewkę świata.

Paweł Florenskij pisał, że rzeczywistość na Północy jest cieńsza, niż gdzie indziej, jak sweter wytarty na łokciach, i prześwieca przez nią tamten świat. Wystarczy *siewiernoje sijanije*, by poczuć kosmos na karku, i cisza polarnej nocy, by usłyszeć... – nie dokończyła, jakby się zlekła, że za dużo powie. Wracaliśmy do posiołka wąską mierzewą, oddzielającą Kwaśną zatokę od morza. Słońce siadało za Psią łudą, oblewając brzegi purpurowym światłem. Mchy na wydmach wyglądały jak czerwony plusz. Chrzęścił piach. Tonia mówiła dalej. Parę razy próbowała stąd uciec, raz nawet na Kołymę ją zaniósł. Ale wracała, bez Sołówek żyć już nie mogła. Sama nie wie, kiedy poczuła, że Wyspy i ona to jedno, że ich ziemia to jej skóra (pod którą zaryto trupy), a ich dzieje to jej życie. Tutaj każdą ścieżkę własnym wierszem przeszła, z kamieniami bywa za pan brat. Ot, choćby ten... odeszła parę kroków i z niewielkiej abrazyjnej niszy pod wodą, po omacku, wyciągnęła kamień z granatami: duży, szary otoczak z granitu, jakby inkrustowany kroplami krwi. Sama go tam schowała. Był rzeczywiście piękny. I tajemniczy, niczym na poły zatarty tekst...

Obudził mnie zapach pierogów z kapustą i czyjeś głosy. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, gdzie jestem? Skąd te głosy, skąd pierogi? Gdzie się kamień podział, gdzie Tonia? Ktoś chrapie obok? To Pietja. A Tonia... nie żyje! W muzealnej kancelarii nakrywają stoły do stypy. Kobiety znoszą jadło. Już siódma, pora kopać grób.

Ledwie dniało, kiedyśmy na cmentarz dobrnęli, w śniegu po pas, błękitnawym. Niebo wolno bladło od wschodu, zza lasu wypęzwały kłaczkowate obłoki, podświetlone na różowo. Na cmentarzu było jeszcze ciemno, miejscami tylko, w górnych gałęziach, szadz pobłyskiwała. Trzymał tęgi mróz. Nie opodal bramy rozpaliliśmy ognisko: parę suchych polan, trochę benzyny i sypnęło skrami. Zatem szło, po stakanie, pod słońcę, by robota poszła. Lodowata ciecz, gęsta jak oliwa, spłynęła białym światłem, rozjarzyła w środku, wyostrzyła wzrok. Słonina była twarda jak kamień, i słona. Świat stał się wyraźniejszy, ludzie – bliżsi. Misza, Żenia, Morozow, Mo-

tyl... wszystkich ich poznałem dzięki Mielnicy. Tamtego dnia, wieczorem, po powrocie z przechadzki nad morzem, zaprosiła nas do siebie, na urodziny. Skończyła 45 lat. Żyła brudno i niedbale, w dwóch pokojach z kuchnią, na Zaoziernej. Za stołem zobaczyłem jej przyjaciół: drzeworytnika Galinskiego, buddystę, z którym sypiała w owym czasie, Wasię Matonina, męża Julki, barda sołowieckiego, fotografa Miszę Werwalda, Estońca z gór Sajańskich, żurnalistę Dejsana, niedoszedłego monacha, poetkę Ninę, chorą na schizofrenię, deliryka Siergieja Morozowa, filozofa ukąszonego przez Hegla, historyka Kritskiego, głuchego komunistę, sąsiada Jurę, zajadłego rybaka, buchaltera Diczkowa, fana Davida Bowie, kowala Zenię Bykowa z wilczą paszczą, woryszkę Saszę. Lochę od wodorostów, bomża Motyla i bicza rudego, dziwkę Inkę z syfilisem, Lubę bez skrupułów, Katję bez nogi, i jeszcze parę twarzy niezapomnianych, jak... wtedy, po kilku głębszych, miałem wrażenie, że... z Boscha, lub z Memlinga. Niby sąd jakiś, może Ostateczny, lub czyjeś Piekło. Już nad ranem, kiedy świt się wsączył do kuchni i wydobyl z mroku brud i zapuszczenie – rybie głowy, kiepy w cieście, resztki gości – nie mogłem pojąć, w czym rzecz? O czym rozmawiają? Z bełkotu i pochlipywań łowiłem oddzielne słowa, coś o jabłkach, że tam rosną, w sadach. Czyżby nostalgia? Ależ tak, oni tęsknili za średnią strefą, za klimatem umiarkowanym... Potem, dzięki Toni, poznałem ich historie, sploty losów – różne wątki jednej i tej samej opowieści; resztę – rysy twarzy, szczegóły bytu – mogłem sam dopisać, zamieszkując między nimi. Dziś niewielu zostało z gości tamtego wieczoru, ktoś umarł własną śmiercią, komuś trefne szyło pomogło, lub bliźni. Jurkę wypchnęli z łódki po pijaku, Rudemu serce odmówiło pracy. Saszka się powiesił, Katjuszę zarżnęli, a Lochę w zonie wykończyli, suki. I oto, na koniec, sama Tonia wypadła z sołowieckiej fabuły, jak z okna...

Misza chciał kopać na nowym cmentarzu, gdzie dużo miejsca i droga wydeptana. Motyl się uparł, by koło płotu, toż samobójczynię grzebiemy. Ja napomknąłem, że obok Julki jest trochę luzu, w sam raz na jedno ciało, i płot blisko, i morze niedaleko. Stańło na moim. Odgarnęliśmy śnieg i rzuciliśmy tłące głównie na zamrożniętą ziemię, łudząc się, że sama odtaje. Ale gdzie tam, przyszło łomami rozbijać. Pół

metra zlodowaciałej skorupy, jak żelazobeton. Tłukliśmy na zmianę, do czarnych płatków przed oczami, do omdlenia dłoni. Julka popatrywała ironicznie ze zdjęcia na krzyżu. Tymczasem słońce weszło, złotym snopem w mlecznej mgłę, niczym reflektor przeciwlotniczy: pionowy słup światła. Tylko zimą można to zobaczyć. Łomy dzwonią, odskakują od zmarzliny, z ludzi para bucha. Wreszcie piach. Teraz powinno pójść łatwiej, pora na *pieriekur*. Znowu szło, znowu *sało* z gór Sajańskich (mama je Miszy przysłała). Trzasnął ogień, Żenka szczap podrzucił. Żenia, Misza, Motyl, Morozow... Mielnica często mawiała, że Sołowki to *swałka ludiej*, czyli ludzki śmietnik. Jak kiedyś lodowiec naniósł tu kamieni, tak dzisiaj życie tu osadza wszelki chłam człowieczy: marzycieli i duraków, poetów, outsajderów i nieudaczników, wykolejeńców i darmozjadów, mistyk-pijanic i zbiegów. Życie nimi rzucało, poniewierało i zносиło ich, coraz dalej i dalej od głównego nurtu, którym reszta popłynęła, aż się byli ocknęli... tu, na tych kamieniach, wystających z morza Białego. I ze zdumieniem spostrzegli, że dalej się podziac nie ma gdzie, że się znaleźli na skraju. Jedni zaczęli się bać, inni tego pić, a niektórzy z *uma* się po cichu osuwali. Mielnica współczuła wszystkim (może właściwiej by było współ-czuła z każdym?), tak dogłębnie, aż zanikała granica między cudzym bólem, a własnym. Innymi słowy: utożsamiała się z bohaterami swoich opowieści. Tak, tak, opowieści, albowiem Tonia opowiadała o ludziach Sołówek, i prozą, i wierszem. I nie zauważyła przy tym, iż własne życie zamieniła w powieść, w powieść, której fabuła wymknęła się jej spod pióra. Z chwilą, kiedy zamieszkałem na Wyspach, miałem okazję oglądać dalszy ciąg Toninej historii, rozpoczętej wtedy, pierwszego dnia, nad morzem. Nieraz przychodziła do nas, czując bratnią duszę, jak sama mówiła, to z butelką, to już pod datą, i płakała, snuła wątki, czasem, też bywało, wyła. Albo nowy muzyk i perypetie miłosne, burdy i podbite oczy, albo wyrzuty sumienia, że synów zagubiła, bo Alioszka dawno przepadł bez wieści poszukiwany przez mentów, a młodszego, Saszkę, posadzili w zonie dla małolatów, jak wora. Z gazetą też kłopoty: *dienieg* nie dają, gady. Coraz bardziej opuchnięta, opuszczona, wulgarna. Ludzi zaczęła unikać, zwłaszcza tych porządnych, rzekomo, być może ze wstydu, a może z białej paranoi.

Wolała bomżów, degeneratów, alkaszy. Latem zbiegała na tonie rybackie, by z biczami się puszczać i szyło głuszyć, zimą żyła gdzie bądź, to u Inki, to u Katji w „szanghaju”, i wiersze wycharkiwała z siebie, jak żółć.

Moja kolej. Dół coraz głębszy, w piachu szybciej poszło. Kopiemy w pojedynkę, na zmianę, by łopatami się nie trącać. W mogile ciasno, lodowato. Od piachu ciągnie. Im głębiej, tym... większe odosobnienie. Głosy z góry ledwie dochodzą, przytłumione. A tutaj cisza, tylko piach chrzęści i czasem łopata zgrzytnie o kamień. Piach... nie pachnie. (Skąd ta refleksja?) Brudno-żółty, przemarznięty, słojami odpada od ścian mogiły przy wyrównywaniu. Ciekawe, czy latem ciepło tutaj dojdzie i rozłoży trupa, czy też będzie on leżał, jak w chłodni, w zlodowaciałym piachu do końca świata? Nieswojo tu. Mimo woli przychodzi myśl o sobie, o własnym ciełe. Wielokrotnie uczestniczyłem w pogrzebach, ale zawsze stałem tam, nad grobem, wśród żywych. Z dołu rzecz wygląda inaczej: skrawek błękitu w koronach drzew, szadz na gałązkach, i czasem twarz się nachyli – to Motyla, to Miszy, to Morozowa, to Żeni... lica z wierszy Mielnicy i kawałki jej życia. Bo Tonia, ruska baba, hojna była. Rozszczępiała w swoim ciełe ich bóle, własnym strachem mierzyła ich lęki, piła z nimi, spała z nimi, i tylko pisząc o nich, oddzielała się czasem, na chwilę. Doszło do tego, że myła zwłoki, by zajrzeć w cudzą śmierć. Pamiętam ostatni raz, bodaj babkę Gałę umyły, przyszła rano, już podcięta z flaszka. Była jawnie poruszona, połykała słowa, coś o gutaperce mamrotała, rozlewając wódkę. Potem zaśpiewała o *czjornom woronie*, rycząc. Aż smarki z niej pociekły, i łzy. A już w drzwiach, jakby nieco oprzytomniawszy, powiedziała, że każdy powinien umyć choćby jednego trupa, żeby życie poczuć, do końca... Więcej jej nie widziałem w żywych, bo wkrótce uciekła z Sołówek, żeby wrócić tu, jak się okazało, w trumnie.

Koniec roboty. Jeszcze tylko gałązki jedliny na dno i dwie deski w poprzek, by łatwiej sznury spod trumny wyciągać. I jeszcze po stakańczyku: na *pososzok*. Zbieramy łomy, łopaty. Zасыpujemy ogień. Na okolicznych drzewach wrony się zbierają. Droga już kondukt w śniegu brnie – ćma narodu. Lubili Toniuchę. Dalej będzie sporo mów, sporo płaczu i ogonek do grobu, bo każdy garść piachu chciałby rzucić.

Potem zakopią, uklepią, wieńcami obłożą. Babki rozsypią okruchy chleba. Rozejdą się.

Pusto. Tylko wrony wydziobują chleb.



Stypa w muzeum. Stoły zastawiono na sto osób, ale przyszło więcej. Trzeba było krzesel szukać, zamieszanie, ścisk. Żałobnicy stłoczeni, łokciom ciasno. Przed każdym talerzyk, w nim kutia z ryżu z rodzynkami, blin. Taki zwyczaj. Dalej półmiski z dymiącą kartoszką, solone śledzie, kopy winiegrietta, dorsz faszerowany, smażone okonie, ucha z nalima, kotlety rybne, pierogi z twarogiem, pierogi z kapustą, kapusta kiszona, pasztety. I wódka, rzecz jasna, biała. I pomruk zadowolenia wśród alkaszy: można darmo wypić. Rozglądam się. Muzealnicy siedzą razem, bliżej dyrektora, w środku Dubrawa, ostatni mąż Mielnicy, po bokach byli kochankowie i znajomi, bohema Sołówek, dalej babki, sąsiedzi i muzyki z toni, rybacy, dobywacze trawy i miejscowe tałatajstwo, czyli bicze, bomże i *bljad'* wszelaka.

Rozlano wódkę i rumor się zrobił. Wszyscy wstali. Dyrektor Martynow odczekał chwilę, aż ścisnęło, i zabrał głos. Mówił długo, z emfazą, jakby się słowami delectował: o zasługach nieboszczki dla muzeum, o wystawie SŁON-a, o rozjaśnianiu białych plam w historii, o splecionym długu, o naszej wdzięczności... o naszej wdzięczności, ależ tak, wszak dzięki Mielnicy tu jestem. To wtedy, na tym pierwszym spacerze, przyszła mi do głowy myśl, znienacka: a dlaczego by tu nie zamieszkać? Choćby na parę lat, by zimę na Północy zobaczyć, *siewiernoje sijanije*, i siebie samego tu spotkać. Gdzież tylko nie mieszkałem: i w Europie Środkowej, i w Ameryce Północnej, i w Złoty Górach koło Kłodzka, i na Piątej ulicy w Nowym Jorku, i w Stoczni Gdańskiej w czasie strajku sierpniowego, i pod berlińską ścianą w trakcie jej burzenia, i w moskiewskim Białym Domu w dniu puczu, i na pustej plaży w Suchumi podczas wojny Abchazów z Gruzinami. W tym zgiełku wydarzeń, ciągle wśród ludzi, trudno się było skupić (zebrać w punkt), a tutaj nawet przyroda, dzięki ascezie form i barw, sprzyja odosobnieniu i koncentracji. Tam szum mass mediów, łoskot, brzęk szkła

i tromtadracja, tu cisza lasu, *bezmotwije* kamieni i pusty widnokrąg. Zatrzymać się, choćby na chwilę – dlaczegoż by nie? I Tonia nam pomogła, znalazła mieszkanie w biostancji, zadzwoniła do Moskwy, przywitała na lotnisku, kiedy w grudniu wróciliśmy na Sołowki, wyszukała drwa na opał... nareszcie Martynow skończył. Wypili. Usiedli. Zakąszają.

Gwarno stało, alkohol zrazu zrobił swoje. Oczy zaszczyli wilgocią, twarze odtajały, ożyły. Jadło zajęło wszystkich, bez mała. Ręce sięgają, zuchwy pracują, półmiski krążą. I nic dziwnego, wszak większość Sołowczan na codzień nie dojada. Zwłaszcza bomże. Nowa kolejka – Swieta z Lubą rozlały wódkę w stopki, Misza Werwald widelcem dzwoni i sto stopek za Mielnicę się podnosi. Misza człek mowny, stopki w powietrzu zamarły. Tym razem rzecz poszła o zasługach nieboszczki dla miejscowej gazety, dla *Sołowieckiego wiestnika*. Że była żurnalistką wielkiej klasy i sama jedna całą gazetę robiła, od artykułów wstępnych do łamania numeru, i że czytali nasz *Wiestnik* wszędzie, jak Rosja długa i szeroka, od Czukotki do Kurszskiej Kosy, a także zagranicą, i w Europie, i w Stanach, ba, nawet w Australii go prenumerowali: i że była też poetką, nie byle jaką, i pisała życie wierszem, a wiersze – życiem... tak, tak, pamiętam nasze spory bez końca o pisaniu i życiu, i jak się ma jedno do drugiego. O tym co można, a czego nie wypada mówić o ludziach, o których się pisze. O prawie do fabulacji rzeczywistości i o pretensjach bohaterów próz dokumentalnych, o szałamowskiej prozie przeżytej jak dokument, i o poezji Rubcowa, ubitego w noc *krieszczienskuju* (19 stycznia) przez heroinę swoich wierszy, kobietę, która miała zostać jego żoną. Podczas jednej z takich rozmów, jednej z ostatnich, Tonia podarowała mi swój ulubiony *Siewiernyj dniewnik* Jurija Kazakowa z własnym epitafium, nagryzmołonym na okładce, niczym motto... i Werwald zakończył życzeniem, oby ziemia dla Toni puchem była. Stopki wychylono.

I tak dalej. Kolejki stopek, kolejne mowy, coraz bełkotliwsze. O dobroci Toni, o tym, że zawsze pomagała rublem, że przygarniała, płakała razem, hołubiła. U Nataszy tusz popłynął z powiek. Dubrawa z Dejsanem w objęciach łkają. Motyl Inkę obmacuje. Raptem Żenia podniósł krzyk, że ukradli noże. Zoja Burcewa klnie się, że ich nie brała. Bicze,

wykorzystując zamieszanie, dopili wódkę z cudzych szklanek. Ktoś się porzygał w toalecie, ktoś zasnął w zaspie śniegu przy wyjściu..., i być może Mielnica miała rację, że jestem wśród nich *otrieszjonnyj* (nieobecny, oderwany). – Ty na nas patrzysz, jak na króliki doświadczalne – mawiała czasem, wypiwszy...

Epitafium Mielnicy, nagryzmołone na okładce *Siewiernego* *dniewnika*:

*Po pierwsze kocham wrzos,
I morze po horyzont – het.
I jeszcze lubię wierzyć
Temu kto umrze – wnet.*

Mariusz WILK

Wileńszczyzna po wyborach do samorządów

23 marca na Wileńszczyźnie, jak i w całej Litwie, odbyły się wybory do samorządów miast i rejonów. Ponadto w rejonie wileńskim, sołecznickim i trockim odbyły się wybory uzupełniające do sejmu. Przyjechałem do Wilna w poniedziałek, 24 marca, rano. W mieście nie było widać żadnych śladów niedzielnych wyborów. Minęły one tu spokojnie. Tylko kierowca, który wiozł mnie do hotelu, na pytanie jak głosował, odrzekł sceptycznie i niechętnie: „Nie głosował ja, pan, co mnie ta głosowania da, jak żyć ciężko”. – „Ale przecież – nalegałem – ludzie na Wileńszczyźnie głosowali, wybierali posłów-Polaków, radnych do samorządów...” – „Na wiosnę niektórzy głosowali, jak dostali trocha litów i paszy dla krów. Słyszał ja, co tak było w Rukojniach i Ławaryszkach, podobnie w Nowej Wilejce ludzie dla zachęty dostawali po pięć litów od jednego kandydata... Nie, pan, te wybory nam niczego nie zmienio, jak sam nie zapracujisz” – zakończył filozoficznie taksówkarz.

Nie zauważyłem w Wilnie świątecznego nastroju, choć to przecież Wielki Tydzień, ani oznak zbliżającej się wiosny. Raczej panował tu chłód, było mokro i wietrznie. 26 marca wprawdzie pokazało się słońce i główna ulica miasta, dawniej Mickiewicza, a dziś Giedymina, nagle zaludniła się prawie wiosennym kolorowym tłumem przechodniów. Ale nazajutrz zerwała się wichura, która przygnała skądś zamieć śnieżną i całe miasto w ciągu kilku godzin pokryło się mokrym śniegiem. Wichura i zamieć narobiły wiele szkody. Okińczycow

radio „Znad Wilii” podało wieczorem, że było ponoć około trzydziestu wypadków drogowych w samym mieście. Było zimno i nieprzyjemnie. Ale przecież na Litwie i na Wileńszczyźnie coś się dzieje, czas nie stoi w miejscu. Teraz zauważyłem istny szal remontów. Kapitałny remont znanego budynku, dawnego domu towarowego Braci Jabłkowskich przy alei Giedymina; odnawiana będzie secesyjna kamienica dawnego hotelu Georges'a, rozpoczął się remont hotelu „Astoria” przy ulicy Wielkiej. A w ogóle ulica Wielka, tak bardzo zniszczona w okresie sowieckim, powoli jest restaurowana i jest nadzieja, że może kiedyś nabierze blasku choćby takiego, jak przed wojną.

No i te wybory. Wybierając radnych do samorządów miejskich i rejonowych, zdecydowanie wygrał Związek Ojczyzny (Konserwatyści Litwy) Vytautasa Landsbergisa. W całej Litwie uzyskali oni 479 mandatów. W poprzednich wyborach zdobyli 428 mandatów, a więc stan posiadania poprawili o 51 radnych. Drugie miejsce zdobyli postkomuniści, czyli Litewska Demokratyczna Partia Pracy. Będą oni mieli w samorządach 208 osób. Dość wysoko uplasowała się tu Akcja Wyborcza Polaków na Litwie. Łącznie tylko w rejonie wileńskim, solecznickim, trockim, szyrwinckim i święciańskim Akcja Wyborcza zdobyła 58 mandatów. W poprzednich wyborach miała 69, a więc straciła 11 radnych. A oto jak wygląda wejście Polaków do poszczególnych samorządów: Druskieniki – 1, rejon solecznicki – 25, rejon szyrwincki – 1, rejon święciański – 2, rejon trocki – 6, rejon wileński – 23. Do Rady Miejskiej Wilna weszło 5 Polaków z różnych partii. Jest to na pewno duże zwycięstwo Akcji Wyborczej, bo w dwóch rejonach – wileńskim i solecznickim, gdzie Polaków mieszka najwięcej – 60-80% ludności – rządzić będą nadal przedstawiciele Akcji Wyborczej Polaków na Litwie.

Jednakże frekwencja na wyborach była niska, bo na 2,6 mln uprawnionych obywateli do głosowania, do wyborów przystąpiło zaledwie 39,92% wyborców.

W okręgach wyborczych wileńsko-solecznickim, wileńsko-trockim, trockim i nowowilejskim odbyły się też wybory uzupełniające do sejmu litewskiego. Tutaj również Akcja Wyborcza odniosła pewien sukces: w okręgu wileńsko-solecznickim Jan Sienkiewicz, przewodniczący Akcji Wyborczej,

uzyskał 85% głosów i został wybrany do sejmu. Gorzej wypadły wyniki w okręgu wileńsko-trockim. Do drugiej tury przeszli tu Waldemar Tomaszewski, zastępca Sienkiewicza w Akcji Wyborczej i Bronislovas Bušma, Litwin, członek partii konserwatystów. W okręgu trockim do drugiej tury przeszli Polak Henryk Jankowski i Danute Aleksioniene, Litwinka, członkini Związku Centrum. Nie uznano wyborów w Nowej Wilejce, gdzie kandydowali m.in. dwaj Polacy: Ryszard Maciejkianiec, prezes Związku Polaków na Litwie i Mieczysław Waszkowicz, zamożny przedsiębiorca, lider Aliansu Obywateli Litwy. W Nowej Wilejce wybory unieważniono z powodu niskiej frekwencji, bo uczestniczyło w nich zaledwie 30% uprawnionych, a ordynacja wymaga 40% frekwencji.

Nowa Wilejka to specyficzna obecnie dzielnica Wilna. W czasach sowieckich zbudowano tu kilka fabryk, robotników sprowadzano z różnych okolic obecnej Białorusi, inżynierów i techników przysyłano z Rosji. Dziś, jak mi powiedział Antoni Rakowski, mieszkaniec Nowej Wilejki, mieszka w tej dzielnicy ponad 30% osób pochodzących z Białorusi, o nieokreślonej świadomości narodowej. Fabryki sowieckie upadły, robotnicy stracili pracę i nie potrafią ani się określić narodowościowo, ani zorganizować sobie konkretnego zajęcia. Kiedy Litwa odzyskała niepodległość, ci ludzie zbliżyli się do miejscowych Polaków, z biegiem czasu odeszli jednak od polskości i obecnie ich idolem, jak twierdzi A. Rakowski, jest Aleksander Łukaszenka. Tym właśnie ludziom sprawy społeczne na Litwie są obojętne, problemy Polaków litewskich obce, a do białoruskości im też daleko, podobnie jak i nie identyfikują się z Rosjanami. Nadal wspominają „dobre” czasy sowieckie, kiedy mieli pracę, tanie mieszkania i znośne ceny na produkty żywnościowe. Typ *homo sovieticus* ciągle tu jest żywy. I to właśnie ludzie tego pokroju i mentalności zbojkotowali wybory uzupełniające do sejmu. Dużą klęskę poniósł prezes ZPL Ryszard Maciejkianiec, zebrał bowiem zaledwie 2.079 głosów, tj. 17,77% głosujących. Natomiast Mieczysław Waszkowicz uzyskał 5.943 głosy, czyli 50,82%. A razem oddano 11.693 głosy. Przede wszystkim głosowali w Nowej Wilejce Polacy i Litwini.

Wybory do samorządów i uzupełniające do sejmu wykazały, że stan świadomości obywatelskiej na Litwie jest

jeszcze niski. Jednakże działacze Akcji Wyborczej Polaków na Litwie są zadowoleni, uważają, że odnieśli sukces, bo w podwileńskich rejonach większość nowych radnych to Polacy. W sejmie frakcji AWPL chyba nadal nie będzie, ponieważ na razie posłami tej partii zostali tylko Gabriel Jan Mincewicz (wcześniej) i Jan Sienkiewicz (obecnie). Dwaj pozostali Polacy – Artur Płószto (LDPP) i Zygmunt Mackiewicz (Związek Ojczyzny) – do AWPL nie należą.

Jeśli jest mowa o wyborach na Litwie, to warto wspomnieć, że jesienią br. odbędą się wybory prezydenta RL na następną kadencję. Już teraz mówi się w Wilnie o trzech najważniejszych kandydatach na to najwyższe stanowisko w państwie. Prawdopodobnie będzie kandydować Algirdas Brazauskas, obecny prezydent, Vytautas Landsbergis, profesor muzykologii, lider Związku Ojczyzny, marszałek sejmiku, oraz Valdas Adamkus, profesor ekologii, obywatel USA (i podobno Litwy), który od kilku lat współpracuje z Uniwersytetem Witolda Wielkiego w Kownie i jest postacią na Litwie znaną. Ostatnio pojawiła się czwarta osoba pretendująca na stanowisko prezydenta. Jest nią profesor antropologii Lucja Baškauskaitė, która niedawno ogłosiła w prasie chęć kandydowania na to najwyższe stanowisko. Prof. Baškauskaitė podczas wojny wyemigrowała z rodzicami do USA, gdzie zdobyła wykształcenie, założyła rodzinę, zajmowała się pracą naukową. Dopiero po odzyskaniu niepodległości przez Litwę przyjechała do kraju. Należała do grona naukowców, którzy reaktywowali Uniwersytet Witolda Wielkiego w Kownie, w Wilnie założyła i prowadzi trzeci program telewizji „Tele-3”. Jest więc pierwszą kobietą pretendującą do fotela prezydenta Republiki.

Tymczasem ekipy remontowe kończą odnawiać pałac prezydencki. Mieści się on przy obecnym placu Daukantasa, obok uniwersytetu. Za czasów Olgerda w tym miejscu był dwór i ogrody Gasztołda. Władysław Jagiełło podarował parcelę biskupom wileńskim i biskup Andrzej Wasiło w końcu XIV w. na tym miejscu zbudował pałac biskupi, w którym do końca XVIII wieku rezydowali biskupi wileńscy. Biskup Ignacy Józef Masalski w 1794 r. postanowił przebudować mocno podniszczony gmach. Wybuch powstania kościuszkowskiego i śmierć przez powieszenie biskupa

Masalskiego przeszkodziły w realizacji tego zamiaru. Po 1795 r. Wilno zostało miastem gubernialnym Rosji, pałac odebrano biskupom i przekazano do dyspozycji carskich generałów-gubernatorów; stał się ich rezydencją. Na początku XIX w. został przebudowany wg projektu Karola Szildhausa. Po wojnie 1812 r. pałac postanowiono rozbudować. Przebudowę powierzono rosyjskiemu architektowi Wasilijowi Stasowowi. W 1820 r. car Aleksander I zatwierdził projekt, wg którego w latach 1824-1832 pałac został przebudowany w rozpowszechnionym w owym czasie tzw. rosyjskim stylu *empire*.

W tym pałacu do 1915 roku rezydowali gubernatorzy rosyjscy. Mieszkał tu kat Litwy generał-gubernator Michaił Murawjow-Wieszatiel. Przed pałacem w końcu XIX w. wzniesiono jego pomnik, zabrany przez Rosjan podczas ewakuacji w 1915 roku. W 1919 r. w pałacu mieszkał Józef Piłsudski, zatrzymywał się tu i później, kiedy bywał w Wilnie, w roku 1920 tymczasowo mieszkał gen. Lucjan Żeligowski. W okresie międzywojennym pałac nazywano Reprezentacyjnym. W czasach sowieckich budynek oddano Związkowi Pracowników Kultury, a obecnie będzie tu rezydencja Prezydenta Republiki Litewskiej. Kto w rezydencji będzie urzędował – dowiemy się jesienią. A na razie prezydent Algirdas Brazauskas ma wysokie notowania w badaniach opinii publicznej. Jak podaje Centrum Badania Opinii Publicznej „Baltijos tirimai”, badania przeprowadzone w dniach 13-19 marca wykazały, że najpopularniejszym politykiem jest właśnie A. Brazauskas. Za nim – premier Gediminas Vagnorius i na trzecim miejscu jest Vytautas Landsbergis.

Ale wróćmy do Polaków Wileńszczyzny. W tym środowisku odnalazłem wiele zjawisk pozytywnych, które warto odnotować. Zaliczyłbym do nich założenie Funduszu Rozwoju Oświaty, Kultury i Sportu „Wileńszczyzna”. Polacy, właściciele pięciu firm, w dniu 25 lutego 1997 r. założyli Fundusz, przekazując na jego konto po 10 tys. litów (2.500 dol. USA). Byli to: Ryszard Litwinowicz (Ardena), Mieczysław Waszkowicz (Volmeta), Stanisław Wojtkiewicz (Cziaukszliai), Janusz Łopuć (Zrzeszenie Klubu Polskich Sportowców Litwy „Polonia”, właściciel i prezes stadionu „Žalgiris”), Czesław Antonowicz (ARX). Prezesem zarządu Funduszu

został Ryszard Litwinowicz, młody i zdolny biznesmen wileński. Celem Funduszu – jak napisał Litwinowicz w *Kurierze Wileńskim* – jest „pomaganie placówkom oświatowym, kulturalnym, sportowym, rolnikom i robotnikom. Uważamy, że najlepiej pomożemy ludziom tworząc przedsiębiorstwa, spółki rolne, firmy w tych miejscowościach, gdzie jest największe bezrobocie (Kamionka, Turgiele, Szumsk). W ten sposób powstaną nowe miejsca pracy, ludzie zarobią pieniądze dla siebie i dla Funduszu. Wszystko to przyczyni się do dalszego rozwoju Wileńszczyzny, dlatego, że będą stosowane nowoczesne technologie, maszyny, kultura pracy”. Dalej Litwinowicz napisał: „Na świecie jest nas 60 mln Polaków, rozsianych w 30 krajach świata, zrzeszonych w swoich polskich organizacjach. Zwróciliśmy się przez Fundację „Polonia” (zrzeszenie biznesmenów Polaków całego świata, gdzie moja skromna osoba jest fundatorem i członkiem 9-osobowego zarządu) do wszystkich Polaków na świecie. Przedstawiliśmy swoje cele, zamiary, a także Fundusz „Wileńszczyzna”. Z Fundacją „Polonia” w Warszawie podpisaliśmy umowę o współpracy. Myślę, że jest dużo rozsianych po świecie „wilniuków”, którzy nie zostaną na uboczu. Być może zechcą z nami współpracować, wesprzeć, pomóc, chociażby po to, aby groby ich dziadów i pradziadów zostały uporządkowane, a ziemie, chociaż nie mogą im być zwrócone, zostały zaorane i zasiane, lasy uporządkowane”.

Twórcy Funduszu nie chcą wyciągać dłoni po prośbie, oni rzucili hasło „Pomóżmy sobie sami!” Litwinowicz napisał: „Być Polakiem – to jest zaszczyt. Być Polakiem na Wileńszczyźnie – to jeszcze większy zaszczyt. Kto my jesteśmy i jaki nasz znak my wiemy!”

Pojawiło się więc nowe pokolenie Polaków na Wileńszczyźnie, które nie żebrze, lecz pragnie samo budować swoją przyszłość.

W sferze kultury aktywnie działa Polska Galeria Artystyczna Wandy i Romualda Mieczkowskich. Dziś w Wilnie wszyscy już dobrze znają tę Galerię, gdzie można wystawiać prace malarskie, gdzie można kupić obraz olejny lub grafikę. Gościnne progi Galerii pani Wandy są otwarte dla każdego. Mieczkowsky również są dumni, że potrafili w centrum litewskiej stolicy stworzyć prawdziwy salon artystyczny. A prze-

cież nie przyszło im łatwo, stale mają ogromne problemy finansowe. Romuald Mieczkowski już od ponad 8 lat redaguje i wydaje jedyne w b. Związku Sowieckim polskie pismo społeczno-kulturalne *Znad Wilii*, przeznaczone dla inteligencji. Dwutygodnik Mieczkowskiego czytają w Moskwie i Petersburgu, w Mińsku i Kijowie, w Kanadzie i Australii, na Litwie i w Polsce. Mieczkowski, poeta i dziennikarz, jest fanatykiem pisma. *Znad Wilii* dla niego to jak własne dziecko. Ale któż to może wiedzieć, ile trudu i środków potrzeba, by pismo, redagowane przez dwie osoby, mogło się ukazywać regularnie dwa razy w miesiącu! Wkrótce ukaże się 200 numer! Piszę „ukaze się”, pod warunkiem, że Mieczkowski zdobędzie środki na wydawanie czasopisma. Pomoc pismu *Znad Wilii* jest konieczna.

Polakom Wileńszczyzny potrzebny jest dobry dziennik. Zgadza się tu z Czesławem Okińczycem (*Kultura* 1997, nr 3), że „społeczność polska zasługuje na profesjonalną gazetę codzienną”. Niestety, *Kurier Wileński*, jak na razie, taką gazetą nie jest. Czytelnika nie interesują problemy finansowe dziennika. Czytelnik chciałby otrzymać bieżące informacje polityczne, informacje o życiu Wileńszczyzny, opisy pozytywnych i negatywnych przejawów życia w państwie i najbliższej okolicy, dobry reportaż, trochę polemiki politycznej i społecznej, może nawet konstruktywnej krytyki pod adresem rządzących z różnych szczebli. *Kurier Wileński* jest nadal gazetą bezbarwną i nieciekawą. Mam jednak nadzieję, że doświadczony zespół redakcyjny stworzy wreszcie pismo interesujące i poczytne, które dotrze także do czytelnika w Polsce, bo dziś niestety *Kuriera Wileńskiego* w miastach polskich nie ma.

Trudno zgodzić się z linią polityczną *Naszej Gazety*. Także treść tego pisma nie jest atrakcyjna, choć, jeśli wierzyć tygodnikowi Jerzego Urbana (1997, nr 11) „na wydawanie *Naszej Gazety* Ryszard Maciejkianiec otrzymał w tym roku wsparcie z Polski – okrągłe 85 tys. zł (850.000.000 starych)”. Za takie pieniądze można wydawać pismo na wyższym poziomie, o ciekawszej treści i bardziej obywatelskie. Warto też wspomnieć, że R. Maciejkianiec widocznie pozazdrościł organizatorom Funduszu „Wileńszczyzna” i 27 lutego 1997 roku powołał do życia Fundację im. Władysława Strumiły.

W. Strumiło był ostatnio naczelnym redaktorem *Naszej Gazety*, zmarł przedwcześnie w ubiegłym roku. Powołano zarząd Fundacji w osobach: Teresa Strumiło (wdowa) – przewodnicząca oraz Irena Mikłaszewicz i Tadeusz Jasiński – członkowie. Celem Fundacji im. Wł. Strumiły jest „wspieranie środków masowego przekazu w języku polskim na Litwie, młodych i początkujących dziennikarzy, działalności wydawniczej oraz organizowanie dorocznego konkursu na najlepszą publikację o dniu dzisiejszym Wileńszczyzny, jej kulturze i tradycjach”. Cóż, inicjatywa piękna, tylko czy starczy sił i środków własnych na zrealizowanie celów. Była już w Wilnie Fundacja Kultury Polskiej im. Józefa Montwiłła, którą jeszcze w 1989 r. założył Henryk Sosnowski. I niczego właściwie ta Fundacja nie dokonała, poza kilkoma wydanymi numerami pisma *W kręgu kultury*, redagowanego przez osławionego ongiś w Wilnie Jana Ciechanowicza. Pisma tego zresztą nie ma w księgarniach ani kioskach litewskiej stolicy. Cóż więc pozostało po Fundacji Kultury Polskiej im. J. Montwiłła, która zakładała podobne cele jak Fundacja im. W. Strumiły? Chyba nic.

Do pozytywnych inicjatyw wileńskich Polaków zaliczyłbym jeszcze księgarnię polską Stanisława Korczyńskiego. Jest to właściwie pierwsza, czysto polska księgarnia od czasów przedwojennych. Ponad 50 lat Wilno było pozbawione prawdziwej polskiej książki, polskiej firmy księgarskiej, choć w czasach sowieckich istniała komunistyczna księgarnia „Przyjaźń”, w której był dział ze starannie selekcionowanymi książkami z Polski. Korczyński kontynuuje niejako dzieło firmy Zawadzkich. Lokal znajduje się w bardzo dobrym miejscu, w pobliżu Ostrej Bramy, zarządzony nowocześnie. Pracuje tu znana wileńska księgarka, Alicja Klimaszewska. Korczyński powiedział mi, że częstymi klientami są Litwini, którzy szczerze mu dziękują, że w Wilnie jest właśnie taka polska księgarnia.

Pisząc o Wileńszczyźnie nie można pominąć mieszkających tu od wieków Białorusinów, którzy stanowią jak Litwini i Polacy rdzenną ludność tej krainy. Są oni skromni, nie rzucają się w oczy, żyją spokojnie, są lojalnymi obywatelami Litwy. Również prowadzą dość intensywne życie kulturalne. Na Uniwersytecie Pedagogicznym w Wilnie działa Katedra

Języka i Literatury Białoruskiej, jest jedna szkoła średnia białoruska, działają w Wilnie, Solecznikach i Visaginasie różne towarzystwa: Towarzystwo Kultury Białoruskiej, Towarzystwo Szkoły Białoruskiej, Klub „Siabryna” („Przyjaźń”), Związek Młodzieży Białoruskiej Wileńszczyzny, Towarzystwo Białoruskie w Solecznikach. Staraniem Chwiedara Niuńki i Lawona Łuckiewicza zorganizowano białoruskie programy radiowe i telewizyjne, w których prezentowane jest życie Białorusinów na Litwie. Przed kilkoma laty Siarhiej Dubawiec wydawał w Wilnie miesięcznik *Nasza Niwa*. W 1996 roku redakcja *Naszej Niwy* przeniosła się do Mińska i wileńscy Białorusini pozostali bez drukowanego słowa. Ale działacze postanowili wydawać nowe pismo, szukali środków i oto w marcu br. ukazał się pierwszy numer białoruskiej gazety pt. *Ruń*. Na razie jest to skromne czasopismo, które ma być wydawane raz w miesiącu, o czterech kolumnach druku, redagowane jednak fachowo i na pozycji niepodległościowej. Wydawcą jest Towarzystwo Kultury Białoruskiej na Litwie, a redaktorem Chwiedar Niuńka.

W końcu marca br. na zaproszenie działaczy białoruskich przebywał w Wilnie Zianon Paźniak, lider Białoruskiego Frontu Narodowego, obecnie na emigracji politycznej w USA. Paźniak proponował zorganizowanie w Wilnie Centrum Informacji o Białorusi. Postulował też, by państwa Europy Środkowo-Wschodniej bardziej interesowały się problemem Białorusi i próbowały pomóc obecnie uciskanemu narodowi białoruskiemu. Powiedział również, że chętnie by w Wilnie zamieszkał, ale na razie jest to niemożliwe.

Wileńszczyzna żyje tak, jak cała Litwa, a nawet podobnie jak żyje Polska. Życie toczy się mimo różnych losowych zdarzeń i zjawisk. Ciągłe coś się dzieje, coś się tworzy nowego. Ważne jednak, by ludzie, mieszkańcy Litwy, poczuli się obywatelami tego kraju. Ostatnie wybory do samorządów pokazały, że poczucie obywatelskości jest tu jeszcze raczej słabe. Ludzie w większości są obojętni na sprawy społeczne. Hasło twórców Fundacji „Wileńszczyzna”: „Pomóżmy sobie sami!” powinno zatem być hasłem każdego mieszkańca tego kraju, tak przed wyborami jak i po wyborach.

Aleksander JACKIEWICZ

III-CIE WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem, we wrześniu 1997 roku odbędą się w Lailly-en-Val trzecie „Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego”, w których weźmie udział siedmiu artystów ze środowiska krakowskiego. Warsztaty te pomyślane są jako pomoc dla wyróżniających się studentów polskich oraz Polaków z Rosji i krajów byłego Związku Sowieckiego, studiujących w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Zajęcia plenerowe w miejscu, w którym Józef Czapski wielokrotnie przebywał, służyć mają:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu wiedzy o Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą tak bardzo był związany,
- spotkaniom z artystami polskimi żyjącymi we Francji,
- pogłębianiu więzi polsko-francuskich poprzez sztukę.

Zwracamy się do przyjaciół i miłośników twórczości Józefa Czapskiego z prośbą o pomoc w realizacji tego przedsięwzięcia.

Dary prosimy przesyłać na adres:

Fonds Humanitaire Polonais
24, rue de la Mairie
45740 Lailly-en-Val
France
z dopiskiem „Warsztaty”

Archiwum polityczne

Z nordyckiej perspektywy

Świetlana przeszłość w blasku płonących opon

Z okazji wizyty ministra Wiesława Kaczmarka w Szwecji największy poranny dziennik tego kraju, *Dagens Nyheter* opublikował dn. 10 marca 1997 artykuł redakcyjny pod znamienym tytułem „Lech Wałęsa jedynie przewlekał kryzys stoczni. Deficytowe przedsiębiorstwa polskie nie mogą trwać jako czcigodne zabytki”.

Autor artykułu przypomina przeszłość Stoczni Gdańskiej, stwierdzając następująco:

„Jednak wraz z wolnością przestały stopniowo napływać zamówienia na nowe statki i nikt nie chciał już topić nowych kredytów w stoczniowej czarnej dziurze. (...) Wielkie jest rozgoryczenie wśród tych, którzy sądzą, iż to ‘prości stoczniowcy mają być ukarani’. Wielu przypuszcza, iż obecny rząd socjalistyczny chętnie przygląda się upadkowi zakładu, który był kolebką rewolucji. (...) Jest jednak faktem, że rząd nadaremnie poszukiwał nowych kredytów. Przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi może wszak los Stoczni Gdańskiej stać się ważkim argumentem politycznym w starciu rządu z opozycją. (...) W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych prezydent Wałęsa ochraniał swój dawny zakład pracy. Stocznia otrzymywała subwencje, nadal posiadała zbyt wielu zatrudnionych, wypłacała zbyt hojne zasiłki – wszystko to bez jakichkolwiek lukratywnych kontraktów”.

Autor redakcyjnego komentarza *Dagens Nyheter* konstatuje następnie, że żadna stocznia nie może istnieć bez zamówień – jedynie jako wspomnienie swojej świetlanej przeszłości z czasów zimnej wojny i powojennego podziału na bloki. Polska, kraj reform przeprowadzanych ze sporym sukcesem, nadal posiada dużą liczbę deficytowych, wielkich przedsiębiorstw. Nie mogą one jednak trwać jako czcigodne zabytki.

Szwedzkie gazety przypominały też później (np. *SvD* z 20 marca 1997), że długi Stoczni Gdańskiej wynoszą (w przeliczeniu) 1,2 miliarda SEK. Ze szwedzkiej perspektywy jest to suma wręcz niewiarygodna. Prasa branżowa podkreślała także, iż problem nie dotyczy tylko Stoczni Gdańskiej, w podobnej sytuacji znajduje się w Polsce około 400 dużych przedsiębiorstw. Dla szwedzkich analityków nie jest też tajemnicą, że pomoc budżetowa dla polskich „dinozaurów” przeznaczana jest często na bieżącą działalność tych wielkich przedsiębiorstw, a nie na ich restrukturyzację. Jawne dotacje państwowe dla państwowych ciągle przedsiębiorstw wynoszą ponad 30% ich dochodów, a istnieją jeszcze dotacje ukryte: przedsiębiorstwom państwowym, mającym zaległości podatkowe, często umarza się (np.) te długi, a wielkie państwowe banki zachęca się „w imię spokoju społecznego” do dalszego kredytowania deficytowych przedsiębiorstw państwowych.

Zagraniczni inwestorzy, cytowani niedawno przez raport lobbystycznej agencji państwowej ISA (Invest in Sweden Agency), wysoko oceniali nowoczesność szwedzkiej infrastruktury, technik produkcyjnych, świetną organizację pracy i management, ale narzekali na „rozwydrzenie” szwedzkich związków zawodowych. A przecież szwedzka centrala LO, która dość pokornie zgodziła się na unikalne w europejskiej skali ograniczenia *welfare state*'u (ze skróceniem urlopu i wprowadzeniem tzw. dni karencyjnych w uposażeniu chorobowym włącznie), jest łagodna niczym baranek w porównaniu z „Solidarnością”. Korespondent *Dagens Nyheter*, Christian Palme, pisząc na łamach swojej gazety o gwałtownych protestach, blokadach dróg, okupacjach budynków i demonstracjach zainicjowanych przez – jak to określa – „konserwatywny i katolicki związek zawodowy ‘Solidarność’”, stwierdza, iż przypomina to gorącą jesień roku 1980. Jednak zdaniem Palmego jest to analogia powierzchowna: „Wiele

wydarzyło się w minionych 17 latach i dziś jest związek zawodowy ‘Solidarność’ konserwatywną siłą, walczącą o utrzymanie przestarzałych i niewydajnych dinozaurów przemysłowych za każdą cenę” (*DN*, 20 III 1997).

Dodajmy, iż niektórzy analitycy uważają, że ceną tą może być cała przyszłość polskiego państwa. Ostatecznie nawet polscy dziennikarze wspominali, że w wypadku zwycięstwa katolickiej prawicy możliwe jest nawet wycofanie polskiej kandydatury do Unii Europejskiej, a pewne jest w każdym razie znaczne spowolnienie integracji Polski ze strukturami europejskimi. O to ostatnie postara się już chociażby PSL – partia, która według mało przystojnego określenia „pójdzie za każdym”.

Nawet cudzoziemiec, obserwujący scenę polską tylko przez wizjer kilku dzienników europejskich, zauważy od razu, iż działania AW „Solidarność” zupełnie nie przypominają – powiedzmy – strajków, które minionej jesieni przygotowywała w Niemczech DGB w obronie pełnego uposażenia chorobowego pracobiorców. Marian Krzaklewski, wypowiadający się w sprawie konstytucji, życia płodowego czy podręczników szkolnych, swojej hybrydalnej związko-partii nadaje kształt świadomie wieloznaczny, zawierający różne dziwne składniki: dualizm irańskiej wręcz proveniencji, mitotwórczy mesjanizm (w zlaicyzowanej Europie mają Polacy do spełnienia misję obrony wartości chrześcijańskich), nacjonalistyczną eschatologię (zbliżające się wybory to bój ostatni, od którego wyniku zależy ma istnienie polskiego narodu).

W całej Unii Europejskiej sytuacja jest szczególnie trudna właśnie w tradycyjnych centrach przemysłu ciężkiego. Niewątpliwie istnieje potrzeba wypracowania nowego paradygmatu gospodarczego: struktura rynku pracy, przepisy prawne, tzw. *employment policy*, wreszcie, *last but not least*, twierdzenia przyjmowane przez ekonomistów za aksjomaty – wszystko to nadal jest dostosowane do epoki industrialnej, która się właśnie kończy, ustępując miejsca erze informatycznej. Do kategorii bajek należy jednak zaliczyć wyrażane przez część prasy polskiej przekonanie, iż magiczne IT pozwolą z czasem zlikwidować problem bezrobocia. Szwedzki ekspert, Lars Hallén obserwował te procesy w Kalifornii, gdzie IT

rzeczywiście stworzyły 700 tysięcy nowych miejsc pracy, ale jedynie dla ludzi wykształconych lub na tyle młodych i intelektualnie elastycznych, iż mogli poprzez dość skomplikowane wykształcenie zdobyć nowy zawód informatyczny. Absurdem jest zakładanie, iż po najlepszych nawet kursach 50-letni spawacz może zacząć pracować w multimediami, a 45-letnia suwnicowa zatrudni się w biurze konsultingowym, produkującym *homepages* dla dużych i średnich firm. Do internetowej reklamy, do multimedialnej prezentacji na *homepages*, przeszła się w Szwecji bezrobotnych architektów, maklerów czy absolwentów kierunków humanistycznych, którzy już dawno stracili nadzieję znalezienia jakiegokolwiek pracy. Robotników z zamykanych w coraz szybszym tempie zakładów na kursy takie się nie kieruje, choć przecież wielu szwedzkich robotników przeszło trening pracy z komputerem. Lars Hallén twierdzi więc brutalnie, że właśnie masowe upowszechnienie się robotyzacji i komputeryzacji spowoduje w Europie wzrost bezrobocia do 25-30%! (*DI*, 22 III 1997). Ponieważ żadne państwo nie wytrzyma 30-procentowego bezrobocia, rada jest – jego zdaniem – tylko jedna: tych, co można, kształcić (coraz częściej mówi się, że wysokość zasiłku powinna być uzależniona od chęci i wyników nauki bezrobotnego), a dla reszty tworzyć niskopłatne miejsca pracy w usługach. Ludzie wykwalifikowani pracują dziś coraz więcej i dłużej, niczym niezwykłym nie jest, gdy kadra ślęczy w firmach 10-12 godzin dziennie, a na kilka godzin wpada do pracy także w soboty i niedziele. Ktoś musi tym ludziom sprzątać, wykonywać naprawy domowe, odbierać ich dzieci z przedszkola, prać i prasować. W Szwecji już prawie nikt nie wierzy w obietnice rządzących socjaldemokratów, że uda im się obniżyć bezrobocie. Dawny aksjomat ekonomistów, że wzrost GDP pociąga za sobą większą ilość miejsc pracy, był prawdziwy w epoce industrialnej, ale dziś przeszedł już do sfery mitów. Zresztą cała logika nowoczesnego gospodarowania wskazuje, iż w przyszłości coraz mniej ludzi będzie miało stałą i pełnoetatową pracę.

Wbrew mitom krążącym w Polsce o Szwecji, szwedzki pracobiorca nie mógł nawet marzyć o takich zarobkach, przywilejach i zabezpieczeniach socjalnych jak jego niemiecki kolega. Szwedzcy dziennikarze zadali niedawno pytanie

wiceprzewodniczącej niemieckiej centrali związkowej DGB, czy rzeczywiście godzina pracy niemieckiego robotnika-metalowca musi być aż o **60% droższa** niż godzina pracy robotnika szwedzkiego; Ursula Engelen-Kefer przyznała, iż niemieckie uposażenia są wyjątkowo wysokie, ale nadmieniła, że nie wyjaśnia to całkowicie krytycznej sytuacji na niemieckim rynku pracy. I trzeba się z nią zgodzić. Wprawdzie niemieckie bezrobocie osiągnęło już poziom ze złowrogiego roku 1933, ale i tak jest ciągle niższe od pełnego bezrobocia szwedzkiego, które według danych na koniec lutego 1997 wynosiło 13,4%. Co jakiś czas przynoszą media informacje o przenoszeniu kolejnych fabryk za granicę; ot, 26 marca koncern Ericssona ogłosił decyzję o przeniesieniu swoich zakładów z Norrköping, co oznacza utratę pracy dla 1700 zatrudnionych tam Szwedów. Przeniesienie produkcji nie stanowi w dzisiejszym świecie żadnego problemu. Modą dnia jest ponadto *outsourcing*, sprowadzający się do hasła: „Nie produkuj sam niczego, co taniej mogą zrobić podwykonawcy, poddani w dodatku presji wzajemnej konkurencji i krótkich kontraktów”. W macierzystym kraju może pozostać tylko sztab koncernu. Wiedzą o tym szwedzkie związki zawodowe i stąd ich pokora, z jaką zasiadają do rokowań z pracodawcami. W prasie fachowej stawiana jest Szwecja często właśnie Niemcom za wzór skutecznego ograniczania państwa opiekuńczego. Mimo to opinia kraju „rozwydrzonych” związków zawodowych będzie jeszcze długo ciążyć na imieniu Szwecji.

Powiedzmy sobie szczerze – płonące opony, blokady dróg i cały negatywny klimat, jaki „Solidarność” wytwarza wokół prywatyzacji czy zagranicznych inwestycji na pewno nie zachęci żadnego z zachodnich koncernów do przenoszenia produkcji czy szukania podwykonawców w Polsce. Najwyraźniej jednak kierownictwo „Solidarności” nie myśli ani o nowych miejscach pracy, ani o tym, co zrobić z armią „zbędnych ludzi” (która w szybkim tempie powiększać się będzie o dzisiejszych właścicieli karłowatych gospodarstw rolnych), ani o tym, jak desperacka obrona „dinozaurów” i absurdałna propozycja „płacy rodzinnej” odbierane są w Unii Europejskiej. Liczy się tylko przejęcie władzy, dla którego Marian Krzaklewski i jego kompani zdecydują się na każdą demagogię.

„Zapach Jalty” z Helsinek

„Respektujemy prawo każdego kraju do prowadzenia własnej polityki” – powiedziała dn. 22 marca 1997, w dzień po szczycie w Helsinkach, szwedzka minister spraw zagranicznych, Lena Hjelm-Wallén. – „Nie znam naturalnie szczegółów helsińskich rozmów” – kontynuowała szwedzka minister – „ale uważam, iż należy jednoznacznie podkreślić prawo państw bałtyckich do samodzielnego wyboru polityki bezpieczeństwa” (DN, 23 III 1997).

Lena Hjelm-Wallén wyraziła ubolewanie z powodu wypowiedzi Jewgenija Primakowa, który w Helsinkach wręcz dosłownie powtórzył swoje wcześniejsze oświadczenie z Kopenhagi z 26 lutego 1997: przyjęcie państw bałtyckich do NATO zniszczyłoby całkowicie stosunki Rosji z Paktem. Minister Hjelm-Wallén przyznała, iż miała nadzieję, że po helsińskim spotkaniu Clintona i Jelcyna porzuci Rosja zimnowojenną retorykę.

Nadmiemy od razu, że była nauczycielka, Lena Hjelm-Wallén nie jest już dłużej „pierwszą naiwną” w polityce zagranicznej, a więc jej powyższą nadzieję należy traktować jako stylistyczną figurę „politycznej poprawności”, tak bliskiej szwedzkim socjaldemokratom. Nawet zwykły czytelnik gazet zdawał sobie sprawę, że na spotkaniu w Helsinkach – gdzie obie strony będą musiały pójść na pewne ustępstwa – Rosja wykluczy kategorycznie ewentualne członkostwo w NATO państw wchodzących dawniej w skład Związku Sowieckiego. Zaciekły upór Rosji nie dotyczy tylko trzech, ostatecznie bardzo niewielkich, państw bałtyckich, ale przede wszystkim – Ukrainy.

Uchwalona w styczniu 1997 przez Radę Najwyższą Ukrainy „Koncepcja bezpieczeństwa narodowego” porzuca dotychczasowy aksjomat neutralności i pozostawiania poza blokami wojskowymi. „Koncepcja” dopuszcza udział Ukrainy w międzynarodowych systemach bezpieczeństwa, choć żadnego z nich nie wymienia z nazwy. Jednakże – jak w *Svenska Dagbladet* napisał Jan Blomgren – „Ukraina już otwarcie zaczęła flirtować z NATO” (SvD, 23 III 1997); minister spraw zagranicznych Ukrainy, Gennadij Udowenko powiedział

wszak w czasie niedawnej wizyty w Brukseli, iż dla jego kraju członkostwo w NATO jest „jednym z najważniejszych celów strategicznych”. Prasa szwedzka podkreśla, że relacje ukraińsko-rosyjskie są od dłuższego czasu bardzo napięte. Zapowiedziane od dawna spotkanie prezydentów: Jelcyna i Kuczmy odwołane jest w nieskończoność, a premier Czernomyrdin też nie kwapi się do kontaktów ze swoim ukraińskim kolegą. Wymienia się przy tym kilka ważnych punktów spornych, uniemożliwiających chwilowo normalizację stosunków ukraińsko-rosyjskich.

Problem Floty Czarnomorskiej, stacjonującej w Sewastopolu i w ogóle problem Krymu, który jest – jak napisała cytowana powyżej *Svenska Dagbladet* – „półwyspem podarowanym w roku 1954 Ukrainie przez Nikitę Chruszczowa, a zamieszkałym w 70% przez etnicznych Rosjan”.

Ponieważ szwedzcy dziennikarze i analitycy uważają, iż u podłoża wszelkich konfliktów tego świata zawsze leży spór o pieniądze, więc w tych też kategoriach tłumaczą problem Floty Czarnomorskiej i kwestionowanie przez niektórych polityków moskiewskich praw Ukrainy do Sewastopola. Skoro Rosji nie stać na dzierżawę bazy i utrzymanie Floty, Ukraina uważa, iż o wysokość należnych jej z tego tytułu kwot powinny być zmniejszone ukraińskie długi za dostawy rosyjskiego gazu. Straciłby na tym oczywiście rosyjski dostawca, Gazprom, nie tylko powiązany z premierem Czernomyrdinem, ale mający też wpływ na sporą część rosyjskiej elity polityczno-gospodarczej.

Innym punktem spornym jest kontrakt zawarty przez Ukrainę z Pakistanem w roku ubiegłym, dotyczący sprzedaży 320 ukraińskich czołgów T-80. Podwykonawcami pewnych elementów do tych znakomitych czołgów są zakłady rosyjskie. Moskwa, która od lat dostarcza uzbrojenie Indiom – traktowanym nadal (choć już chyba przesadnie!) jako rosyjski partner strategiczny – uważa, iż Ukraina nie powinna bez rosyjskiej akceptacji zawierać takiego kontraktu właśnie z Pakistanem, historycznym wrogiem Indii.

Najdorodniejszą jednak kością niezgody w stosunkach ukraińsko-rosyjskich jest sama idea włączenia Ukrainy w strukturę Zachodu. Ostatecznie jest Ukraina krajem, którego obszar i potencjał daje szansę stania się w przyszłości mo-

carstwem europejskim, a niezależna Ukraina jako mocarstwo, zintegrowana z Zachodem wojskowo (NATO) i gospodarczo (Unia), oznacza kres marzeń Rosji o odzyskaniu pozycji supermocarstwa. Gdyby scenariusz ten stał się rzeczywistością, pozostawałaby Rosji tylko długa i ciernista droga do Unii Europejskiej, w której wszak mogłaby odgrywać jedną z głównych ról. Szwedzki komentator, Rolf Gustavsson niewątpliwie słusznie zauważył, że „sugestię Jelcyna, iż w przyszłości Rosja także mogłaby zostać członkiem Unii Europejskiej, należy traktować jako pomysł, który Niemcy nazywają *eine Schnapsidee*” (SvD, 25 III 1997), ale przecież na Kremlu muszą być brane pod uwagę różne scenariusze przyszłości.

Chwilowo jednak obowiązuje twarde *niet* nawet wobec napomknienia, iż którakolwiek z „republik” dawnego Związku Sowieckiego mogłaby pozostać członkiem NATO.

Trzeba tu powiedzieć otwarcie, iż motywowana faktami polityki wewnętrznej USA i Rosji konieczność osiągnięcia przez Clintona i Jelcyna jednak jakiegoś porozumienia w Helsinkach budziła duży niepokój w całej Skandynawii. Obawiano się po prostu, mówiąc o tym otwarcie, „nowej Jałty”. Określenia tego użył wprost, w liście wysłanym dn. 20 marca do swojej partii z Sarajewa, były premier Szwecji, Carl Bildt. Przypominam, że jest on politykiem proamerykańskim oraz przywódcą szwedzkich moderatów, partii prawicowej i konserwatywnej. Carl Bildt napisał, że nad szczytem w Helsinkach unosi się „wyraźny zapach Jałty” (DN, 21 III 97). Zaniepokojone głosy dobiegły także z Danii. Jednym z nich był list do prezydenta Clintona, podpisany przez 27 polityków i intelektualistów (np. takie znane osoby, jak Gert Petersen, przewodniczący Socialistisk Folkeparti w latach 1974-91 czy pisarz i inicjator wielu debat politycznych, Ebbe Kløvedal Reich). Sygnatariusze listu apelowali do prezydenta USA, aby jeszcze raz rozważył zasadność rozszerzania NATO, o ile ceną za to byłby nowy podział Europy na bloki czy określone między mocarstwami strefy wpływów. Warto też przypomnieć, że wyraźny brak entuzjazmu wobec planów przyjęcia do NATO nowych członków okazał wcześniej szwedzki Naczelny Wódz, Owe Wiktorin. Przemawiając do grona ekspertów w zakresie obrony, zaproszonych do ośrodka Fundacji

Gällöfsta w dn. 23 stycznia 1997, stwierdził generał Wiktorin, iż nowy porządek bezpieczeństwa w Europie i tak będzie tworzony przez dłuższy okres czasu, w ciągu 10-15 lat przynajmniej. Nikt nie wie dziś, uważa Naczelny Wódz Szwecji, czy za 10-15 lat USA będą nadal chciały wyřęczać w akcjach wojskowych Unię Europejską, która jest wystarczająco bogata, aby móc wreszcie przyjąć odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo i własne problemy wewnętrzne typu Bośni. Nowy porządek europejskiego bezpieczeństwa, stwierdził Owe Wiktorin, powinien być budowany sukcesywnie, powinien być raczej „ewolucją niż rewolucją”. Państwowi, którym udało się wyzwolić spod sowieckiej hegemonii powinien Zachód przede wszystkim pomóc stworzyć własne, nowoczesne siły obrony, mogące choć w pewnej mierze podejmować działania samodzielne. W przeciwnym razie istnieje obawa, iż nowi członkowie NATO będą traktowani jak jakaś druga kategoria, a państwa, które do atlantyckiego klubu chwilowo nie będą przyjęte, będą musiały być zaliczane do rosyjskiej strefy wpływów.

Piszący te słowa, skądinąd zdecydowany zwolennik szybkiego przyjęcia Polski do Unii Europejskiej i NATO, pozwolił sobie w tym miejscu zauważyć, iż należy zrozumieć tych wszystkich, którzy – wbrew zapewnieniom Billa Clintona – twierdzą, że nowi członkowie Paktu Północnoatlantyckiego będą jednak stanowić NATO *minorum gentium*. Oprócz szeregu rekompensat, które wywalczyła świetna dyplomacja rosyjska, Pakt zobowiązał się do nieprzemieszczania swoich wojsk i militarnej infrastruktury na terytoria nowych członków, a rozważana jest nawet koncepcja dobrowolnego dostarczenia Rosji przez NATO codziennego serwisu zdjęć lotniczych z Polski, dotyczących obrony powietrznej naszego kraju.

– „To co się stało, nie musi jeszcze być katastrofą” – powiedział po szczycie w Helsinkach weteran szwedzkiej dyplomacji, Sverker Aström, analizujący na polecenie szwedzkiego rządu sytuację bezpieczeństwa w ramach Unii Europejskiej (DN, 23 III 1997). Szwedzcy socjaldemokraci uważają, iż kraj ich oraz Finlandia i Dania muszą uczynić teraz wszystko, co w ich mocy, aby państwa bałtyckie również objął proces integracji z Unią Europejską, członkostwo w której jest

przecież także silną gwarancją bezpieczeństwa. Identycznego zdania jest Carl Bildt, który w cytowanym powyżej liście do swojej partii wyraża ponadto ubolewanie, iż niektóre państwa europejskie świadomie zapominają o istnieniu Bałtów. Przywódca szwedzkiej prawicy również wyraża pogląd, iż nordyccy członkowie Unii Europejskiej: Dania, Finlandia i Szwecja nie powinni dopuścić do przekształcenia Balticum w szarą strefę wpływów Rosji.

Stanowisko Szwecji w sprawie przyjmowania nowych członków do Unii Europejskiej jest dość konsekwentne:

- Rokowania rozpoczynają się równocześnie ze wszystkimi kandydatami, także z państwami bałtyckimi i bałkańskimi.
- Rząd szwedzki nie uważa natomiast, aby trafną była koncepcja zakończenia rokowań ze wszystkimi kandydatami także w tym samym czasie. Dodajmy od siebie, że koncepcja ta, coraz częściej wysuwana w Brukseli, ma po prostu odsunąć rozszerzenie Unii *ad calendas Graecas*, gdyż łatwo można sobie wyobrazić, ile czasu upłynie, zanim, powiedzmy, Bułgaria osiągnie stopień zaawansowania Czech, Estonii czy Polski.
- Ocena zaawansowania ustrojowej transformacji krajów postkomunistycznych powinna przede wszystkim uwzględniać następujące kryteria: stopień prywatyzacji, wolność przedsiębiorczości, dostosowanie prawa do przepisów Unii, otwarcie dla kapitału zagranicznego. Filozofia gospodarki i zakres reform strukturalnych powinny mieć w ocenie zaawansowania reform priorytet wobec tzw. warunków konwergencji z Maastricht, gdyż przecież kraje kandydackie nie starają się o przyjęcie do EMU, przynajmniej nie w pierwszym etapie.
- Ze względów politycznych należy w pierwszym rzucie przyjąć kraje z całego obszaru postsowieckiego, a więc, powiedzmy, jeden kraj wyszehradzki, jeden bałtycki (wyjątkowo mocnym kandydatem jest Estonia) i jeden kraj południowej Europy (tu w grę wchodzić może tylko Słowenia).

Choć powyższe poglądy na proces rozszerzenia Unii wydają się rozsądne i spójne, nie są wcale podzielane przez wszystkich członków brukselskiego klubu. W Unii istnieją państwa, które mają w tej kwestii poglądy odmienne, a jedno z nich: Francja – wyraża je mniej lub bardziej otwarcie. W Szwecji, która bynajmniej nie z altruizmu wzięła na siebie rolę adwokata Bałtów w Unii, stanowisko Francji budzi duże zaniepokojenie. Gdy w końcu stycznia 1997 minister Hervé de Charette przyjechał do Sztokholmu, Ingrid Hedström pisała w *Dagens Nyheter*:

„W kancelarii szwedzkiego rządu zadaje się ostatnio pytanie, jakie właściwie jest stanowisko Francji w sprawie rozpoczęcia rokowań o rozszerzeniu Unii na Wschód. Dotychczas Francja dawała powody do mniemania, że Paryż, podobnie jak Szwecja, jest zwolennikiem równoczesnego rozpoczęcia rokowań ze wszystkimi krajami-kandydatami. Jednak ostatnio nadeszły z Pałacu Elizejskiego sygnały odmienne. Niejasność tę powinien minister spraw zagranicznych Hervé de Charette wyjaśnić w swoich dzisiejszych rozmowach z panią Leną Hjelm-Wallén i premierem Perssonem” (*DN*, 28 I 1997). Francuski minister najwyraźniej to wyjaśnił, przynajmniej w instrukcjach wydanych swoim podwładnym. *Svenska Dagbladet* cytowała niedawno wypowiedź pewnego francuskiego dyplomaty, który wręcz oburzał się na szwedzkie pomysły przyjęcia do Unii Europejskiej w pierwszym rzucie przynajmniej jednego z państw bałtyckich. – „Już sam fakt, że kraje te zamieszkuje mniejszość rosyjska, stanowiąca przeciętnie 30% ludności, stwarza poważny problem bezpieczeństwa – twierdził tenże dyplomata. – Czy Szwecja zamierza przejąć odpowiedzialność za bezpieczeństwo tych krajów, czy też oczekuje, że brzemień to wezmą na siebie Francja, Niemcy i Wielka Brytania?” (*SvD*, 23 III 1997).

Z powyższej, wcale nie odosobnionej wypowiedzi można by wyciągnąć wniosek, iż Francja sugeruje Bałtom przeciwne ostatnio w Europie rozwiązanie typu „etnicznej czystki”. Czyżby duch partii Le Pena dotarł już do francuskiego korpusu dyplomatycznego? I co w takim razie z członkostwem w Unii innych państw, mających pokaźne mniejszości narodowe? Znamienne, że gdy ambasador Łotwy przy Unii Europejskiej, Juris Kanels udzielał ostatnio wywiadu

szwedzkiemu dziennikowi businessu *Dagens Industri*, to podkreślił, iż mimo różnych napięć, państwom bałtyckim udało się harmonijnie utrzymać model wielokulturowości. Juris Kanels zauważył, iż na Łotwie żyją nie tylko Łotysze, ale także Rosjanie, Polacy, Białorusini – w sumie 20 narodowości, z których żadna nie jest i nie będzie wypędzana.

WEU czyli Unia Zachodnio-Europejska ma stać się zbrojnym ramieniem Unii Europejskiej. Planuje się, iż WEU będzie nabierać życia i ciała w trzech etapach – ostatni z nich polegać będzie na praktycznym utożsamieniu się WEU i EU. Ten francuski pomysł popierany jest przez Niemcy, Włochy, Hiszpanię i kraje Beneluksu. Pozostali członkowie „piętnastki” odnoszą się do niego sceptycznie, a Wielka Brytania nawet wrogo. Szwecji, która pozostaje poza wielkimi blokami wojskowymi, problem ten mniej dotyczy, gdyż ma przyobiecana formalną dispensę. Sprowadza się ona do gwarancji, iż Szwecja nie skorzysta z prawa weta, o ile „w okresie przejściowym” będzie wyłączona z procesu stapiania się WEU z EU. Jednak z ostatnich wypowiedzi minister Hjelm-Wallén wynika, iż problem fuzji WEU-EU nabrał dla Szwecji wielkiej aktualności; powodem jest obawa o los Bałtów. Zauważmy, iż Rosja nie sprzeciwia się *werbalnie* przystąpieniu państw bałtyckich do Unii Europejskiej. Rosja natomiast odrzuca kategorycznie koncepcję włączenia swojej „bliskiej zagranicy” do jakichkolwiek zachodnich bloków wojskowych. Stapianie się WEU i EU oznacza *de facto* przekształcenie się Unii Europejskiej **także** w pakt wojskowy, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami i gwarancjami dla poszczególnych członków. Zaplanowanie i realizacja takiego scenariusza rozwoju Unii dodatkowo utrudniłaby przyjęcie Bałtów do brukselskiego klubu. Szwecji stwarza to poważny dylemat: z jednej strony musi w swoim własnym interesie walczyć o to, by Balticum nie było wyłączone z procesu europejskiej integracji, z drugiej strony obiecała jednak w zamian za dispensę „okresu przejściowego” nie korzystać z prawa weta przy ewolucji WEU. Problem jest poważny, ale na szczęście nie musi go Szwecja rozwiązywać samotnie.

Pisane 28 marca 1997

Stefan ABNER

Wywiady „Kultury”

Trzeba mówić jak najjaśniej

WYWIAD Z MARCELEM REICH-RANICKIM

Andrzej STACH: – *Wiem, że obecnie pisze Pan swoją autobiografię i ze względów wydawniczych wolałby Pan nie rozmawiać na ten temat. Mimo to, chciałbym Pana prosić przynajmniej o kilka zdań odnośnie swej osoby.*

Marcel REICH-RANICKI: – Dobrze, ale naprawdę tylko kilka zdań. Urodziłem się w roku 1920 we Włocławku nad Wisłą. Rodzice moi byli Żydami. Ojciec pochodził z rosyjskiego zaboru z Płocka, matka z zaboru pruskiego. Macierzystym językiem mojej matki był niemiecki. We Włocławku chodziłem do szkoły ewangelickiej, ponieważ moja matka chciała, żebym uczęszczał do szkoły z niemieckim językiem wykładowym. Od 29 roku, kiedy akurat skończyłem 9 lat, mieszkałem w Berlinie. Tam chodziłem do szkoły powszechnej, potem do gimnazjum i zrobiłem maturę w roku 38. Pół roku później zostałem aresztowany i deportowany do granicy polskiej. W tym czasie zresztą słabo już znałem język polski, ale po pewnym okresie nauczyłem się go i potem pisałem po polsku. Przez cały czas, kiedy mieszkaliśmy w Polsce, pisałem do różnych pism polskich, przede wszystkim do *Nowej Kultury* i do *Twórczości*, czasem do *Przeglądu Kulturalnego* i do *Życia Warszawy*.

W Polsce pisałem wyłącznie o literaturze niemieckiej, ponieważ najbardziej mnie interesowała. Literatura niemiecka jest też w centrum moich zainteresowań po dzień dzisiejszy.

Tutaj w Niemczech piszę oczywiście również o innych literaturach, także ze względów higienicznych, bo trzeba dla porównania od czasu do czasu pisać o czymś innym, a nie tylko o literaturze niemieckiej. Najczęściej piszę wtedy o literaturach anglosaskich. Dość dużo napisałem o literaturze amerykańskiej, czasem też omawiałem coś z literatury francuskiej, włoskiej, rosyjskiej, ale to rzadko. Głównym moim zajęciem była i jest krytyka i historia literatury niemieckiej. Mówię, że historia, bo to przecież w Anglii jest przyjęte, a nie w Polsce, że można pisać krytykę na temat literatury XVIII wieku. Tutaj w Niemczech jest to właściwie też niemożliwe, gdyż krytyka jest zawsze o literaturze plus minus współczesnej albo ostatnich 50 lat. Pisałem tutaj dużo też o Lessingu, o Goethem, o Kleiście, o Heinem oczywiście, o Börnem i sporo o literaturze niemieckiej XIX wieku. Ale centralnym tematem moim była i jest nadal współczesna literatura niemiecka.

A. S.: – *Jak przeżył Pan okupację po deportacji do Polski?*

M. R.-R.: – Znalazłem się w getcie warszawskim. Tam pracowałem w Gminie Żydowskiej, która nazywała się Judenrat, Rada Żydowska. Mimo, że byłem bardzo młody, byłem kierownikiem biura korespondencji i tłumaczeń, a to po prostu dlatego, że najlepiej z ludzi tam zatrudnionych znałem język niemiecki. Na marginesie dodam, że u mnie w tym biurze pracowała dobra pisarka polska, Gustawa Jarecka, która zatrudniła się jako maszynistka, żeby zarobić coś na życie. Jej główna powieść to „Ludzie i sztandary”. Jarecka została przez Niemców zagazowana w Treblince. W Judenrat pracowałem do 43 roku. Potem uciekliśmy z getta i przeżyliśmy w ukryciu. Po wojnie byłem nadal w Polsce.

A. S.: – *Czy ożenił się Pan tutaj, w Niemczech, czy w Polsce?*

M. R.-R.: – W Polsce, w 42 roku. Byliśmy bardzo młodzi i ślub wzięliśmy w dużym pośpiechu, ponieważ mieliśmy nadzieję, że ona będzie mogła łatwiej przetrwać, jeśli będzie

moją żoną. To były złudzenia, bo Niemcy własnych zarządzeń w tym zakresie w ogóle nie brali na serio. Potem, tzn. chyba w 56 roku, kiedy po raz pierwszy i ostatni w życiu pojechaliśmy turystycznie z wycieczką Związku Literatów na dwa tygodnie do Związku Sowieckiego, okazało się, że ten ślub, który mamy, jest nieważny i nie chcieli żonie dać paszportu polskiego. Urzędnik powiedział, że to trzeba odtworzyć sądownie i że to sprawa kilku miesięcy. A ta podróż miała być w następnym tygodniu. Na to ja mu powiedziałem: kochany panie, jeśli pan mówi, że moja żona nie jest moją żoną, to ja mogę się z nią ożenić. On powiedział, że nie ma żadnych trudności. „Metryka urodzenia pana i pańskiej ‘quasi-żony’, dwóch świadków i sprawa załatwiona”. I tak zrobiliśmy. Tak, że ja dwukrotnie się ożeniłem w życiu. To wszystko chyba, co do biografii.

A. S.: – *Tak się składa, że niedawno polska poetka Wisława Szymborska otrzymała literacką nagrodę Nobla. Czy sprawdziły się Pana słowa wypowiedziane w jednym z wywiadów, że już wkrótce w Niemczech nikt nie będzie o niej pamiętał?*

M. R.-R.: – Obawiam się, że miałem rację i mam rację. Dla poetów polskich jest rzeczą nadzwyczaj trudną, zdobyć publiczność w Niemczech. Istnieją dobre tłumaczenia poezji polskiej, istnieją tłumacze, którzy wielki zadają sobie trud, ale liryka w Niemczech w ogóle ma stosunkowo małą publiczność, także liryka niemiecka, a tym bardziej liryka obcych krajów. Co innego liryka francuska czy angielska, bo jednak jest dużo Niemców, którzy znają francuski albo angielski. Ale kto zna język polski? Liryka jest właściwie nieprzetłumaczalna. Ja się tym zajmowałem trochę w odwrotnym kierunku. Wydałem kiedyś w Polsce tomik wierszy Goethego. Najlepsi poeci zadali sobie trud, tłumaczyli Goethego, ale te wszystkie tłumaczenia są właściwie marne. Wyjątkiem jest „Rękawiczka” Schillera, ale to przetłumaczył Mickiewicz, to brzmi po polsku. Piękny jest przekład „Pieśni Mignon”, „Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?”. Ale takich niemieckich poetów miary Mickiewicza, którzy by znali polski, nie ma. Niestety, Schiller, Kleist, czy Hölderlin nie znali polskiego. Gdyby

znali, może by przetłumaczyli pięknie wielkich poetów polskich. Żyję już prawie 40 lat w Niemczech, obcując wśród literatów i dziennikarzy, ale nie spotkałem jeszcze ani jednej osoby, która znałaby nazwisko Juliusza Słowackiego.

Trzeba się z tym pogodzić, że poezja jest nieprzetłumaczalna. I to nie jest jakieś nieszczęście polskiej poezji. Także rosyjska poezja jest tutaj zupełnie nieznaną. Nikt nie zna Lermontowa, nikt nie zna Niekrasowa. To są wielcy poeci, ale trzeba znać rosyjski. Także Puszkina znają tutaj z powodu opery „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego. Raczej proza Puszkina jest znana. Na to nie ma rady i tu nic nie zmieni Nagroda Nobla. Ja nie chcę nikogo obrażać. W Polsce ludzie są zawsze tacy przeczuleni. Zaraz дума narodowa jest urażona. A przecież także Japończyk Oe dostał Nobla i co? Nikt go w Niemczech nie czyta i nikt go nie będzie czytał. Jasne, że literatura polska jest bliższa Niemcom, niż japońska. Ale chcę powiedzieć, że Nobel nie zmienia stanu rzeczy. Jeśli Nobla dostałby, powiedzmy, jakiś mało znany pisarz amerykański, ale bardzo dobry, to Nobel zwraca uwagę na istnienie tego pisarza i może się przyczynić do dużego sukcesu. Ale pisarzom afrykańskim to nic nie pomaga. To jest kraj wolny i w wolnym kraju nie można ludzi zmusić do tego, żeby czytali to, co ktoś chce, władza czy wydawca, czy ktokolwiek.

A *propos* Nobla i polskiej literatury: nie ma wątpliwości, że Czesław Miłosz jest wybitnym, wspaniałym poetą. Ten Nobel nie bardzo mu pomógł. Liryka Miłosza nie jest tutaj znana. Są trochę znane niektóre jego książki pisane prozą, o jego młodości w Wilnie, także rzeczy autobiograficzne. Oczywiście nie mają one jakichś licznych czytelników, ale trochę się je czyta. Ludzie zawsze prędzej czytają prozę polską, niż lirykę. Tak, że ja nie wierzę, żeby Szymborska tu zażyła. Herbert jest znany tutaj, ale też proza jest znana, nie tylko liryka.

A. S.: – *Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymali jeszcze dwaj pisarze polscy, tj. Reymont i Sienkiewicz. Czy Pana zdaniem ich los w świadomości niemieckiego czytelnika podobny jest do przypadku Szymborskiej, czy też są bardziej znani?*

M. R.-R.: – Nie tylko podobny, ale identyczny. To znaczy, Sienkiewicz był w Niemczech bardzo popularny prawie do drugiej wojny światowej. W mojej młodości w latach trzydziestych w Niemczech książki Sienkiewicza były tanie, ukazywały się w różnych seriach i bibliotekach. To jednak nie ma nic wspólnego z Noblem. Sienkiewicz napisał książkę, która Niemców bardzo interesuje, „Quo vadis?”. To jest sprawa tematyki. Wszystkie inne jego książki, a liczne były tłumaczone, nie znalazły wielu czytelników. „Quo vadis?” opisuje najwcześniejszy okres chrześcijaństwa, stary Rzym. Książka napisana jest tak, że trzyma czytelników w napięciu. „Quo vadis?” nie jest literaturą obcą dla czytelnika niemieckiego. Jeśli chodzi o styl, o podejście do tematu, to nie jest inne niż w książkach Gustava Freytaga czy Felixa Dahna (Felix Dahn „Ein Kampf um Rom”). To jest ten sam styl, ta sama – plus minus – tradycja literacka. I „Quo vadis?” zdobył Sienkiewiczowi licznych czytelników.

Inaczej już wygląda sprawa z Reymontem. „Chłopi” Reymonta to dzieło wybitniejsze niż „Quo vadis?”. Tłumaczenie niemieckie „Chłopów” jest dobre i dzięki temu tłumaczeniu Reymont dostał Nobla. Nie dostałby inaczej. Nie można było przecież złożyć w Sztokholmie książki w języku polskim, ale można było wówczas, a może i dziś można złożyć powieść w języku niemieckim. Ta powieść jest tak dobrze tłumaczona, bo tłumaczenie redagował dobry pisarz niemiecki Carl Hauptmann, brat Gerharta Hauptmanna. On redagował manuskrypt tłumaczenia, choć nie znał polskiego, ale niemiecki znał świetnie. Zrobił to za 1000 marek, Tausend Goldmark (tysiąc marek w złocie – A.S.), to była duża suma, a Carl Hauptmann nie był bogatym autorem i pieniądze były mu potrzebne. Nie, książka Reymonta nie zdobyła licznych czytelników. Film *Wajdy* „Ziemia obiecana” wzbudził trochę zainteresowania, ale kiedy rozmawiam dziś czy rozmawiałem trzydzieści lat temu z kolegami niemieckimi, nikt z nich nie słyszał nazwiska Reymonta. Ja mówię, że dostał Nobla. – Tak, dostał Nobla? No tak, a kto nie dostał Nobla – odpowiadają mi. Reymont nie jest znanym pisarzem. Niestety, ubolewam. Właściwie szkoda, bo przecież „Chłopi” to świetnie napisana powieść.

A. S.: – *Co Pana zdaniem jest powodem małej popularności literatury polskiej w Niemczech, czy chodzi tutaj o sam warsztat pisarski, czy jest to specyfika poruszanych w niej problemów, czy też polska literatura nie jest np. na tyle uniwersalna, aby mogła poruszyć emocje szerszych rzesz czytelników niemieckich? A może, Pana zdaniem, jest to literatura w jakimś sensie nawet prowincjonalna, regionalna?*

M. R.-R.: – Nie, nie można powiedzieć, że to literatura prowincjonalna. Byłoby to określenie trochę niesprawiedliwe. Nikłe powodzenie literatury polskiej w Niemczech ma różne powody. To jest problem językowy; problem drugi bardzo ważny, to problem formy literatury polskiej; trzeci problem dotyczy tematu literatury.

Zacznijmy od tematu. Istnieje piękne stwierdzenie Adolfa Rudnickiego, które cytuję z pamięci: „Nasza literatura zawsze krzyczała, i to raziło obcokrajowców. A kiedy przestała krzyczeć, raziło to nas, myśmy tego nie mogli znieść”. To znaczy, wielka część literatury polskiej XIX wieku porusza tematykę walki o wolność i niepodległość. To jest dla Niemców strasznie nudne. I to nie jest tylko problem Polski. To jest problem walk niepodległościowych i wolnościowych w ogóle. Ta problematyka nikogo na świecie nie interesuje, bo nie tylko Polacy walczyli o wolność i niepodległość, ale także Węgrzy, także Włosi. Ale tego nikt nie chce czytać. To jest – plus minus, *praeter propter* – literatura narodowa. I może być to znakomita literatura narodowa, ale międzynarodowa literatura to nie jest. To nie są tematy, które interesują ludzi. O! Jak to było, kiedy Anna Karenina zaczęła spać z Wrońskim, co się tam działo, to jest międzynarodowy temat. „Bracia Karamazow”, czy ta historia Raskolnikowa, który zamordował tę starą niewiastę, to są rzeczy, które zdobyły cały świat. Nie jest to tylko genialność Dostojewskiego czy Lwa Tołstoja, ale także tematyka.

Co właściwie interesuje ludzi? Czego ludzie szukają w literaturze? Co zdobywa literaturze jakiegoś narodu echo w innym narodzie? Właściwie są dwa tematy literatury. Jeden, to przemijanie. To jest jakiś podstawowy temat literatury, że ludzie się starzeją i umierają, że wszystko mija i przemija. To

jest oczywiście wielki temat. Drugi temat to obraz cierpień ludzkich. Cierpienia są niezależne od epoki. Cierpienia Antygony są jeszcze dziś aktualne i cierpienia bohaterów Hemingwaya interesują ludzi we wschodniej Azji jeszcze do dziś. Literatura polityczna, literatura pokazująca właśnie walkę o wolność, o niepodległość, nie jest dla innych narodów zbyt ciekawa. Są utwory literatury polskiej – nie tylko poetyckie – które w ogóle nikogo nie interesują, jak np. niektóre powieści Żeromskiego na te właśnie tematy. To ludzi gdzie indziej nie bardzo obchodzi. Tyle odnośnie tematyki literatury polskiej.

Drugi problem to oczywiście sprawa formy i języka. To są dwa różne problemy. Co to znaczy problem formy? Otóż każda literatura w jakiejś dziedzinie jest mniej lub bardziej wybitna. A ja jestem przekonany, że w polskiej literaturze jest wybitna, wspaniała liryka. Liryka i znowu liryka. I dramat oczywiście, dramat poetycki pisany wierszem. Jeśli idzie o powieść polską, to nie wydaje mi się, żeby była zbyt wybitna. To jest nie tylko problem literatury polskiej. Ogromne echo zdobyła np. literatura francuska, powieści Balzaca, Zoli, Stendhala, Flauberta. Także powieść angielska i rosyjska, ale niemiecka nie. W Polsce nikt nie znał w ogóle niemieckiej prozy dziewiętnastego wieku. Ja w Polsce Ludowej zrobiłem pierwsze wydanie książki Fontanego. Fontane jest największym niemieckim pisarzem drugiej połowy XIX wieku, całej tej epoki po śmierci Heinego i przed rozpoczęciem działalności Tomasza Manna. Ale Fontane, który ma olbrzymią publiczność w Niemczech i jest bardzo czytany po dziś dzień, nie spotkał się z żadnym echem poza granicami Niemiec. Nie znają go nigdzie. Dla „Czytelnika” przygotowałem wydanie jego książki „Schach z Wutenow”. Potem, kiedy już byłem tutaj, wydano inne książki Fontanego. O ile wiem, to nie miało żadnego znaczenia. Dziś, po stu czy stu trzydziestu latach jest za późno, żeby rozpowszechnić w Polsce utwory Fontanego z XIX wieku. Na odwrót jest tak samo. Powieściopisarze tacy, jak Bolesław Prus, jak Żeromski, proza Orzeszkowej, Konopnickiej, to wszystko nie ma znaczenia w Niemczech. Nie ma oddźwięku. Mogłaby mieć wielkie echo liryka, ale to jest, jak już mówiłem, problem tłumaczenia. Nie ma takich tłumaczeń, które by rzeczywiście, pomijając wyjątki, oddawały jakoś tej poezji.

Jeżeli chodzi o recepcję literatury polskiej, to istnieje taki charakterystyczny przykład. Mniej więcej półtora roku temu w ramach festiwalu „Salzburger Festspiele” wystawiono „Wesele” Wyspiańskiego w inscenizacji Andrzeja Wajdy. „Wesele” istniało już w starszym tłumaczeniu, ale Karl Dedecius przetłumaczył utwór na nowo. Nie sprawdzałem tłumaczeń, ale jestem pewien, że tłumaczenie Dedeciusa jest lepsze niż to poprzednie. Wystawiono je więc w Salzburgu, i to był bardzo niemądry krok. Przed premierą opowiadano, że to jest arcydzieło dramatu polskiego, a wszyscy potem mówili, że ładna to musi być literatura, jeśli to uchodzi za arcydzieło. Nie wolno było tego wystawiać, bo nikt tego w Niemczech nie zna. Jest to tematyka tak obca Niemcom, że oni wprost pisali, iż odkryto nieznanego twórcę, ale niestety niepotrzebnie. Nie można tego grać po niemiecku. To jest zupełnie obce, te postacie, jak np. postać Stańczyka. Przecież to trzeba byłoby grać z przypisami. A przypisy na scenie, jak wiadomo, nie są możliwe. Dotyczy to również dramatu poetyckiego, czego przykładem są „Dziady”. Istnieją wprawdzie tłumaczenia, ale to nie jest to, to niczego nie oddaje. I trzeba się z tym pogodzić, że ta literatura tutaj w Niemczech nie może być tak rozpowszechniona. To jest związane z jej charakterem.

A. S.: – *Czy w takim razie istnieją współcześni pisarze z państw Europy środkowo-wschodniej, którzy są popularni w Niemczech, i jeżeli tacy są, to gdzie Pan upatruje przyczyn ich popularności?*

M. R.-R.: – Jest taki przykład pisarza, jak Andrzej Szczypiorski. Szczypiorski jest tutaj dość znanym i popularnym pisarzem, i ja się do tego przyczyniłem. Przyczyniłem się przede wszystkim do rozpowszechnienia powieści, która się nazywa inaczej po polsku i po niemiecku. „Die schöne Frau Seidenmann” („Początek” – A.S.). To jest powieść, której ogromny sukces w Niemczech ma konkretne powody. To jest powieść bardzo popularna, opowiedziana bardzo lekko. Jeśli chodzi o rodzaj literatury, jest ona niemalże na poziomie dobrej literatury rozrywkowej. Ale – i to jest sprawa najważniejsza – jest ona dla Niemców ciekawa, bo w niej między innymi chodzi o Niemców. Szczypiorski ukazuje w tej po-

wieści niemieckie postacie i robi jeszcze coś, co oczywiście dla Niemców jest bardzo ciekawe: on próbuje tych Niemców, którzy działali w czasie okupacji w Warszawie, ukazać po ludzku, zrozumieć ich, zwłaszcza tego jednego, straszego kata, który konno jeździ po Łazienkach i myśli na temat swojej przeszłości i młodości. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że znacznie lepszym utworem Szczypiorskiego jest powieść „Msza za miasto Arras”, która jest tutaj w dobrym tłumaczeniu, dokonanym, zdaje mi się w NRD. Ale to jest powieść, która już tego echa nie miała, bo chodzi w niej o Polskę i komunizm, o parabolę, która się dzieje w innej epoce we Francji. To nie jest tak łatwe dla niemieckiego czytelnika.

Pewną popularność zyskała Hanna Krall, która pisze na tematy związane z okupacją, ukazuje losy Żydów, ale nie tylko Żydów, w czasie okupacji. Jest to proza dla Niemców do przyjęcia. Hanna Krall pisze bardzo rzeczowo, wymienia fakty i ukazuje wydarzenia. W literaturze tej jest mało refleksji, mało komentarzy, ukazana jest raczej akcja i przytaczane są dokumenty. Często są to montaż na pograniczu literatury. Ale proza ta ma wielką zaletę, która jest oczywiście zasługą autorki: jest to literatura wiarygodna. Ona zdobywa zaufanie czytelnika.

Pewną popularność miał także tutaj kiedyś, dziś już nie, ale 20 lat temu, autor, który mnie jest bardzo bliski, bo go dość dobrze znałem. Stanisław Jerzy Lec. Leca fraszki „Myśli nieuczesane” dają się świetnie przetłumaczyć na niemiecki. Ukazały się tutaj ich różne zbiory. I to ludzi jednak interesowało, bardzo interesowało.

A potem był okres popularności Mrożka. Na różnych scenach niemieckich grano zwłaszcza „Tango” Mrożka, ale i kilka innych sztuk.

Właściwie żadnej popularności nie zdobył Marek Hłasko. Wydano różne jego książki po niemiecku, ale do końca życia on tu znany był przede wszystkim jako mąż aktorki Soni Ziemann. Ale tematyka książek Hłaski nie zdobyła sobie publiczności.

Niestety mały oddźwięk miał, podkreślam: niestety, Jerzy Andrzejewski. Jak umarł, mówiono tylko, że to autor powieści, według której zrobiono film „Popiół i diament”. Że ta powieść bez filmu była utworem ważnym i wybitnym, o tym

ledwo kto wiedział. Film Wajdy jej nie spopularyzował, ale zwrócił uwagę na istnienie tej powieści. Niemniej to jeszcze przedziej Andrzejewski znalazł jakieś malutkie echo, aniżeli Iwaszkiewicz. Iwaszkiewicz w ogóle tu nie zaistniał. Jego nowele i powieści nie miały żadnego oddźwięku.

Jeżeli chodzi o Gombrowicza, to znalazł on to, co Niemcy nazywają „Gemeinde”, tzn. grupę zwolenników. Są oni nieliczni, ale wierzą w niego jako nowoczesnego i ciekawego pisarza.

Pewną grupę czytelników ma także Bruno Schulz. Zdaje się, że na tym już koniec. Nie wiem, kogo jeszcze wyliczyć. Kobiety pisarki, jak np. Nałkowska, też nie spotkały się z zainteresowaniem.

Bez echa pozostały tu „Noce i dnie” Dąbrowskiej. Spróbowano to przetłumaczyć, ale nie było żadnych reakcji. Nawet mogę Panu powiedzieć, że związana jest z tym dziwna wprost ciekawostka. Mogę to tylko zreferować, ale nie mogę się już dziś do tego ustosunkować. Przez 15 lat byłem szefem literatury w *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Kiedy wyszła, zdaje się w nowym tłumaczeniu, powieść „Noce i dnie” Dąbrowskiej, to pomyślałem, że dam ją do recenzowania Tadeuszowi Nowakowskiemu. Pomyślałem, że Polak, że napisze z wielką sympatią. Nie byłem zainteresowany, żeby pisać negatywnie. I co się stało? Nowakowski wziął i napisał: „To nie ma nam dzisiaj nic do powiedzenia. To jest przebrzmiała literatura”. Przyznam, że byłem trochę zdziwiony, ale musiałem tak wydrukować. Wolność słowa. To był pogląd nie mój, ale Nowakowskiego.

A *propos* Nowakowskiego. Jako pisarz on nie miał tutaj echa. To się łączy z trudnym problemem w jego życiu. Nowakowski nie mógł się zdecydować po jakiemu pisać. Pisał po polsku i po niemiecku, raz tak, raz tak. Jego niemieczyna nie była najlepsza. Mimo to pisał niektóre książki po niemiecku. Poza tym istniał jeszcze ten problem, że to był pisarz z obsesją. Pisarze z obsesją to pozytywne zjawisko. Ja lubię takich pisarzy. Kafka był pisarzem z obsesją. Nowakowski też miał obsesję, a byli nią Polacy, Polska, emigranci. A przecież problemy emigrantów polskich tak bardzo Niemców nie obchodziły. Jego „Obóz wszystkich świętych”, chyba najlepsza jego książka, wyszła w Niemczech w wydawnictwie

Kiepenheuer und Witsch, ale powiedzieli, że obóz w tytule to straszne, kto to będzie chciał czytać. I jak się nazywa po niemiecku? „Polonez wszystkich świętych”. Tytuł sfałszowany za zgodą Nowakowskiego, ale charakterystyczny dla stosunków. Zmienili tytuł w nadziei, że ta książka znajdzie czytelników.

A. S.: – *Wspomniał Pan o Szczypiorskim i sukcesie jego książki „Die schöne Frau Seidenmann” Czy było coś jeszcze przyczyną sukcesu polskiego pisarza w Niemczech poza samą tematyką? Jeśli tak, to chyba nie forma czy styl, bo przecież pojawiają się w niej sformułowania, jak np. „Kochała go, chociaż nie mieli dzieci” i inne tego rodzaju stwierdzenia rodem z literatury trywialnej, na których Pan w swoim „Kwartecie literackim” jak mi się wydaje, nie pozostawiłby suchej nitki. Pan jednak popularyzował tę książkę. Czyżby uznał Pan, że Szczypiorski trafił w lukę na rynku wydawniczym?*

M. R.-R.: – W zasadzie to, co Pan powiedział, jest bardzo słuszne. On natrafił w lukę na rynku. To jest pewne. Czy publiczność niemiecka chętnie czyta książki o stosunkach niemiecko-polskich? Nie, ale nie mogę powiedzieć, żeby nie chciała czytać. Jak to jest podane w taki lekki sposób, dlaczego nie? Czytają. Losy ludzkie, miłość, klęska i rozczarowanie, to ludzi interesuje i godzą się z tym, że jest to pokazane na przykładzie Polaków. To jest wszystko. On natrafił w lukę. Dochodzi do tego jeszcze jedna ważna rzecz.

Otóż Niemcy mają wielki kłopot od dawna, od stu czy więcej lat z literaturą powieściową. Mianowicie oni albo mają literaturę na bardzo wysokim poziomie, albo trywialną. Jest taka powieść trywialna austriackiego autora Ganghofera „Schloß Hubertus”. Ja kiedyś powiedziałem, że jest niedobrze w Niemczech, iż do wyboru jest „Schloß Hubertus” z zamkiem, który leży gdzieś głęboko w nizinie i „Schloß” Kafki z zamkiem położonym na wzgórzu. I wędrówka od jednego do drugiego zamku jest dla czytelnika bardzo trudna, to jest wielka droga. Ale powiedziałem też, że gdyby tak w środku tej drogi był „Schloß Grips-holm” powieść Tucholsky’ego, to by mogli trochę odpocząć w połowie drogi. Tak tu jest. Tu

w Niemczech jest zawsze albo świetna, albo kiepska literatura, albo wielka powieść Tomasa Manna, Kafki, Musila, Döblina, albo kicz i trywialna literatura. Oczywiście, ja teraz trochę przesadzam, ale ta alternatywa jest charakterystyczna dla niemieckiej literatury.

Taka alternatywa nie jest w ogóle znana w literaturze angielskiej, bo oni mają bardzo dobrych pisarzy, którzy piszą powieści niemalże rozrywkowe, jak Graham Greene czy Priestley. U nich nie ma tego ostrego podziału między wielką literaturą i trywialną. Dlatego powieści, które się tak lekko czytają, jak literatura trywialna, a zarazem poruszają problemy poważne i istotne, są w Niemczech rzadkie. I Szczypiorski wszedł w tę lukę. On dał Niemcom to, czego Niemcy sami nie mają w dostatecznej ilości.

A. S.: – *Ale czy to nie jest też trochę tak, że czytelnicy niemieccy lubią tę książkę dlatego, że Niemcy są w niej pokazani nie jako bezduszni oprawcy, ale również jako ludzie? Nawet straszne postacie są tam w pewnym stopniu zrelatywizowane. W kręgach literackich w Polsce po ogromnym sukcesie Szczypiorskiego pojawiły się wręcz głosy, że on pisze „pod Niemców”.*

M. R.-R.: – To, co Pan powiedział, to jest trochę dwuznaczne, trochę ryzykowne. Pan tak trochę jakby dał do zrozumienia, że Szczypiorski ułatwia Niemcom pogodzenie się z ich własną, straszną przeszłością. Może i taka jest recepcja. Ale nie mogę powiedzieć, żeby takie były zamiary Szczypiorskiego. Nie chciałbym powiedzieć, że on pisze pod gust, czy pod moralność publiczności niemieckiej. Każda dobra literatura pokazuje postacie jako ludzi. Od autora trzeba się domagać, żeby miał zrozumienie nawet dla kata, dla jego psychiki. Dla wszystkich musi być trochę współczucia i zrozumienia.

Ale jeszcze jest jeden moment, na który chcę zwrócić uwagę. Nie wiem, czy Pan będzie chciał o tym pisać w *Kulturze*, czy trzeba o tym pisać, czy nie. W świecie literackim istnieje jeden bardzo istotny motyw, czy to wśród literatów polskich, niemieckich, włoskich i murzyńskich, i na całej kuli ziemskiej, a jest nim zazdrość. Pisarz wybaczy drugiemu

wszystko, tylko nie sukces. Szczypiorski zdobył wielki sukces kilkoma i tą jedną książką przede wszystkim, która osiągnęła ogromny nakład. Z innymi książkami też nie jest najgorzej. Sukces oznacza pieniądze i sławę. Szczypiorski jest też wciąż zapraszany do Niemiec, gdzie wygłasza przeróżne przemówienia na wielu uroczystościach. Otrzymał też różne nagrody i zazdrość kolegów w Warszawie i Krakowie jest gigantyczna. To też są tylko ludzie i wszyscy stawiają pytanie, jak to się dzieje, że ten Szczypiorski ma takie powodzenie i zarabia tyle pieniędzy? I nie chcą się z tym pogodzić. Żaden pisarz nie powie, że któryś z kolegów odniósł ogromny sukces, bo jest dobrym pisarzem, bo napisał świetne książki. Literaci zawsze uważają, że są inne powody. Ma to miejsce także w przypadku Szczypiorskiego. Ja tu przejawiam, ale niektórzy ośmielają się powiedzieć: „Pan Szczypiorski trochę się Niemcom podlizuje. Dlatego on ma takie powodzenie”. Mnie się wydaje, że w Polsce nie brak pisarzy, którzy by się chętnie podlizywali, gdyby tylko potrafili tak pisać jak Szczypiorski. Przecież Szczypiorski napisał już sporo innych bardzo dobrych rzeczy. To jest decydujące. Mogę tylko powiedzieć, że pisarz wszystko kolegom wybaczy, tylko nie wybaczy sukcesu.

A. S.: – *Co Pana zdaniem jest przyczyną faktu, że w odróżnieniu od literatury polskiej, filmy oparte niejednokrotnie na podstawie tejże literatury, są popularne albo przynajmniej znane lub powtarzane, aby wspomnieć tu tylko filmy Wajdy, o których Pan tu mówił, a przecież one poruszają tę samą problematykę co książki?*

M. R.-R.: – To prawda, ale film nie jest związany ze sztuką słowa, tylko z obrazem. A obraz jest międzynarodowy. Filmy hiszpańskie, np. Bunuela, miały tutaj jak największą sławę, mimo, że literatura hiszpańska tej epoki jest dla Niemców o wiele mniej interesująca. Że filmy Wajdy miały tutaj duże echo, nie ma wątpliwości. Ale czy te filmy poruszają tak często polską problematykę? „Popiół i diament” tak jak był ujęty przez Wajdę, pokazywał cierpienia ludzi, którzy próbują jakoś w okresie wielkiego zamieszania historycznego pójść własną drogą i giną. To nie jest tak

narodowo ograniczone. To jest jednak o jakimś międzynarodowym wydzwiku. Niech Pan weźmie powieść rosyjską, np. „Idiotę” Dostojewskiego. Sfilmowali ją Francuzi 45 czy 50 lat temu z Gerardem Philipem w roli głównej. To było o wiele łatwiejsze dla publiczności, aniżeli powieść Dostojewskiego. Także film „Wojna i pokój”, czy też „Śmierć w Wenecji” według Tomasza Manna. Znakomity film, o wiele łatwiejszy niż utwór Manna.

A. S.: – *Jak Pan ocenia pozycję i szanse literatury na niemieckim rynku mass mediów zdominowanym przez formy audiowizualne?*

M. R.-R.: – Mówi się bez przerwy o tym, że literatura czy książka się kończy. Od mniej więcej dwóch i pół tysiąca lat opowiada się, że teatr się kończy, skończył się, nie ma teatru i nie będzie. Wynaleziono film a potem film kolorowy, a potem film dźwiękowy, potem telewizję, potem coraz lepszą telewizję. Zatem, po co jeszcze teatr? Tymczasem, na całej kuli ziemskiej nadal grają teatry i ludzie się pchają do teatrów i wszędzie narzekają, że teatr nie jest dostatecznie dobry. Skoro widzą, że nie jest dostatecznie dobry, to znaczy, że chodzą do teatru. Ja w to nie wierzę, że teatr się kończy. On się już kończy dwa i pół tysiąca lat i jeszcze będzie tak długo. My nie dożyjemy końca teatru. Jeśli chodzi o literaturę, to jest jasne, że jest ona propagowana nie tylko przy pomocy książki. Zawsze już tak było, że inna instytucja bardzo mocno propaguje literaturę, a taką instytucją jest np. teatr. Dramaty były propagowane przez teatr od Ajschylosa po dzień dzisiejszy.

Także telewizja się bardzo przyczynia do propagowania literatury. Ze trzydzieści lat temu w Ameryce wyświetlono film telewizyjny wedle powieści Stendhala, „Pustelnia parmeńska”, w którym grali jacyś popularni aktorzy. Prawdopodobnie to jakiś potworny kicz. Film ten odniósł wielki sukces i obliczono, że od czasu Stendhala powieść ta nie miała takiego nakładu, jak w ciągu dziesięciu dni po wyświetleniu, kiedy setki tysięcy ludzi kupowały tę powieść. Czy czytali, czy do końca przeczytali, nie wiem. Ale jest nieprawdą, iż telewizja przyczynia się do tego, że ludzie przestają czytać powieści.

Niemieccy księgarze niechętnie słyszą, że się o tym mówi, ale nigdy jeszcze księgarzom w Niemczech nie powodziło się tak dobrze jak dziś. Niesamowita ilość książek jest sprzedawana, książki wspaniale idą. Ja wiem, trzeba zaraz dodać, że to jest tylko po części beletrystyka. Ludzie kupują i słowniki, i przewodniki, i podręczniki dla akuserek, najróżniejsze książki. Ale w tym jest spora część literatury. Wydawca wydaje powieść z jednego tylko powodu, a mianowicie, żeby na niej zarobić. Obecnie w Niemczech ukazuje się sporo powieści przeważnie tłumaczonych. To się bowiem bardzo zmieniło i udział literatury obcej tłumaczonej na język niemiecki bardzo się zwiększył w ciągu ostatnich lat. Dziesięć lat temu było inaczej, ale dziś jest coraz więcej książek tłumaczonych z obcych języków i coraz mniej niemieckich książek. Z obcych języków są to przede wszystkim książki amerykańskie i angielskie, ale także skandynawskie i holenderskie. A literatury autorów niemieckich jest tu w tej chwili niedużo. Jest wielki kryzys literatury niemieckiej, nie ma wątpliwości, ale tego tak głośno powiedzieć nie można, bo każdy fachowiec odpowiada: Tak, tak, jest wielki kryzys, to wszyscy krytycy za czasów Goethego i Schillera też mówili. Kryzys należy do istnienia literatury, jest zjawiskiem towarzyszącym literaturze.

A. S.: – *Pana „Kwartet literacki” jest obecnie najpopularniejszym programem telewizyjnym na obszarze krajów niemieckojęzycznych, który w całości poświęcony jest literaturze. Czy można to wytłumaczyć tylko osobowościami i popularnością występujących w nim krytyków literackich na czele z Panem?*

M. R.-R.: – Nie, jest inny powód jeszcze. Kiedy się zwrócono do mnie, żebym zrobił dla telewizji taką rzecz o książkach, ja wielkiej ochoty nie miałem i postawiłem parę warunków w nadziei, że są one dla telewizji nie do przyjęcia i sprawa będzie załatwiona. Powiedziałem, że program ma trwać minimum 70-75 minut. *Sekundo*, że mają brać w nim udział maksimum cztery osoby, że na więcej się nie godzę. Powiedziałem też, że nie ma być żadnej muzyki, tylko na początek parę taktów i na zakończenie, ale żadnych przerywni-

ków muzycznych, żadnych piosenek, żadnych strip-teasów, i przede wszystkim, żadnych filmów w trakcie programu. To straszne, ale ludzie robiący telewizję sądzą, że publiczność się składa z kretynów i idiotów. Kiedy mówią np. o nowej powieści, której rzecz dzieje się w Paryżu, to już widzimy na ekranie wieżę Eiffla. Albo kiedy powieść dzieje się w Wiedniu, to zaraz pokazują nam Riesenrad i Stephansdom. Gdy się mówi o jakiejś powieści, która może była kiedyś sfilmowana, daje się wycinek filmu. Kiedy mówi się o jakimś autorze, to się go pokazuje, jak spaceruje w lesie i potem może odpowiada komuś, czy lubi pić herbatę, czy kawę, czy coś takiego. Ja powiedziałem, o tym nie ma mowy! Tu będą tylko cztery osoby mówić o nowej książce. Myśmy nie wiedzieli na początku, ile czasu mamy poświęcić na omówienie jednej pozycji, ale potem doszliśmy do tego, że będziemy omawiać pięć książek, po piętnaście minut na każdą. Jaka jest zaleta tego kwartetu? Mówi się w nim tylko o literaturze i nie widać niczego innego, jak twarze i postacie krytyków. Ale mówi się o literaturze inaczej niż zazwyczaj w Niemczech. Jest tu inny ton i inny styl, ton jest bezpośredni, jasny i klarowny. Pamiętam, że kiedyś mówiliśmy o cudownej książce hiszpańskiego autora o nazwisku Javier Marias. On jeszcze Nobla dostanie. To wielki pisarz, Javier Marias. I mówiła pani Löffler o tej książce między innymi. I mówiła dobrze, bardzo ładnie, ciekawie. A ja jej przerwałem i spytałem, „Czy to jest dobra książka czy nie?” Ona mi odpowiedziała: „Jak to? To jest wspaniała książka”. Bowiem w kwartecie ma się mówić jak najjaśniej, mówić prosto, żeby te rzeczy były zrozumiałe dla publiczności. Musi Pan jedną rzecz uwzględnić. W Niemczech nie ma zwyczaju, żeby mówić jasno i prosto o literaturze. Mówi się chętnie w sposób zawyły. I jeśli chodzi o współczesną literaturę, to ludzie lubią mówić ostrożnie, żeby powiedzieć prawdę, ale niezbyt wyraźnie, żeby nie obrazić autora, żeby nie popsuć sobie kontaktów z wydawcą. A w naszym „Kwartecie” mówi się prosto z mostu, kawa na ławę, tak, jak jest. Są tam bardzo różne poglądy i my nie zacieramy tych różnic. Często dochodzi do sporów na temat literatury. I okazało się, że to ludzi najbardziej interesuje, jak my się kłócimy i na ogół jest sporo ludzi, którzy zastanawiają się kto ma rację? On, albo ona? I myślą, że trzeba jednak zajrzeć do

tej książki, żeby się przekonać. I to jest sens tego „Kwartetu”.

Ja mam 77 lat i mogę Panu tylko powiedzieć, że zawsze pisałem taką krytykę, która miała na celu wywrzeć wpływ, albo ludzi doprowadzić do tego, żeby pewne książki czytali, czy też, żeby innych nie czytali. Ja pisałem zawsze dla publiczności, dla czytelników, a nie dla kolegów. Jak koledzy czytają, to dobrze, ale nie o to chodzi. I ten realny konkretny wpływ usiłowałem osiągnąć, pisząc w Niemczech nie np. do czasopism jak *Merkur* czy *Akzente*. To są bardzo poważne pisma czytane właściwie tylko przez tych, którzy je otrzymują za darmo jako egzemplarze recenzyjne. Właściwie oni też ich nie czytają, a czytają jedynie spis rzeczy i to już dużo. Ja pisałem w tygodniku *Zeit*, który ma 400 tysięcy nakładu i jest największym tygodnikiem w tym kraju; pisałem w *FAZ*, dzienniku z bardzo wysokim nakładem i w ostatnich latach nierzadko dla *Spiegla*. To są wszystko pisma, które posiadają ogromną ilość czytelników. Ale skutki realne moich artykułów tak wielkie nie były. Dopiero telewizja spowodowała, że kiedy mówimy o pewnej książce i oceniamy, że to jest ważna książka, to w ciągu czterech dni zostaje sprzedanych 50 tysięcy egzemplarzy. Myśmy doprowadzili do tego, co jest zupełnie niebywałe, że książka o Oświęcimiu – a jak Panu wiadomo, naród niemiecki nie marzy o tym, żeby czytać książki o Oświęcimiu – że autobiograficzna książka germanistki Ruth Klüger, „Weiter leben”, której przedtem sprzedano zaledwie 3 tysiące egzemplarzy, po omówieniu jej w „Kwartecie literackim” osiągnęła już liczbę blisko 100 tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Sukces niebywały. Właściwie pierwszy raz w życiu osiągnąłem jako krytyk to, co chciałem, czyli wpływ na publiczność. Drugim przykładem jest bardzo dobry pisarz holenderski Nooteboom. Myśmy mówili o jakiejś jego książce, która ukazała się w Niemczech i miała malutkie powodzenie, dwa, trzy tysiące nakładu. A potem po 6-7 latach zrobiono wznowienie i wówczas myśmy to omówili z okazji tego nowego wydania. I błyskawicznie osiągnęliśmy kilkadziesiąt tysięcy sprzedanych egzemplarzy.

Największym naszym sukcesem, jeśli chodzi o takie realne oddziaływanie krytyki, była wspomniana powieść Hiszpana Javier Mariasa. Zanim omówiliśmy tę jego bardzo dobrą, piękną książkę, której tytuł jest cytatem z Szekspira,

sprzedano tylko jakieś 2-3 tysiące egzemplarzy. My mówiliśmy o niej z wielkim zapałem, z wielkim zaangażowaniem. Wierzyliśmy wszyscy, że to jest wspaniała literatura. I mówiliśmy też o tym, jak pokazane są tam motywy erotyczne i seksualne. To jest problematyka, która ludzi interesuje. Od kilku tysięcy lat to się nie zmieniło i ludzie lubią czytać o tych sprawach, a on pisze o tym wspaniale. I osiągnęliśmy, że do chwili obecnej sprzedano 270 tysięcy egzemplarzy tej książki i to bez jakiegoś kieszonkowego wydania. Ale jest też dużo innych książek, także trudnych. Próbujemy to czytelnikom wytłumaczyć, bo my nie omawiamy żadnej literatury trywialnej.

Ilość zarzutów przeciwko „Kwartetowi literackiemu” jest gigantyczna. Nasi krytycy mówią, że to, co my robimy, jest powierzchowne. Ja odpowiadam, że to nie jest powierzchowne, ale że to jest bardzo powierzchowne. Jak ma być inaczej, kiedy w ciągu 15 minut mówią cztery osoby. Każda osoba może *summa summarum* mówić trzy, trzy i pół minuty. Oczywiście, że można tylko pokazać zarysy, problematykę, klimat, atmosferę książki, ale dużo więcej nie można powiedzieć. Ale jednego zarzutu nie było, mianowicie, że my się zajmujemy niepoważną literaturą, że tylko jakąś lekką literaturą. Broń Boże! My omawiamy właśnie tylko literaturę bardzo poważną. I już od pewnego czasu próbujemy, wprowadzić nie zawsze nam to wychodzi, ale próbujemy za każdym razem z pięciu książek omówić jedną, która wyszła kilkadziesiąt lat temu. Próbujemy przypomnieć, bo jeśli literatura jest dobra, to nadal jest aktualna.

A. S.: – Czy istnieje taka książka w języku polskim, o której Pan by chciał powiedzieć po kilkudziesięciu latach i która być może doczekalaby się teraz większej popularności?

M. R.-R.: – Proszę Pana, nie odważę się, bo cóż tu zrobić? Istnieje pewna powieść polska, którą czytałem bardzo dawno temu, a która na mnie zrobiła bardzo wielkie wrażenie. Gdyby była nieznaną w Niemczech, to bym powiedział, tłumaczcie ją. Ale jest inna sytuacja. Mówię tu o powieści Józefa Wittlina „Sól ziemi”. Ona była wydana po niemiecku

nawet dwa razy. Tłumaczenie, jak słyszałem, jest dobre. Jednak nie było żadnego echa. Cóż, czy ja mam walczyć, żeby ją jeszcze raz wydać? Obawiam się, że to już niczego nie da. Książka Wittlina, której akcja dzieje się w armii habsburskiej, ma dla niemieckiego czytelnika być może jeden feler. Wittlin był zaprzyjaźniony z wielkim pisarzem austriackim, Józefem Rothem i oni razem postanowili, że każdy z nich napisze powieść o państwie i społeczeństwie habsburskim. Wówczas Wittlin napisał „Sól ziemi”, ale tylko pierwszy tom, bo drugiego już nie napisał, a Roth napisał „Radetzky marsch”. To piękna powieść, wydana też po polsku. Dla niemieckiej publiczności Wittlin jest w jakimś sensie młodszym, mniej znanym bratem Rotha. Oczywiście, że Roth jest dla nich większy, lepszy. Tak, że naprawdę nie wiem, co by można było z dawniejszej literatury polskiej zaproponować czytelnikom niemieckim, żeby rzeczywiście czytali.

Podejmowano bardzo różne próby w odniesieniu do dramatu. Np. był taki reżyser pochodzenia polskiego, ale żyjący przeważnie w Holandii, którego nazwiska nie pamiętam. Jakies 20 może 30 lat temu wystawił on w Niemczech i zrobił dla telewizji niemieckiej „Dom kobiet” Zofii Nałkowskiej, sztukę popularną w Polsce dzięki wspaniałej okoliczności, że są w niej role dla 8-9 kobiet. A rzadko się zdarza taka sztuka, gdzie jest tyle ról dla kobiet. I sztuka ta była w Niemczech grana, ale echo było minimalne, właściwie żadne. To nie jest takie proste. W tej chwili nie widzę, jaką powieść polską z minionych lat można byłoby omówić. Przecież nie będziemy odkrywać niemieckim czytelnikom Sienkiewicza czy Reymonta.

A. S.: – Istnieje kilku nie tylko moim zdaniem interesujących współczesnych pisarzy polskich, jak np. Huelle czy Rudnicki, który pisze w Niemczech. Czy mają oni szansę, że Pan kiedyś omówi jakąś ich książkę w „Kwartecie literackim”?

M. R.-R.: – Muszę od razu powiedzieć, że „Kwartet literacki” zajmuje mi bardzo dużo czasu, bo odbywa się on sześć razy w roku i za każdym razem omawiamy pięć książek. A to znaczy 30 książek, czyli mniej więcej 10.000 stron. Ale jak

się ma do omówienia 30 książek, trzeba przeczytać o wiele więcej, ażeby wybrać 30 z masy literatury. Po drugie, ja prowadzę we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* rubrykę pt. „Frankfurter Anthologie”. Co sobotę zamieszczam tam wiersz niemiecki z jakiejś epoki historii literatury niemieckiej zaopatrzone komentarzem. Rubryka ta istnieje od 74 roku i było w niej już komentowanych grubo ponad tysiąc wierszy. To też duża robota. Trzecie pracochłonne zajęcie, to moja autobiografia, nad którą obecnie pracuję. Dlatego nie za bardzo mogę się zająć współczesną literaturą polską. Gdyby jednak wyszło coś ważnego po niemiecku, żeby móc to omówić w „Kwartecie literackim”, to bardzo chętnie bym to zrobił. Myśmymy przecież omawiali Szczypiorskiego i Hannę Krall. Mam nadzieję, że pojawią się takie książki w literaturze polskiej, o których będziemy mogli coraz częściej mówić w „Kwartecie literackim”.

A. S.: – *I teraz już na zakończenie pytanie innego rodzaju. Mówicie państwo wspaniale po polsku. Czy czytacie Państwo jeszcze jakieś polskie wydawnictwa, książki, czasopisma, czy rozmawiacie Państwo też czasem w domu po polsku?*

M.R.R.: – Oboje z żoną zawsze mówimy po polsku i dzięki temu jako tako jeszcze to potrafimy. Moja żona czyta *Kulturę* paryską, a ja przeglądam. Żona czyta też dużo różnych polskich książek. Ja mało czytam po polsku, bo po prostu czasu nie ma tak wiele. Ale kiedy mi żona czasem pokazuje jakiś artykuł w *Kulturze*, który mógłby być dla mnie ciekawy, to oczywiście czytam. Nie powiem, żeby czytanie w języku polskim sprawiało mi jakieś trudności. Co to to nie! Ale nie chciałbym napisać np. jakiegoś artykułu po polsku. Choć kto wie, może bym potrafił. Przemówienie wygłosiłem po polsku jedno jedyne w ciągu ostatnich lat, mianowicie na cmentarzu, kiedy umarła znajoma z Polski i byli Polacy. Po raz pierwszy po wielu latach mówiłem publicznie po polsku.

A. S.: – *Czy macie Państwo w ogóle jakiś kontakt z Polską, czy byliście Państwo może w Polsce w ciągu ostatnich lat?*

M. R.-R.: – Od 58 roku, kiedy wyjechaliśmy, nie byliśmy w Polsce. Nie mamy tam już przyjaciół i znajomych. Umarli dawno temu, emigrowali, zostali przepędzeni. Nie ma ich tam. Znamy Szczypiorskiego, znamy Hannę Krall, Antoniego Marianowicza. Zналиśmy, bo dziś już nie żyje, Artura Sandauera. Ale spośród naszych znajomych pozostało bardzo niewielu w Polsce. To się też łączy z tym, że to już taka wielka epoka, tyle lat minęło.

A. S.: – *Jak Państwo patrzycie na Polskę z dystansu wielu lat nieobecności i jakie uczucie dominuje, kiedy – być może – czasami rozmawiacie Państwo o Polsce lub wspominiacie przeszłość?*

M. R.-R.: – Ja nie potrafię na to odpowiedzieć. Moja żona podpowiada mi teraz „zaciekawienie”. To, zapewne zainteresowanie sprawami polskimi jest u mojej żony o wiele silniejsze niż u mnie. Żona się urodziła w Łodzi, żyła w Polsce do 58 roku. Moja żona jest związana z kulturą polską mocniej niż ja. Ja wprawdzie nie mam jakichś większych ciągot do historii, na pewno nie, ale do literatury polskiej, do muzyki polskiej. Ja nawet ku zdumieniu niektórych ludzi chętnie jeszcze słucham muzyki Moniuszki, czasem coś z „Halki” czy „Strasznego dworu”. Mam bardzo muzykalną dziewięćdziesięcioletnią siostrę, która lubi trochę przesadzać. Ona twierdzi, że na kuli ziemskiej istnieje tylko muzyka niemiecka i Chopin. I myślę że nie jest to całkiem bez racji. Literatura polska i muzyka polska są dla mnie oczywiście ważne. Z literatury najbardziej interesuje mnie poezja, a polskim poetą poza Mickiewiczem, który mnie najbardziej interesuje, jest Tuwim. Ale to jest też problem generacji. Dla mojej generacji Tuwim był największym poetą polskim. Kiedy widzę nowe wydanie jego rzeczy, cieszę się, że zapomniany w Polsce nie jest, podobnie jak Słonimski, którego dosyć dobrze znaliśmy.

Tak poza tym, proszę Pana, jeśli chodzi o naród polski, naród niemiecki czy inny, powiem jedno: ja się nauczyłem czegoś. To nie jest moje odkrycie, to odkrył i polecił ludziom Friedrich Nietzsche. Nietzsche napisał: „Nie należy kochać ani nienawidzić żadnych narodów”. I kiedy słyszę, że ktoś,

np. jakiś Niemiec ubóstwa Włochów, to już się boję. On ubóstwa Włochów, a jutro powie, że nienawidzi Turków, czy odwrotnie. Ja bardzo często mam jakiś zaangażowany stosunek i odczuwam prawie ze miłość, ale do jednostek, do poszczególnych ludzi, ale nie do całych narodów. Nie ma takich narodów, co do których można powiedzieć, kocham ten naród. Ja nie rozumiem tego, gdy ktoś mówi: kocham Włochów.

A. S.: – *Dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmawiał Andrzej STACH

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Z perspektywy pogranicza

Jechać do Gdańska, Stanisławowa...

...przeszłość umarłego miasta stawała się podobna do młodziutkiej narzeczonej, która o zmierzchu, z rumieńcem wstydu, w pościeli pachnącej różami, po raz pierwszy odsłania swoją nagość przed stęsknionym kochankiem.

Stefan Chwin „Hanemann”

Myślałem o Gdańsku jadąc do Wilna. Pierwszą osobą, którą spotkałem na Prospeckie Gedymina był Maciej Nowak, szef Nadbałtyckiego Centrum Kultury z Gdańska, który zorganizował w ubiegłym roku cały szereg imprez kulturalnych pod hasłem „Nowa Litwa”. Z pewnością jest to już zupełnie inna Litwa od tej, która żyje jeszcze w pamięci wielu współczesnych Gdańszczan. Z pewnością Maciek nie przyjechał tutaj powodowany resentymentem do mitycznego Wilna, a w poszukiwaniu żywych zjawisk kultury współczesnej. Z pewnością to nie przypadek sprawił, że spotkaliśmy się ot tak na ulicy, skoro obaj jesteśmy wędrowcami na szlaku prowadzącym do centrów kulturalnych dzisiejszej Europy Środkowo-Wschodniej. Czy jednak młode Wilno wie, co się w młodym Gdańsku dzieje? Postanowiłem, że swoje spotkanie w Domu Otwartej Litwy rozpocznę od opowieści o podróży do Gdańska, którą ostatnio odbyłem. Tym bardziej, że zapraszając mnie Irena Veisaite nalegała, abym mówił o tym, co ciekawego dzieje się w pracowniach twórców środkowoeuropejskich.

1.

Na spotkanie z Pawłem Huelle umówiłem się w Gdańsku na Targu Rybnym. Wybrałem się więc z Suwałk do... Warszawy, a potem już prosto do Gdańska. Tak było szybciej i wygodniej, choć mapa zdawała się mówić co innego. Można powiedzieć „prosto z Suwałk do Warszawy”, można powiedzieć „prosto z Warszawy do Gdańska”, ale ten kto powie „prosto z Suwałk do Gdańska” naraża się na uszczypliwe uwagi tych, co taką podróż wcześniej już odbyli.

Pociąg z Warszawy mknął błyskawicznie, jakby przypominał sobie nagle stary, utarty szlak wzdłuż Wisły, który różni polityczni surrealiści próbowali poprzecinać barierkami, tak jak Giorgio de Chirico swoje obrazy cieniami.

Natomiast w samym Gdańsku trudno było znaleźć Targ Rybny. Zapytywałem napotkane kobiety przekonany, że od lat robią tam zakupy. Coś słyszały, wiedziały, że to gdzieś tutaj, w samym centrum, ale nie mogły sobie przypomnieć. Młodzi wzruszali ramionami. Dopiero pewien starszy mężczyzna, uradowany moim pytaniem, niemal doprowadził mnie na samo miejsce. Wyasfaltowany plac nad brzegiem Motławy zastawiony był samochodami. Żadnych straganów, żadnych łodzi i kutrów podpływających do brzegu, żadnego życia. Martwa rzeka, martwe zabudowania na drugim brzegu, jakieś pozostałości po młynach, manufakturach... Po tej stronie niewielki pub, gdzie udajemy się na kawę. „To miasto ze złamanym kręgosłupem – mówi Paweł – i jak rekonalescent, wprawdzie żyje, ale nie może powrócić do siebie”.

Znałem Gdańsk z książek, wcześniej Günтера Grassa, a później Pawła Huelle i Stefana Chwina. Był oczywiście jeszcze inny Gdańsk, ten z wyjazdów nad morze i ten z okresu „Solidarności”. To jednak było mało, by odpieczętować tajemnicę samego miasta, które wydawało się obce i niezrozumiałe. Dopiero książki – rozszerzając perspektywę wakacyjnych wspomnień z dzieciństwa i „czasu Solidarności” – przywróciły mi Gdańsk, sprawiły, że stał się częścią mnie samego. Te książki pełne niemieckich nazw ulic, niemieckich nazwisk, żydowskich dziwaków, kresowych przesiedleńców, Ukraińców, Litwinów... – to one sprawiły, że ja, Polak żyjący

pod koniec XX wieku, mogę się czuć przynależny do tego miasta, że jest to jeden z organów również mojej ojczyzny.

Wydawało mi się przy tym, że skoro dojrzewają takie książki, a ja wraz z nimi, to jest to owoc pewnego wzrastania i dojrzewania całego organizmu naszej ojczyzny. Wyobrażając sobie jak Gdańsk się wzbogaca, jak zagęszcza się i nasiąka treścią, myślałem o Erichu Schultzu z powieści Stefana Chwina, mieszkającym kiedyś przy Lessingstrasse 14, który uciekając przed „wschodnim bydłem” u schyłku drugiej wojny światowej, w furii niszczył całe bogactwo swego domu: „otwierał szafkę pod oknem, wywalał na podłogę talerzyki i salaterki, obcasem rozgniatał kruchy fajans (...), przewracał krzesła, ciął oparcia foteli (...) kruszył mahoniowe ornamenty nad szybką kredensu, tłukł kryształowe zdobienia etażerki, łamał kolumnienki na fasadzie komody. (...) «Niczego im nie zostawimy, niczego!» – i deptał po swoich koszulach z białego płótna, rozwleczonych koło bielizniarki, jakby chciał rozgnieść niewidzialne robactwo, które już – widział to – pleniło się w szwach mankietów i kołnierzyków”.

Jednak sam fakt powstania takich książek nie przekłada się jeszcze bezpośrednio na rzeczywistość miasta, na posiedzenia rady miejskiej, na życie współczesnych Gdańszczan. Z martwego Targu Rybnego pojechaliśmy do księgarni w poszukiwaniu ostatniej książki Pawła. Młode ekspedientki nie miały pojęcia kto to jest ten pan, który wypytuje o książki jakiegoś pisarza gdańskiego. Zacząłem się martwić, że nie odnajdę żadnej nici łączącej moje książki i moje gdańskie wtajemniczenie z dniem dzisiejszym tego miasta. Po południu w domu Krystyny i Stefana Chwinów rozmawialiśmy o echach „Hanemanna” w Gdańsku. Dowiedziałem się o ludziach, którzy z książką w ręku poszukują domu Hanemanna na dzisiejszej ulicy Grottgera (dawna Lessingstrasse), o nauczycielach, którzy przygotowują specjalne gdańskie lekcje w oparciu o „Hanemanna”, albo o rodzinie, która pod wpływem lektury zaczęła rozkopywać swój ogródek w poszukiwaniu starych przedmiotów. Dla Stefana szczególnie jedno znalezisko z tych poszukiwań ma znaczenie symboliczne: stary gdański kałamarz, zalakowany, z atramentem w środku, wciąż nadającym się do pisania. Coś więc jednak fermentuje. Może to niewiele, ale tak bywa z początkami długotrwałych procesów.

Z tej podróży do Gdańska zachowałem jeszcze kilka refleksów: w bibliotece domowej Pawła Huelle poczesne miejsce zajmuje portret cesarza Franciszka Józefa; u Chwinów rozmawiamy o Bośni, o podróży do Sarajewa, którą być może wspólnie odbędziemy; spotykałem się z Ukraińcami, którzy są tutaj nowym smakiem (przypomniałem sobie jak wszystko się zmieniło, gdy w domu przy Grottgera 17 zamieszkała Hanka, Ukrainka... „Na kołeczkach wieszaka obok kredensu pojawił się warkocz czosnku i bukiet ziół o popielatobłękitnych listkach, a pod oknem wianek brązowych nasion”). Można by pójść jeszcze tropem innych pisarzy gdańskich: Aleksandra Jurewicza, który w dzieciństwie wyrwany z Lidy, błąkał się ze swymi rodzicami na Śląsku zanim tutaj osiadł, albo tropem Selima Chazbijewicza z rodziny Tatarów litewskich, urodzonego już tutaj, wkrótce po tym jak rodzice opuścili Wilno...

Tak więc myślałem o Gdańsku jadąc do Wilna. Można by się oczywiście zastanawiać na ile różna była ludność wprowadzająca się przed pół wiekiem do gdańskich kamienic od tej wprowadzającej się do kamienic wileńskich. Albo czy losy tych miast po 1945 roku były takie same? Z łatwością można by znaleźć różnice. Jednocześnie jednak tyle wspólnego łączy te miasta, w oparciu o co wiele mogliby sobie wyjaśnić współcześni Litwini, Polacy, Niemcy, Żydzi... Mógłbym zresztą swoje refleksje rozpocząć także od opisu podróży do Iwano-Frankiwska na Ukrainie, a właściwie do Stanisławowa, bo tak ciągle nazywa swoje miasto Jurij Andruchowycz, nie mogąc się przyzwyczaić do zmiany wprowadzonej w latach sześćdziesiątych. To też miasto ze złamanym kręgosłupem, które „prawie nie istnieje”, aczkolwiek to m.in. tutaj powstawała i działała słynna grupa literacko-artystyczna Bu-Ba-Bu, to tutaj wydawane są dwa pisma młodej awangardy ukraińskiej. I pomyśleć, takie miasteczko, w którym „bohaterowie Josepha Rotha zatrzymywali się w drodze do Nowego Jorku, by przelecieć kolejną pokojówkę”. Wydaje mi się, że ta opowieść o podróży do Gdańska, rozszerzona o podróż do Stanisławowa, zawiera wiele wątków związanych z naszą środkowoeuropejską kondycją u schyłku stulecia, nad którymi warto się zastanowić.

2.

Wśród nowych trendów rodzących się dzisiaj w pracowniach twórców środkowoeuropejskich ważne miejsce zajmuje zmieniający się stosunek do dziedzictwa kulturowego. Może nie to jest najważniejsze, że ten stosunek się zmienia, że jest inny. Należałoby raczej powiedzieć o nowym dziedzictwie, o nowych jego złożach, które są odkrywane i wydobywane z zapomnienia. Bowiem to nie odniesienie do epoki sowieckiej, czy do okresu małej stabilizacji, do drugiej wojny światowej, do niepodległości pomiędzy wojnami... staje się najważniejsze. Istotne staje się docieranie do głębszych pokładów czasu minionego, których nie znamy już z autopsji, do – by użyć określenia Jerzego Stempowskiego – starej cywilizacji, istniejącej zanim jeszcze padły strzały Gawriło Principa w Sarajewie w 1914 roku. Oczywiście kres tej cywilizacji nie nastąpił jednego dnia, zwłaszcza w miejscach oddalonych od centrów nowych organizmów państwowych, na pograniczach, gdzie przetrwała ona jeszcze czas jakiś. Andruchowycz apokaliptę Stanisławowa umieszcza w kalendarzu pod datą 1939 roku. Apokalipsa Gdańska w opowieści Chwina nadchodzi zimą 1945 roku. I dzisiaj jeszcze można spotkać samotników, którzy odebrawszy wychowanie w kręgu starej cywilizacji, w żaden sposób nie mogą odnaleźć dla siebie miejsca w świecie umebrowanym na nowo podług pryncypiów ideologii nacjonalistycznych i komunistycznych. Odbywa się zatem schodzenie w głąb. O ile „Weiser Dawidek” był jeszcze podróżą do świata dzieciństwa i pierwszej inicjacji, to „Hanemann” jest już penetracją świata, który w naszym dzieciństwie był obecny tylko poprzez niezrozumiałą tajemnicę, strzeżoną różnymi społecznymi i politycznymi tabu. To był świat zepchnięty na margines, do piwnicy, na strych, w szept rozmów prowadzonych na boku przez dorosłych, tak by dzieci i tajni szpiedzy nie dosłyszeli, zakopany w ogródku. Nie o tych jednak znaleziskach, które były przecież także jego udziałem, pisze Stefan Chwin. W „Hanemannie” te przedmioty zakopane w ogródku czy odnalezione na strychu, istnieją jeszcze w swoim mateczniku, w szafach mieszczan gdańskich, w pełni swego blasku, pachnące i żywe w dotyku.

Tajemnica, która kusiła nas w dzieciństwie i zapraszała do podróży w nieznane, spełnia się oto. Nie jest to bynajmniej powrót do wyidealizowanego świata przeszłości, czy ucieczka w utopijne mity utraconej Arkadii. Całe to instrumentarium używane do analizowania twórczości stanowiącej ucieczkę w wyidealizowaną przeszłość jest tutaj bezużyteczne. To nie powrót starca do krainy swego dzieciństwa. Uchylone zostaje wieko i w szczelinie widać błyszczące blaskiem swej egzystencji przedmioty, zanurzonych w tym ludzi i snujące się pomiędzy nimi historie... Nie koniec to jednak naszej percepcji. Trwamy dalej przy tej szczelinie i czujemy, że to już ostatni poblask, bowiem zbliża się nieuchronnie zagłada. I następuje zagłada. Jest pożar, ucieczka w panice, prucie materii, brzęk szkła i stukot butów barbarzyńców, którzy są już na schodach i w progach kamienic, dworzków, klasztorów, salonów, bibliotek... To się stało. I w dalszym ciągu nie kończy się nasza opowieść, nie zamykamy jeszcze książki. Jesteśmy przy tajemnicach naszego dzieciństwa i naszego dojrzenia. Nagle zaczynamy inaczej postrzegać wszystko to, co nas otaczało i w czym żyliśmy. A to kosztuje, domaga się zmiany postaw i przewartościowań. „Nienawiść do Niemców zderzyła się z intymnym wtajemniczeniem w gotyk i świat rzeczy, które w Gdańsku po Niemcach zostały. To były czasem bardzo piękne rzeczy” – powiedział w wywiadzie Stefan Chwin. Andruchowyc konstataował: „Najłatwiej było po prostu zamieszkać. Wedrzeć się do secesyjnych willi, do luksusowych, porządnym konstruktywistycznym kamienic, do parterowych eklektycznych domów. Najłatwiej było zagarnąć meble, porcelanę, garderoby w orzechu wraz ze szlafrokami i pantoflami, gramofony i płyty, zegarki, niezrozumiałe książki... (...). Przybysze nie wzięli jednak pod uwagę, że zagarnięcie domów wiąże się również z pewnymi zobowiązaniami w stosunku do nich”.

Tak więc zaczynamy szerzej otwierać oczy, a nasza opowieść ciągnie się dalej. Bo oto jesteśmy już w dniu dzisiejszym, w demokracji, w gospodarce rynkowej, w procesie integracji europejskiej... Ale tak naprawdę odnajdujemy siebie zabłąkanych na gruzach zaginionej cywilizacji, zamieszkujących jakieś jej obrzeża i subkultury. Dostrzegamy, że „wciąż jeszcze mamy szczeliny w murach, zawalone dachy, drzewa,

wyrastające z klatek schodowych, resztki witraży i marmurowych płyt pod nogami” (Andruchowyc). Paweł Huelle mówił o mieście ze złamanym kręgosłupem. Jurij Andruchowyc w roku 1991 pisał: „Ukraina musi dopiero zamieszkać w swoich miastach”. W kilka lat później dodawał: „Dzisiaj zapatruję się na to znacznie bardziej pesymistycznie, przy czym mam ogromne wątpliwości, czy dzieci moich dzieci będą mieszkańcami ukraińskich miast”. Oto nasza opowieść, opowieść pokolenia, które z jednej strony jest jeszcze za młode, aby dziedziczyć narodowo-komunistyczne fobie naszego stulecia, a z drugiej strony w momencie przełomu było już zbyt dojrzałe, aby ulec nawrotowi tych fobii, a także zbyt dojrzałe, aby poddać się erozji postmodernistycznej i rynkowej fali. To jest opowieść, która sięga głębiej niż nasze dzieciństwo, w pamięć prenatalną, w świat starej cywilizacji, który jest wszakże wielką tajemnicą naszego dzieciństwa i dojrzenia. Dlatego poszukujemy z nim więzi tak jak poszukujemy rzeczywistości. Ta opowieść urywa się na dniu dzisiejszym, na zawieszonym pytaniu o naszą tożsamość, na ekspresji poczucia braku, który nam doskwiera. Tak więc cesarz Franciszek Józef w bibliotece Pawła Huelle, Arcyksiążę Ferdynand przejeżdżający przez Stanisławów w swej ostatniej drodze do Sarajewa, uchwycony pamięcią z ręką „leniwie opartą na drzwiach kabrioletu”, skarbнице rzeczy, flaneli, płócien i jedwabiu w kamienicy przy Lessingstrasse, dzisiaj Grottgera, historia Weisera Dawidka, chłopca, który nie chodził na religię i tajemniczo zaginął kiedy Polska Ludowa wkraczała w epokę gomułkowską... – to wszystko nie są wspominki, ucieczki w światy idealne czy nostalgia za przeszłością. Ta opowieść jest splotem żywych napięć pomiędzy odległą zdawałoby się przeszłością a dniem dzisiejszym, urywa się w pół zdania, jeszcze nie wszystko zrozumieliśmy. „Jedyne co mogę zrobić to opowiadać dalej” – odpowiada sobie narrator książki Huellego w momencie, gdy przyznaje się, że nie rozumie, że jest bezradny wobec tajemnicy. Sama książka pozostawi nas zresztą z nierozstrzygniętą tajemnicą. Ta opowieść musi być snuta dalej, jej wektor tylko pozornie skierowany jest w przeszłość, a tak naprawdę potrzebujemy jej, by dojść do siebie samych dzisiaj, by odemknąć perspektywę na jutro. Uchylając wieko i zaglą-

dając przez szczelinę w głąb starej cywilizacji, poszukujemy dla siebie filozofii oparcia, o której pisali niedawno w *Czasie Kultury* Izolda Kiec i Rafał Grupiński. Odnajdujemy siebie na peryferiach, pośród ruin i opustoszałych budowli, które kiedyś stanowiły wymarzony teren naszych dziecięcych zabaw. I kusi nas ta sama tajemnica, i w dalszym ciągu jesteśmy uczestnikami tej samej podróży, gdy pytamy siebie dzisiaj kim jesteśmy.

Po spotkaniu w Domu Otwartej Litwy Arunas Sverdiola, filozof z Uniwersytetu Wileńskiego, dawniej Uniwersytetu Stefana Batorego, powtarzał sobie zdanie o nienawiści i intymnym wtajemniczeniu w gotyk, w piękno przedmiotów. Szliśmy ulicą obecnie zwaną Sruogos gatve, dawniej Św. Jana, a potem zбочyliśmy w dzisiejszą Pilies gatve, dawniej ulicę Zamkową, dzisiaj... dawniej..., dzisiaj... dawniej. Szliśmy pomiędzy dawniejszym a dzisiejszym, pomiędzy nienawiścią a pięknem, pośród całej rzeszy młodych ludzi spacerujących starymi uliczkami, w pewnym środkowoeuropejskim mieście.

I tak tutaj żyjemy, pomiędzy nienawiścią a pięknem.

Krzysztof CZYŻEWSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Sprawy i troski

Kartki ze skażonej strefy

Ja, która ostatnio zakopuję się w świat seryjnych amerykańskich filmów akcji, żeby tylko oderwać się od bieżącej polskiej polityki, której mam szczerze dość, z drugiej strony, nie mogę oprzeć się obsesyjnej obserwacji zjawiska pod tytułem „Marian Krzaklewski”. Już o nim pisałam; wiem, że się powtarzam, ale muszę, muszę...

Że taki człowiek pojawia się na tej ziemi, nie dziwi, bo różne dziwy rodzi ziemia, dziwi natomiast, i to wprost niewytłumaczalnie, że idą za nim inni. Że porywa, bo można tu śmiało użyć tego słowa. Porywa, skoro do jego ruchu przystaje tyle ludzi. Tylko czym? Bo powinien raczej odstręczać.

Przypomnę: zaczynał od zera. Gdy wakowało stanowisko przewodniczącego Solidarności, opuszczone przez Wałęsę dla prezydentury, obok takich – jakby się dziś modnie powiedziało – kultowych kandydatów jak Bogdan Borusewicz czy Lech Kaczyński, Krzaklewski, choć należał do struktur związku, był nikim. I o to właśnie chodziło; dlatego został wybrany! Żeby nie zawadzał; miał nie zawadzać. Miał być pionkiem, powolnym narzędziem w zasięgu działań Wałęsy. Takie było jego zadanie i przez jakiś czas zdawało się, że je wypełnia. Piął się do góry bardzo po cichu, niepostrzeżenie, żeby nagle, niemal w przededniu nowych wyborów, wyskoczyć z zapleczem ludzkim, które być może zapewni mu większość w Parlamencie.

Boję się tego, oczywiście, bardzo, ale w tej chwili nie fakt ten zaprzęta mi umysł, ale psychologia powodzenia tego człowieka.

Czym przykuwa działacz pozbawiony zupełnie charyzmy i indywidualności, pyszałek bez wdzięku i dowcipu, „pan

obraźalski”, w sposób infantylny wyrażający obrazę – no i bez programu, czym by rekompensował braki osobiste. Nie mam pojęcia, co w nim ludzi pociąga.

Mogę z łatwością zrozumieć motywację elektoratu SLD (konieczność zwarcia szeregów, żeby nie stracić interesu) czy, na drugim biegunie – ROP-u (żeby wykorzystać szansę); mogę od biedy zrozumieć sympatyków PSL-u oraz tych, co choć zawiedzeni nie raz, wiernie sekundują Unii Wolności dla jej niezaprzeczalnego wkładu w przebudowę ustroju. Mogę pojąć zwolenników Unii Pracy, której, choć ma opinię utopii, nie można odmówić inteligencji i szlachetnej postawy, wyróżniającej jej członków od pospolitej przyziemności ciżby polityków różnych maści. Nie mogę natomiast pojąć, dlaczego ludzie słuchają Krzaklewskiego.

Zrozumiały był pierwszy impuls: skrzyknąć się – tym razem skutecznie – żeby przeważyć siły postkomuny i nie powtórzyć kompromitacji prawicy sprzed wyborów prezydenckich. Zrozumiały był też dla mnie fakt, że skrzyknięto się pod sztandarem Solidarności, wystarczająco pojemnym dla wszystkich niekomunistów. AWS powstała ze zlepku Solidarności i różnych mini-partijek prawicowo-ludowych.

W ten sposób przyłgął też do AWS Czesław Bielecki ze swoim Ruchem Stu (czy jest ich jeszcze nadal stu, to już inna sprawa). Akces wspólnego frontu wyborczego złożyła na tej samej zasadzie Unia Wolności. Akces przez Krzaklewskiego odrzucony (moim zdaniem, ze strachu przed kompromitacją).

Do tej pory wszystko jest jednak dla mnie zrozumiałe. Motyw przewodni tych wszystkich, którzy chcieli pójść z AWS był pragmatyczny, brzmiał: w ilości siła. Nie mogę wszakże zrozumieć żenującej podległości Krzaklewskiemu, gdy zaczął się bezprzykładnie szarogęścić wśród zdobytych szeregów.

Żał patrzeć, jak tak zwykle złotousty Czesław Bielecki, występując publicznie wije się w ogólnikach, żeby tylko niczym nie narazić się szefowi. Jak znany z ciętego języka i skądinąd coraz dojrzalszy politycznie Maciej Jankowski, szef solidarnościowego „Mazowska”, nabiera wody w usta, zapytywany o Krzaklewskiego. Jak nagle zamilkł Jan Rokita, który z garstką odczepionych unionistów przystąpił niedawno do AWS. Ten obiecujący młodzieńki poseł, którego wyraziście

pamiętam z pierwszych wystąpień w Sejmie, duma Krakowa, cichutko przysiadł w anonimowej ciżbie.

Czyż naprawdę nie widzą innego człowieka poza Krzaklewskim, na którym można by się oprzeć?

Gdy 25 lutego br. Marian Krzaklewski stawał na mównicy sejmowej, na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Miał w imieniu AWS przedstawić poprawki do sejmowego projektu konstytucji, a wygłosił mowę wyborczą. Dla mnie nieważne było jednak, co mówił (cóż mógł mówić? Bogoojczyźniane komunafy), ale ważna była recepcja jego osoby. Przyjęto ją z najwyższą uwagą. Jakby przemawiał nie tylko przyszły premier, ale ten, który tego premiera wyznaczy. Gdzieś w powietrzu unosiła się trwożna obawa, że oto mamy do czynienia z przyszłym prezydentem RP. Fala głosów, jaka przetoczyła się przez media po tym wystąpieniu, zdawała się potwierdzać tę prognozę. Prognozę pełną złowróbnego przecucia, że od Krzaklewskiego nie ma odwrotu. Nie ma alternatywy.

Niegdyś pęd za Wałęsą, jakby go nie oceniał, można zrozumieć, stała za nim historia, był postacią legendy. Tymiński, za którym opowiedziała się w czasie początków demokracji zdeorientowana grupa straceńców, był aktem desperacji. Ale jak w siódmym roku istnienia wolnego ustroju zrozumieć pęd za człowiekiem, za którym nie stoi nic prócz własnej niedojrzałości?

Mój syn, chociaż w sprawach globalnych jest fatalistą, tutaj wykazuje zdumiewający optymizm: „głupka nie wybiorą, nie bój się” – mówi. Gdy mu podtykam pod nos sondaż, wzrusza ramionami: „przy urnie będzie inaczej, nie wybiorą cymbała i koniec”. Może to za młodym stoi racja?

Ano zobaczymy.

Ale jakież to ciekawy czas idzie! Zobaczyc, jak się to wszystko przetoczy przez nasz kraj. Prawdziwe kino akcji. Nie z ulic San Francisco czy z Central Parku, ale swojskie, od nas, znad Wisły. Już zacieram ręce.

W duchu nieśmiało jednak myślę, że może, gdy będziecie Państwo czytać te KARTKI, jakiś mądry reżyser dziejów zmiecie postać Krzaklewskiego z pierwszych stron gazet?

Na bazarze cena „Dzienników” Stefana Kisielewskiego osiąga sumę 150 zł (circa 50 dolarów). W księgarniach pierwszy nakład rozszedł się błyskawicznie, z dodrukami nie można nadażyć. Dyrektor wydawnictwa „Iskry”, Wiesław Uchański, nie tai, że na Dziełach Zbiorowych Kisielewskiego (nawet na powieściach) zarobił krocie. Kto by przypuszczał?

„Dzienniki” liczące blisko tysiąc stron, o fatalnym bladym druku, z mora dla osób o słabszym wzroku, są lekturą wręcz nudną, gdyby je czytać linijka za linijką. Autor opisuje bowiem drobiazgowo bieżące wydarzenia w Polsce i w Europie (z lat 1968-1980), komentując je i stawiając prognozy, które albo się sprawdziły, albo nie, ale które znamy z autopsji i bez czytania.

A jednak ta lektura wciąga. Wciąga nie tylko autentyzmem, ale temperaturą, wciąga swoją wściekłością. Kisielewski „pisze sobą”. Odreagowuje na tych kartach własne publiczne zakneblowanie. Oto gdy wszystko się w nim gotuje, gdy niczego tak nie pragnie, jak tego, żeby otworzyć usta i przestrzegać, gromić, wskazywać, wyśmiewać – nie wolno mu. Nawet na sztukę tak abstrakcyjną jak muzyka ma założony szlaban. Komponuje pod pseudonimem.

Więc rzuca swój gniew, to wszystko, co w nim kipi, na luksusowy papier brulionów przysyłanych przez Wacka (syn, pianista) z Paryża, zapisuje życie, jak leci i chowa po różnych schowkach, bo rewizja w domu bardzo prawdopodobna – no i nie zagląda do nich aż do śmierci.

I na tym również polega urok tej lektury. Że wydano ją bez żadnego późniejszego udelikacenia, bez kurtuazyjnych cięć.

Tekst roi się od epitetów. Dureń, osioł, idiota, debil (poniżające określenie „piesek” należy do najdelikatniejszych). Wszystko to w odniesieniu do uznanych wielkości, przeważnie ludzi prawych i co najistotniejsze, przyjaciół autora. Nie szczędził im wyzwisk w sytuacjach, gdy uważał, że błądzą. Kto znał Kisielewskiego choć trochę, wiedział, że to jego styl, jego język. I takim też pisał swoje „Dzienniki”.

Wydawca tłumaczył brak indeksu (brak karygodny przy tego typu książce) celowym zamierzeniem. Żeby recenzentom trudniej się było połapać, ile razy i na której stronie nazwał tego czy owego brzydkim wyrazem. Mimo tej przeszkody i

mimo, że autor wielokrotnie w książce zaznacza, że złością go przyjaciele, a nie wrogowie – znaleźli się Wielcy Obrażeni. Nadspodziewanie dużo ich było i trudno zrozumieć, że właśnie ci.

Ziuta Hennelowa z *Tygodnika Powszechnego* napisała recenzję pod hasłem wielkiego urozonego zdziwienia: „on nas nie lubił, kto by pomyślał!”

Ależ nieprawda! Lubił, lubił, kochał! Mam przed sobą zmurszały egzemplarz tegoż *Tygodnika* z roku 1982 z dużym, pociętym przez cenzurę, wywiadem Kisielewskiego, jaki z nim przeprowadziłam, pod tytułem „Ośluchiwanie”. Jest to czas, kiedy embargo na Kisielewskiego nieco zelżało, wolno mu publikować i wyjeżdżać za granicę. Tłumacząc mi, dlaczego nie powraca do *Tygodnikowych* felietonów (zamierza skoncentrować się na dziele życia, wieczne jego pragnienie) mówi tak: „...żał mi *Tygodnika*, kontaktu z ludźmi. Tej grupy, która mimo pokoleniowej zmiany warty – tylko redaktor Turowicz, jak wiadomo jest wieczny – zachowuje niezależność, zupełny unikat w PRL. Prywatna redakcja o pełnej autonomii... Prywatna grupa ludzi sprawdzona w kolejach losu, stąd autorytet moralny. Pismo niemarksistowskie, zaznaczające ten fakt przez cały czas... jak powiadam, najbardziej budująca jest niezależność wewnętrzna *Tygodnika*”.

Nie pomogło. Poobrażali się. Czyżbyśmy byli narodem Krzaklewskich?!

Na spotkanie zorganizowane w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich z okazji wydania „Dzienników”, w tym samym miejscu, gdzie przy promocji były książki zappełnia się sala, tym razem była zenująco mała garsteczka osób. Zignorowali imienne zaproszenia wielcy przyjaciele, jak również nie ukazały się rutynowo zamieszczane w całej prasie ogłoszenia o terminie spotkania. Z gazet stołecznych powiadomiło o imprezie (bardzo ciekawej, zresztą) i dało z niej sprawozdanie jedynie *Życie Warszawy*. Ja tej urazy ludzkiej nie rozumiem: gdzie poczucie humoru, bez którego topnieje wszelka inteligencja?

Jednak stało się. Elity Kisielewskiego „olały”, a naród czyta na za-bój. Zbłądził pod strzechy. Zagadka dla historyków literatury.

A on? Cieszy się z tego w niebie, czy wścieka? I to, i to, zapewne.

Ktokolwiek chce pracować w telewizji (oprócz fizycznych, oczywiście) musi mieć wyższe wykształcenie. Warunek *sine qua non*. Młocą się tam, mielą, wyrzynają, przerzucają, przyjmują, przetasowują według kryteriów politycznych, układowych, sitwowych, miłosnych i wszelkich innych, ale jedno kryterium jest nieodzowne – kandydat do pracy musi mieć magistra.

Ile z tego magistra w głowach i na wizji? Ano spójrzmy. Wybieram z przyrzutu, bez selekcji, parę przykładów.

Pani magister-prezenter zapowiada w telewizorze: „Zobacz państwo sztukę według noweli Prospera Merim”. Dobitnie podkreśla „m” na końcu, najwidoczniej, żeby dowieść, że nie jest jej obca zasada, że we francuskim nie wymawia się końcowego „e”. (Tu przypomniała mi się nasza przedwojenna gosposia, wiejska dziewczyna, która mówiła „merkedes” zamiast „mercedes”, ponieważ dowiedziała się, że w słowach zagranicznych „c” wymawia się jak „k”).

W filmie dziejącym się w Alpach stale powtarza się góra o nazwie Panna. Potrwało, nim zorientowałam się, że chodzi o Jungfrau. Dobrze, że rzecz nie działa się w okolicach Mont Blanc, bo pani magister-prezenter dowodziłaby mi, że chodzi o Górę Białą.

W programie sportowym natomiast niejaki „coach” skrzyczał swoich zawodników za złą grę. W ten sposób doszło do mojej świadomości, że słowo „trener” zniknęło z mojego języka. Zresztą, też obce, więc o co tyle hałasu?

Prześmiewam się tu i udaję greka, a przecież od dawna kładą nam w głowę, że te błędy to wykorzenienie tradycji, zanik znajomości powiedzeń i nazw, które dawniej mieliśmy we krwi i przywoływaliśmy na zawołanie; i mówią, że ta dziwna ignorancja bierze się z faktu, iż nasze dzieci znalazły się nad komputer.

Nie wierzę temu. Jest to wołające na alarm załamanie kultury. Komputery nic tu nie mają do rzeczy.

Zjawisko bandytyzmu drogowego narasta u nas lawinowo od 1992 roku, kiedy to na dobre ruszył wolny rynek na kółkach ze Wschodu na Zachód i odwrotnie. W tymże roku

odnotowano 154 rozboje tego typu. W roku 1995 było ich już 544. Natomiast tylko przez dwa pierwsze miesiące roku 1997 rozbójnicy napadli na 41 pojazdów. Jak się ten bilans potoczy, strach myśleć.

Rozbójnikami, jak i ich ofiarami, są przeważnie obywatele WNP. Rajd przez Polskę jawi się im jak westernowy szlak przez tereny opanowane przez Komanczów.

Złoczyńcy przebrani byle jak za policjantów, nasadzają na policyjnopodobny samochód „koguta” i zatrzymują autokary jadące przez nasz kraj tranzytem. Rabują, jak wypadnie – zabijają, bez różnicy. Zabijają strzałem lub przywiązaniem do drzewa gdzieś głęboko w lesie, tak zginął jeden kierowca, z głodu i wycieńczenia.

Nie inaczej zatrzymano niedawno w lasku w okolicach Rawy Mazowieckiej wycieczkę z Łotwy do Niemiec. Ofiarą padła młoda Łotyszka, którą w czasie szamotaniny zastrzelono, oraz dziesięć tysięcy marek. Ograbiony autokar nie przerwał podróży, tylko grzał w popłochu do granicy niemieckiej bez zatrzymania, taranując wszystko po drodze i ignorując prawdziwą policję.

Nie da się zaprzeczyć, że zwłaszcza dla cudzoziemców jesteśmy krajem niebezpiecznym, przez który strach jeździć. Nie tylko my, zresztą, i nie tylko dawne KDL-e. Również Rosja. Znany i powszechny jest fakt, że zachodnie firmy nagminnie wynajmują Polaków jako kierowców TIR-ów przewożących towary do Rosji. Żaden zachodni szofer takiego ryzyka się nie podejmie.

Nasza drogówka jest bezradna w tych sprawach. Jedyne, co umie, to wlepić mandaty za przekroczenie prędkości. Zresztą, robi to grzecznie, o ileż przyjemniej niż dawni koledzy-komuniści, którzy nie tylko brali, ale i pomiatali człowiekiem. Ilekroć rozmawiam z dzisiejszym policjantem, widzę tę różnicę i odczuwam radość z wolności.

Ale do rzeczy. Nie lepiej niż na drogach, bywa w naszych miastach. Ludzie zwyczajowo boją się chodzić po ciemku, tymczasem napady i kradzieże zdarzają się częściej w biały dzień i w tłumie ludzi. Ludzie jak gdyby przywykli do tego pejzażu czyhających niebezpieczeństw, na które nie ma rady. W salach sądowych coraz więcej spraw o postrzelenie napastnika przez poszkodowanego. Wazą się losy ludzi działających

w obronie koniecznej. Była ona konieczna, ta obrona, czy nie była, głowią się sędziowie, nienawykli do rozbiegania podobnych kwestii. Ale cóż robić? Ludzie, widząc, że policja nie poradzi, zaczęli radzić sobie sami.

Przez wizjer drzwi wejściowych zobaczyłam młodego człowieka. Nieproszony uniósł plakietkę policyjną na wzór amerykański. Tajniacy komuny mieli czarne legitymacje, które trzymając kurczowo, na moment rozchylali przed przesłuchiwanym w domu. Różnił ich od obecnych nie tylko znak identyfikacyjny, ale i wygląd. Tamci robili wrażenie niższych urzędników, komorników, komiwojażerów, ten mój tutaj, we drzwiach, wyglądał jak kowboj pomieszany z szeryfem. No i był sympatyczny.

Przyniósł mi wezwanie do komisariatu w sprawie sąsiadów. Ludzi cichych jak myszy, bezdzietnych, o których, nie byłabym w stanie nic powiedzieć. Podobno rozwodzą się, jest spór o rozdział majątku. Mojego męża wzywano już w tej kwestii parokrotnie, teraz przyszła kolej na mnie. Podobne wezwania mój tajniak rozniósł zresztą całej klatce schodowej. Nie wytrzymałam:

– Panie – zmierzyłam faceta od stóp do głów – czy panu nie wstyd? Czy nie żal panu i pańskim kolegom marnować czas na głupoty, kiedy tyle rozboju na dworze? Kiedy z rąk wyrrywają torebki, z kieszeni portfele, kiedy samochody kradną spod nóg, kiedy plądrują izdebki staruszkom, a dzieci zabijają dzieci? Czy nie żal panu tonąć w papierkach, zamiast zabrać się do porządnej policyjnej roboty, kiedy przestępczość się pleni i pełno zbójców na drodze...? Mówiłam w ten sposób długo ku zażenowaniu mojego męża, robiącego mi kółko na czole. Ale funkcjonariusz słuchał uważnie. I wreszcie zakonkludował: „dobrze, proszę tylko zadzwonić pod ten numer”. Zadzwoniłam. Zwolniono mnie z jałowego przesłuchania. Widocznie moja dydaktyczna tyrada podziałała.

Warszawie zafundowano straż miejską. Miała służyć pomocą policji. Głównym jej zajęciem stały się jednak dwie czynności: zakładanie blokad na źle zaparkowane samochody oraz karanie mandatami ulicznych przekupniów i pieszych przechodzących jezdnię nie na pasach. Tu trzeba zaznaczyć, że blokady są na niby, w postaci kartki z napisem „blokada”, zatkniętej za wycieraczkę, ponieważ odpowiednich narzędzi

straż nie ma. Za to straż ma piękne umundurowanie i zachowuje się bardzo uroczyście.

Zestawienie straży miejskiej z faktycznym stanem rzeczy, żeby długo nie deliberować, określeń powiedzeniem: „jak z Mroźka”. Sytuacje jak z Mroźka określają naszą rzeczywistość.

Gdyby policję spytać o brak skuteczności, odpowiedziałyby, podobnie jak wiele państwowych agend: nie mamy pieniędzy. Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Będą, i my będziemy inni.

Pieniądze, zgoda, potrzebne, ale ja myślę, że tutaj cała rzecz polega na wadliwym ustawieniu punktu ciężkości, na źle rozłożonych akcentach, na nieumiejętności hierarchizowania. W policji wadę tę widać jaskrawo, bo działa na widoku, ale ona ciąży nad każdym naszym zbiorowym działaniem. W tym rzecz. Niedojrzały jest Krzaklewski i my wszyscy razem z nim.

Marzec 1997 r.

Ewa BERBERYUSZ

Polonez na pogorzelsku

Z początkiem lutego na telewizor w kraju spadła przygnębiająca informacja, że spośród trzystu tysięcy litewskich Polaków – co piąty żyje w skrajnej nędzy, na skutek czego mnóstwo rodzin oddaje dzieci do państwowej placówki opiekuńczej. Że jest taki specjalnie, dla Polaków przewidziany, dom dziecka. Pokazują nam młode małżeństwo, które tam umieściło swoje pierwsze i jedyne jak na razie dziecko. Poznaliśmy też ojca, który, jak dotąd, przekazał państwu siedmioro pociech. Pewnie na tym się nie skończy, bo i to młody jeszcze człowiek, a nie przypuszczam, by w akcji charytatywnej sterowanej przez Caritas uwzględniano środki antykoncepcyjne.

Mnóstwo osób momentalnie zareagowało na alarm z Litwy: „Jesteśmy w tej chwili zasypywani listami... ofiarami na rzecz rodaków...” – już nazajutrz donosiła telewizja. W dwa dni później, z programu „W centrum uwagi” dowiedzieliśmy się, że „od wczoraj trwa akcja pomocy”. Tempo imponujące, jak po trzęsieniu ziemi.

Zaproszony do programu ksiądz, reprezentant Caritasu, krzepił serca: nawiązaliśmy kontakt z konsulem generalnym, zobowiązaliśmy się zgromadzić grono ludzi... Zaraz zaraz, a czy przypadkiem to nie konsul powinien informować o takich sytuacjach? Na Litwie są polscy księża. Dlaczego nie reagowali na niewyobrażalną (jak podkreślano w TV) biedę? Caritas działa tam od roku. Dlaczego ta akcja rozpoczyna się dopiero teraz? – bardzo zasadne pytanie zadała dziennikarka telewizyjna.

Sądząc chociażby z relacji w naszych mediach, na Litwie nie brak Polaków aktywnych politycznie, skłóconych – jakże by inaczej – niemniej zorientowanych, jak się żyje ich elektoratowi. Trzeba było dopiero ekipy TV z Warszawy, żeby nam otworzyć oczy?

Wiadomość wiadomości nierówna. Jednego wieczoru alarm: tuż za Suwałkami przymierają głodem nasi rodacy... kolejka oczekujących na miejsce w domu dziecka wydłuża się, choć i tam jeść nie ma co... A dwa dni później: nie jest aż tak źle, alarm był przesadny, biedują Litwini, biedują Polacy, do zakładów opieki społecznej trafiają dzieci z rodzin patologicznych, standard placówek nie jest zły, niemniej pomoc, jeśli już, powinna być kierowana właśnie do nich, a nie w jakieś nie za pewne ręce. Zaprezentowana jako szefowa polskiej akcji humanitarnej p. Ochojska oznajmia, iż taki a nie inny stan rzeczy ustalili jej ludzie, specjalnie w tym celu wysłani na Litwę. Analiza zajęła im dwa dni. Bravo!

Albo kontrolerzy zmienili zdanie, albo ich zmieniono, gdyż – jak dowiedzieliśmy się znowu z telewizji – w sobotę 22 lutego wyruszył konwój z pomocą. „Do tych wsi jedziemy w których państwo pokazywali tę okropną biedę...” – objaśnia uczestnik. Czyli jednak pomoc będzie bezpośrednia. Następny, już zapowiadany jako wielki, konwój humanitarny Caritasu i telewizyjnych „Wiadomości” dotrze na Litwę przed Wielkanocą. Jakiej ponurej sensacji, na odmianę

z zachodnich obszarów Ukrainy, trzeba, abyśmy troskę o skądinąd regularnie wspomaganą przez zamożne społeczeństwa Bośnię przeadresowali za tę miedzę?

Przez niespełna dwie dekady lutego zdążono w kraju zebrać dla litewskich Polaków 70 tys. złotych. Oto dowód, jak wiele dobrego można załatwić z ludźmi – gdy się przemówi do ich wyobraźni, tym samym – do sumienia.

Dary, konwoje... to są zrywy. Stanowczo za wiele w naszym *façon d'être* z rodakami z byłych kresów trąci polonezem na pogorzelsku.

Najbardziej spektakularna emocjonalna reakcja nie rekompensuje braku systematycznej pomocy, spokojnej ale sensownej taktyki opiekuńczej, w miarę wolnej od akcentów politycznych.

Delegat Caritasu *via* TV podzielił się z nami przypuszczeniem, że „szansa jest duża, jeżeli włożymy w to dużo serca”. Pamiętając – a może wreszcie pora by i w Polsce o tym mówić – jak stronnice i zdominowane politycznymi motywacjami bywało rozdawnictwo darów, które spłynęły do Polski po 1981 r., z jakim bałaganem, marnotrawstwem a często i nieuczciwością łączyła się ta ogromna akcja, pozostaje życzyć, aby otwarcie serca nie prowadziło do zamykania oczu; pozostaje wierzyć, że na Litwie nie powtórzy się sytuacja ze Zbaraża, do którego zamiast żywności i odzieży dojechała skrzynia z niechodliwym w Polsce nakładem „Etosu Solidarności”.

Tańcząc zagończyły po ex-latyfundjach. Tęsknimy. Gazety puchną od prezentymentalizowanych wspomnień i naskórkowych obserwacji. Są wybrane kierunki peregrynowania. Jeździ się do Nowogródka – bo Mickiewicz, do Krzemieńca – bo Słowacki, do Drohobycza – bo Bruno Schultz. Do Wilna i Lwowa jeździ się do siebie. W korespondencjach z Litwy zwracałam uwagę na pozorność kontaktów z rodakami z byłych ziem polskich, Koło Krzemieńczan... Towarzystwo Miłośników Lwowa... Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia... Federacja Organizacji Kresowych: już to mówi za siebie. Nie trzeba się sugerować liczbą stowarzyszeń, ugrupowań, związków. Wszystkie monotematyczne. *De facto* – skoncentrowane na tym, o co mieliśmy tęgie i z naszego punktu widzenia arcysłuszne pretensje

do Niemców. Tak, tylko że Litwini, Ukraińcy i Białorusini też mają swój punkt widzenia. I swoje powody do rozdrażnień.

Cała literatura „postkresowa” to wariacje na tematy z Iwaszkiewicza, Kuśniewicza, Strykowskiego (choć jednocześnie w zapomnienie poszedł Wołoszynowski i jego znakomite „Opowiadania podolskie”). Tęsknimy. Może to nieuniknione, może na zmianę trzeba liczyć dopiero po pełnej zmianie pokoleń, tylko ilu Polaków po tamtej stronie barykady zechce i potrafi na to czekać? Czy poza okazijną parą butów, tabliczką czekolady i ludowym festiwalem dużo mamy im do zaproponowania? Jeśli nawet bierzemy się za problemy, naszym zdaniem, na czasie, to zazwyczaj z gracją słońia w składzie porcelany. Najpierw upieraliśmy się przy polskim uniwersytecie w Wilnie – pomysł i niezręczny politycznie i nierealny, ponieważ wyższe uczelnie mają to do siebie, że potrzebują wykładowców i studentów, potem przy współdziałaniu Watykanu zaogniliśmy nastroje antypolskie po części na Ukrainie, głównie – na Białorusi, gdzie każdy ksiądz katolicki w rezultacie swojej polonizacyjnej (może siłą faktu – to osobna kwestia) działalności, widziany jest dokładnie tak, jak my przed wojną widzieliśmy nacjonalistów z naszych mniejszości narodowych.

A jednocześnie – ta nasza nieuwaga, ten ich żal, że „jedni żyją we Lwowie, drudzy żyją ze Lwowa”. Postuchaliby posłowie, senatorowie, jak się ocenia ich wizyty. Doprawdy za często do Lwowa, Wilna, Grodna, peregrynacje po własną młodość, po świat tym gładszy im mniej prawdziwy, im więcej lat nas od niego dzieli. Tamtejsi Polacy w przybliżeniu nie są tak zauważani jak materialne pamiątki, nasze więzi kresowe koncentrują się – i często wyczerpują – na ostatekach pejzażu i resztkach kamieni.

Anna STROŃSKA

Kraj

Galimatias wokół AWS

1.

Do tegorocznych rozstrzygnięć politycznych Polacy przystąpią w osobliwym stanie ducha. Niby to grają surmy bojowe i szykuje się coś pomiędzy krucjatą a operą Wagnera. Ale za pozorami pewności i hałaśliwością wystąpień skrywa się coraz więcej i coraz bardziej wielorakich zwątpień. Bp Pierołek powiada mimochodem: „...to, co jest Polsce naprawdę potrzebne, a więc święty spokój” (!) Ten sam biskup wypowiedział w tym samym miesiącu wiele innych opinii i w tę, i w tamtą stronę, co zapewne tłumaczy się jego niedogodną sytuacją sekretarza episkopatu, w którym daleko do jednolitej strategii. Ta jednak niespodziana definicja polskiej potrzeby numer 1 zdaje się wyrażać głębsze rozeznanie, że Polacy nie mają dziś ochoty o nic walczyć i że ich pragnieniem jest bezpieczeństwo, w każdym sensie słowa.

Zapewne poza wszelkimi materialnymi motywami takich nastrojów – ci, którzy mają, chcą używać bezpiecznie, a którzy nie mają, chcą mieć przynajmniej pracę i zabezpieczenie na starość – jest jeszcze motyw duchowy. Polacy uczą się jednocześnie relatywizmu i relatywizacji relatywizmu. Świeckość państwa nie znaczy już nic ponad bezstronność wobec sfery *sacrum*. Z Oświecenia zostało więc niewiele. Ale zarazem w kraju, który przywykł myśleć, jak senator Alicja Grześkowiak, że *sacrum* to „Jedyny Bóg w Trójcy Świętej” i Jego Kościół Rzymskokatolicki – *sacrum* się rozmożyło: 124 nowe związki religijne zarejestrowane (dyr. Kossakowski z MSWiA) i ponoć 200 nie zarejestrowanych sekt (p. Domagalik z katolickiego Ruchu Obrony Rodzin). Co w tych

warunkach znaczy ekumenizm? Jak odróżnić religie „przyzwoite” i diabelski pomiot *New Age*? *New Age* od Nowego Tysiąclecia? Ci, którzy chcą się wydobyć z „bagna relatywizmu” nie mają jednak siły i zapewne nie mieli dość czasu, by nową pewnością odnaleźć w przyszłości. Usprawiedliwiają się bankructwem utopii. Ale ten usypiający slogan oznacza przecież tylko tyle, że w przyszłości nie ma żadnej pewności. Innymi słowy, zaangażowanie w przyszłość nie może być fanatyczne, musi być krytyczne. Do tej trudnej okoliczności potrafią się od biedy przystosować ludzie należący do szkół myślowych mieszczących się z grubsza w tym, co Popper nazywał społeczeństwem otwartym. Nie jest to proces bezbolesny, wystarczy śledzić publicystykę *Gazety Wyborczej* czy zachowania klubu parlamentarnego Unii Wolności. W *GW* pojawia się coraz więcej wątpliwości i znaków zapytania, osądy polityczne zastępują z wolna zwyczajowe w tej gazecie orzeczenia i dekrety etyczne. W klubie UW jest mniej retoryki, więcej giętkości... Nic nie jest pewne, każde zaangażowanie jest ryzykowne.

Ta postawa i ten minimalizm są nie do przyjęcia dla młodej prawicy. Jej najgłośniejszym w ostatnich miesiącach produktem intelektualnym jest zbiorek esejów Cezarego Michalskiego „Powrót człowieka bez właściwości”, wydany staraniem Stowarzyszenia „Dzikie Pola”, które pod przewodnictwem Wiesława Walendziaka grupuje niedawnych pampersów. Nie ma w tej eseistyce nic nowego poza zwyczajową polemiką z myślą liberalną, atakami na postmodernizm, tęsknotą za światem dobrze uporządkowanym, zhierarchizowanym i mocno osadzonym na fundamentach metafizycznych pewności. Jak zwykle, pojawia się dylemat: wolność przed prawdą czy odwrotnie. Michalski rozstrzyga go w sposób godny Mrozkowego bohatera z „Na pełnym morzu” (...zatem zwykła wolność, to nie jest prawdziwa wolność. A gdzie jest prawdziwa wolność? Oczywiście tam, gdzie nie ma zwykłej wolności). To, co było satyrą na myślenie humanistyczne, pasuje zatem do poszukiwaczy absolutnych pewności z prawego brzegu. Już nawet nie warto zaznaczać, że to, co Michalski uważa za kryzys czy upadek, leczy się jego zdaniem przywracaniem starych wartości, nie zaś wynajdywaniem nowych rozwiązań.

To była wycieczka w świat idei, a teraz do naszych politycznych baranów.

2.

Uchwalenie nowej konstytucji, która 25 maja poddana będzie pod osąd w głosowaniu powszechnym, przyjęcie przez sejm ustawy lustracyjnej, mimo sprzeciwu SLD i opozycji pozaparlamentarnej, nowe szanse ratyfikacji konkordatu, o których, gdy to piszę, konferują przedstawiciele głównych klubów parlamentarnych – wszystkie te fakty (i jeszcze wiele innych, pomniejszych) sygnalizują, że proces polityczny wchodzi w nową fazę. Aby ją scharakteryzować możliwie najzwężej: polaryzacja traci rzeczywistą treść i staje się z wolna dekoracją, krzykliwą nieraz, ale jednak coraz bardziej dekoracją. Dlaczego?

Najłatwiej pokazać to na przykładzie konstytucji. Nie jestem wcale zachwycony tym tekstem, choć na pewno jest znacznie lepszy niż kontrpropozycja Solidarności, ale nie w tym rzecz, nie chcę nikogo agitować za głosowaniem „tak” bądź „nie”. Konstytucja jest dziełem autentycznych kompromisów w bardzo szerokim gronie: klubów parlamentarnych, opozycji pozaparlamentarnej (bez ROP) i Kościoła. W trakcie ostatnich kilku miesięcy dopracowywano się jej w bardzo otwartych, często dramatycznych, ale co najważniejsze lojalnych dyskusjach z wyraźną wolą wszystkich osiągnięcia sukcesu. Może i motywy tego pragnienia nie zawsze były wzniosłe, ale taka jest polityka, pozostają fakty. A fakty dowodzą, że kompromis pomiędzy koalicją rządzącą, prezydentem, opozycją parlamentarną i znaczną częścią opinii kościelnej – i to w tak doniosłej sprawie – jest możliwy i zapewne będzie owocny, bo wszystko wskazuje na to, że w referendum zostanie zatwierdzony. Są już zresztą tego skutki w retoryce opozycji. Wąłęsa jest przeciw, ale żadnej kampanii prowadzić nie zamierza. Olszewski jest przeciw, ale chodzi mu o to, żeby ten parlament żadnej konstytucji nie uchwalał; to też nie wystarczy na kampanię antykonstytucyjną.

Działaczem opozycji, który na serio chciał poprowadzić taką kampanię i zbić na tym kapitał decydujący w wyborach, był Marian Krzaklewski. To on wymyślał Zgromadzeniu Narodowemu od targowiczian, jeśli ośmielią się uchwalić

parlamentarny projekt poczęty w duchu Okrągłego Stołu („bez honoru i godności” jak judzi prof. Jadwiga Staniszkis, ostatnio rywalizująca z Alicją Grześkowiak o miejsce Ateny u boku szefa AWS). Ale kiedy już było po wszystkim, Krzaklewski ściszył głos. Jeszcze rozważy, czy wezwie do odrzucenia konstytucji w referendum (o kampanii już raczej nie ma mowy). Nie sądzi, by jej zatwierdzenie miało być porażką AWS. Owszem, różne postulaty „S” zostały uwzględnione... (rozmowa z Moniką Olejnik w III programie PR).

I cóż w tym dziwnego, że przytomni politycy odstępują od kampanii, której raczej nie mogą wygrać? Zaiste, nic. Wszelako wyborcza koncepcja prawicy, AWS i ROP, jest nieodłączna od diabolizacji postkomunistów z SLD. Polaryzacja nie sprowadza się w tym ujęciu do sporu programowego, choćby najostrejszego. To jest wizja świata, Wojna Dwóch Róż, wszystko, co pozostaje z polityki, zawarte jest w tej jednej opozycji... „Odpuszczenie” komunistom czegokolwiek, dozwoleństwo, żeby mogli występować jako spolegliwi uczestnicy demokratycznego procesu, zawieranie z nimi trwałych kompromisów (jak właśnie konstytucja) jest sprzeczne z istotą tak pojmowanej polaryzacji i walki wyborczej. Unia Wolności może kompromisy zawierać i pozostawać opozycją, ale AWS, gdyby okazał miękkość, zgubiłby duszę.

Z drugiej strony, nawet jeśliby działacze AWS chcieli zrewidować aktualne pojęcie polaryzacji, zostawić ROP walkę z diabłem i przejść do normalnej w polityce konfrontacji programów – a takich działaczy w AWS jest sporo – nie mogą tego zrobić z braku... programu.

Jarosław Kaczyński, którego jak zwykle świerzbi język, powiedział Witoldowi Gadomskiemu (GW, 15-16 marca), że „najsilniejszym w AWS ugrupowaniem jest TKM. Pełna nazwa: „Teraz, k...”, my! Nie ja ją wymyśliłem, kursuje wśród działaczy”. Adam Glapiński twierdzi ze swej strony, że AWS programu nie ma i... mieć nie powinien. Jak zbyt się będzie starał, to może się od tego rozlecieć.

Proces programotwórczy w AWS jest w samej rzeczy prowadzony na pokaz: spędy ekspertów, zespoły, w których dyskutuje się jak gęś z prosięciem. Stanowiska liberałów, związkowców, narodowców, chadeków, konserwatystów i Czesława Bieleckiego, są po prostu zbyt rozbieżne: tak można

uzgodnić alians, ale nie program. Instytut Lecha Wałęsy, który miał rzucić nieco światła na drogę, też się nie popisał. Jego raport „O stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy (próba diagnozy – wstępne postulaty)”, owoc korespondencji ze 120 osobami mniej czy bardziej znanymi, przypomina niegdysiejsze publikacje konwersatorium DiP (minus Stefek Bratkowski). Ale wtedy ogłaszanie truizmów działało ożywczo... Jeszcze jedno podobieństwo do DiP to utajnienie, na ich życzenie, około 1/3 nazwisk respondentów...

3.

Jeśli zza stołu polityków przenieść się na teren społeczny, to zgodnie z cytowaną opinią bp. Pieronka nie zanosi się na gorące – wiosnę, lato czy nawet jesień. Probierną sprawą Stoczni Gdańskiej została rozmiękana na drobne: okrojony i sprzedany zakład jakoś w końcu ruszy (jeśli tym razem zbyt wielu ratujących, od Cimoszewicza do Solorza, nie udusi pacjenta). Marian Krzaklewski zmuszony był z bólem serca odwołać 100-tysięczną manifestację zapowiadaną w Warszawie na 11 kwietnia: po prostu nie było chętnych. Jest podobnie wątpliwe, czy w odpowiednim momencie zechcą ruszyć na stolicę czarne szeregi ze Śląska: w coraz bardziej deficytowym górnictwie, ludzie zarabiają trzykrotność średniej przemysłowej... Szturmowe hasło społeczne AWS, powszechne uwłaszczenie, przechodzi z wolna w sferę luźnych fantazji. Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego „zadaniem AWS jest legitymizacja systemu kapitalistycznego w Polsce” – do czego postkomuniści naturalnie się nie nadają – a „bez szerokiej prywatyzacji, na której korzystałaby większość Polaków” nie jest to możliwe. Tymczasem AWS wcale jeszcze nie wie, jak taka prywatyzacja ma wyglądać, a rządowej prywatyzacji robi się coraz więcej. A to, co zostanie, pójdzie najpewniej na fundusze emerytalne. Nadspodziewany sukces odniosły świadectwa udziałowe NFI (nim się ludzie zorientują w sensie operacji, upłynie parę lat). Teraz w fabrykach czeka się niecierpliwie na darmowe akcje (15% wg znowelizowanej ustawy o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, która weszła w życie 8 kwietnia). Czy opozycja odważy się atakować rząd za tę przedwyborczą łapówkę dla załóg?

W braku ruchów masowych, pozostają, oczywiście, konflikty interesów partykularnych: strajk-nie strajk lekarzy, marsze żałobne kupców warszawskich (wyburzenia, coraz wyższe czynsze, napór supermarketów) i dziesiątki innych... A także wyspecjalizowana w zadymach Liga Republikańska. Tym wszystkim można by kampanię wyborczą dosolić i dopieprzyć do smaku, ale trzeba uważać... Longin Komołowski z „S” Pomorza Zachodniego powiada dziennikarce *Polityki*: „W cenie jest umiar, Polacy nie wybierają radykalizmów”, czyli to samo, co bp Pieronek.

Zatoczywszy w ten sposób krąg powracam do pytania o polaryzację sceny wyborczej w rozumieniu głównego nosiciela tej idei, AWS. Tylko, że teraz powinno już być jasne, że Marian Krzaklewski nie ma innego wyboru jak: albo podtrzymać polaryzację skrajnie ideologiczną, bo tylko tak przeciwnik wydać się może szatanem – albo podjąć ostrą walkę polityczną, tzn. zdecydować się na grę, w której również przeciwnik jest partnerem. Wszystko wskazuje na to, że przywódca AWS, wierny słuchacz Radia Maryja, obiera pierwsze rozwiązanie. Pierwszym tego dowodem są przeprowadzone ostatnio wybory władz AWS. Zastępcami Krzaklewskiego jako przewodniczącego zostali:

Janusz Tomaszewski z „S” (z Łodzi).

Marian Piłka, prezes ZChN.

Kazimierz Kapera z Polskiej Federacji Rodzin Katolickich (wiceminister zdrowia, którego Jan Krzysztof Bielecki wyrzucił z dnia na dzień za znieważanie mniejszości seksualnych).

Adam Słomka z KPN-OP, sprzymierzonego w tzw. spółdzielni z kilkoma drobnymi partiami w rodzaju Nowej Polski Andrzeja Anusza. Słomka i Anusz, politycy z gatunku sprawnych i cwanych, zamierzają, jak twierdzi Wojtek Załuska z *GW*, wkręcić się na stanowiska organizatorów aparatu nowej partii AWS. Nalegają, by ją tworzyć już teraz, nie zważając na opór innych ugrupowań z Rady Krajowej AWS.

Do grona zastępców nie wszedł Jarosław Kaczyński. Aleksander Hall ze Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego uznał, że w „publicznym odbiorze AWS zdominowany został przez nurt prawicowo-radykalny. Opcja umiarkowana, pro-rzymska, jest wyraźnie słabsza”. Jeszcze ostrzej wypowiadał się Czesław Bielecki z Ruchu Stu, również w przegranej

polu. W Instytucie Lecha Wałęsy nie kryje się, że takie napięcie w AWS sprzyja nadziejom b. prezydenta, który nie zamierza się angażować w kampanię wyborczą, poza ogólnymi słowami poparcia dla AWS i UW (!)... „a także ROP”. Dopiero po wyborach chce „stworzyć ruch społeczno-polityczny, żeby dopilnować niezamarnowania owoców zwycięstwa lub, jeśli taki będzie wynik, podjąć o nie dalszą walkę” (Wałęsa w *Polsacie*, 13 IV). Rozmowa w kierownictwie Instytutu przekonuje, że liczy się tam, iż Unia Wolności zyska po wyborach kluczową rolę... No, ale wybiegam zbyt daleko przed kalendarz.

4.

Forsowna ideologizacja kampanii wyborczej – proszę zauważyć, że byłoby to coś więcej i inaczej niż przeciwstawienie tradycji solidarnościowej postkomunistom, jak formalnie przedstawia się AWS dotychczas – wymaga nieodzownie wsparcia ze strony Kościoła. Z tym może być kłopot, bo Kościół mówi dziś, w polityce, głosami bardzo skłóconymi. Próbkę tego pomieszania języków cytowałem w poprzedniej *Kulturze* (Glomp-Tischner). Ale to tylko jeden „przekrój” z wielu możliwych. Bo np. na Wielkanoc tenże prymas mówił: „Nie można widzieć tylko klęsk w naszym społeczeństwie. Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie widzieli wszystkich dobrych spraw i tych zwycięstw, które odnosimy, ciesząc się wolnością dzieci Bożych”. Tymczasem w Stalowej Woli, również podczas mszy rezurekcyjnej, bp sufragan z Sandomierza, Marian Frankowski grzmiał: „Rządzą nami pętaki i takie pętaki Polskę sprzedają. I takie pętaki dzieci nam uczą, pętaki tworzą telewizję i takich pętaków przysyłali nam ze Wschodu, teraz przysyłają z Zachodu”. „Polakom szykuje się los niewolników przygotowany przez pętaków, którzy czapkują w pas obcym, żeby na zdradzie ojczyzny zarabiać”. A zapis konstytucyjny o możliwości przekazywania organizacjom międzynarodowym kompetencji organów państwa jest „nowym rozbiorem”. Niezrównany prałat Jankowski odkrył w tymże czasie, że konstytucji uchylać teraz nie wolno, lecz poczekać na parlament rzetelnie zlustrowany: pochodzenie każdego kandydata prześwietlone do piątego pokolenia wstecz...

Dobór cytatów może się wydać karykaturą, ale na pięć miesięcy przed wyborami część pasterzy znów dostaje amoku. Wybory to dla Kościoła pora niebezpieczna.

Wobec skłócenia w łonie episkopatu, wszyscy czekają na papieża. To znaczy, nawet nie czekają. Do Watykanu jeżdżą emisariusze różnych frakcji, ostatnio wybrał się tam o. Maciej Zięba, dominikanin, prominentny przedstawiciel kół liberalnych w Kościele. Papież będzie musiał zdecydować. Najprawdopodobniej decyzja wyrazi się zachowaniem w sprawie konkordatu.

Ratyfikacja jest w praktyce przesądzona. Papież rozstrzygnie, czy lepiej dla trwałości i sensu tego dokumentu będzie uzyskać dlań szeroki konsensus, tzn. zgodzić się na zaakceptowanie ustaw wokół konkordatowych, o których debatuje się teraz w sejmie – czy też zachować wyniosłość i zaczekać raczej do wyborów, aby od nowego składu parlamentu dostać wszystko bez dyskusji, na kłęczkach i na srebrnej tacy.

Canossa nie pierwszy raz kusie będzie następcę św. Piotra.

14 kwietnia 1997

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Znowu w moich tekstach przeważa narzekanie. A przecież postanowiłem, że już więcej nie będę się denerwował. Bo oto kiedy jakiś czas temu wracałem do Polski z pierwszej swej podróży do Izraela, ze zdumieniem ujrzałem, że wracam do kraju gdzie narodowa prawica jest poczciwa i łagodna, a Kościół nasz, na czele z prymasem Glempem, tolerancyjny i światły. Sama zaś Polska ma luksusową sytuację geopolityczną, która jak manna spadła nam z nieba. To prawda,

robimy wiele by ten dar niebios zmarnotrawić, ale mimo wszystkich głupstw w polityce wewnętrznej i zagranicznej, nadal tak wiele nam sprzyja.

Stan takiego myślenia utrzymał mi się jednak po powrocie nie tak długo. To posłuchałem sobie prymasa Glempa, to ujrzałem zadowolone z siebie twarze dawnych towarzyszy (już było z nami źle, ale mają powody do zadowolenia, prawica wiele robi by znowu wygrali), to pooglądałem sobie pląsy naszych polityków na scenie politycznej w teatrze, bynajmniej nie dramatycznym, a moi pijacy za oknem ożywieni pierwszym słońcem, poczęli pić i gaworzyć, tak oto gdzieś przysł czar naszego luksusu.

Wyjazdy jednak pomagają ujrzeć ojczysty stan rzeczy oddemonizowany i w odpowiednich proporcjach. Dlatego zacznę od zagranicznych podróży, które wsadzę w polskie ramy, a pobiadolimy sobie na końcu.

Izrael to jest temat, który bardzo niechętnie mieści się w krótkim tekście, mam więc poczucie, że wsadzam oryginalne zwierzę, pełne zdumiewających odnóży, trąb, rogów do za małej klatki. Ujawnię tylko kilka jego organów i kilka wątków, męcząc się i przymuszając do wielu przemilczeń.

Cytowałem kiedyś Andrzeja Bobkowskiego, który w „Szkicach piórkim” poświęcił analogiom polsko-żydowskim garść uwag, moim zdaniem wstrząsająco trafnych. Pisał m.in. o polskim braku taktu. „Ten brak taktu, który tak często my zarzucamy Żydom. Jesteśmy do nich bardzo podobni i tu pewnie znajduje się źródło naszego antysemityzmu”.

Podobieństwa tak, ale w Izraelu wszystko wydaje się o wiele większe; zarówno wady jak i zalety.

Przed wyjazdem, na warszawskim Starym Mieście próbowałem kupić przewodnik po Izraelu, ale panienska w księgarni gadała przez telefon i miała mnie w nosie. W pierwszym sklepie w Tel-Awivie zostałem potraktowany taką samą słuchawką, przez podobną panienkę, jakbym oglądał to samo zdjęcie, gdzie włosy blond ufarbowano na ciemny kolor. To był zaledwie skromny początek zdumiewającej serii podobieństw polsko-izraelskich, które trafiały się na każdym kroku. A to tym bardziej osobliwe, że Izrael jest jakże orientalny, kolorowy, inny od jednolitej gębowo-etnicznie i szaroburej

Polski, a tu w ramach tej odmienności tyle analogii.

Już pierwsze zwiedzane klatki schodowe, wykończenie mieszkań, ich urządzenie, to znowu dotknięcie czegoś bliskiego, ten wyraźny brak gustu i pewna niedbałość, chwilami wpadająca w niechlujstwo. Podobny jest brak czułości wobec otoczenia, dbałości o ekologię. Mówią: „zajęci walką o przetrwanie nie mamy na to czasu”. Moglibyśmy im podrzucić piękne słowa Słowackiego, z którymi się nie zgadzam: „nie czas żałować róż gdy płoną lasy”.

Brak cierpliwości wydaje się w Izraelu powszechny, a ta niecierpliwość jest doprawdy męcząca. To brak cierpliwości ludzi, którzy mieli dramatyczną przeszłość, lub mieli ją ich rodzice. Gdzieś łączy się to z dużymi ambicjami, nie w pełni zrealizowanymi, więc prawie każdy jest nie na swoim miejscu i spieszy się by zfinalizować jakieś okrutnie zaniedbane ambicje. Jak u nas.

W Izraelu swojska wydawała mi się powszechna niegrzeczność, która ma chyba swoje źródła w braku cierpliwości i w ambicjach. Obsługa w sklepach olewa klienta jak u nas, już nawet nie dzisiaj, a za PRL-u. Ale zarazem na każdym kroku spotyka się objawy ludzkiej życzliwości. To męczące wahadło, od chamstwa do życzliwości, wali nas w Polsce w łeb, codziennie.

Izraelczycy, dodatkowo, otrzymali potężny ładunek arogancji, bo dokonali kilku cudów na raz. Odzyskali po tysiącletnich ojczyznę, wykopali język, który stał się znowu żywy. I wygrali kilka wielkich wojen, wielkich bo przynajmniej z daleka byli zawsze Dawidem co walczył z Goliatem. Komu by nie przewróciło się w głowie od takich sukcesów.

A jednak mieszkańcy tego kraju nieustannie narzekają na rząd, na polityków, na wszystko: „Nic w tym kraju nie działa, linie są przeciążone, szpitale nie pracują jak trzeba, nie można polegać na dopływie prądu, uczelnia lada chwila zbankrutują, zamyka się jedną po drugiej fabryki, w edukacji i badaniach naukowych gonimy Indie, instytucje użyteczności publicznej padają... (Tak pisze w cudownej powieści „Fima” Amos Oz). A to jest przecież dokładnie nasze polskie codzienne kwęczenie!

W Izraelu, gdy przy stole usiądzie kilka osób, choćby to

była rodzina, zaczyna się od razu kłótnia polityczna. Tak było w Polsce przed wojną. Matka opowiadała mi, że kiedy jej ojciec, oficer i piłsudczyk spotykał się na Śląsku z endecką rodziną jego żony, to kłócono się, aż leciało pierze. Po wojnie w Polsce nie spierano się o politykę, był strach albo wszyscy mieli to samo zdanie, istniał tylko problem konformizmu, a tu jest kilka prostych argumentów z daniem w zęby jako argumentem ostatecznym. Prawdziwe spory wracają dzisiaj do polskich stołów. A ich geografia wydaje się podobna jak przed wojną i jak jest w Izraelu, tylko że nasze problemy nie są gardłowe. Tam się wiele gada, ale też się wiele strzela. Nie mamy dramatu terenów okupowanych i nie musimy dzielić z kimś Krakowa, a nawet kawałkować Wawelu, zastanawiając się czy granica przebiegnie przez grobowiec Piłsudskiego.

Ale generalnie linia podziału przebiega między różnymi typami osobowości, to jest bliźniacze tu i tam, dzisiaj i wczoraj. Są liberałowie i narodowa prawica, są ludzie silnie związani z wiarą i z jej strażnikami. U nas moim zdaniem wizja państwa wyznaniowego jest odległa i nieprawdopodobna, a jednak straszy jak smok o wielu głowach. Niby wszyscy wiedzą, że z tych głów nie polecą prawdziwy ogień, ale ich niepokojąco tępy wyraz niepokoi wielu.

W Izraelu mocno zaangażowani w wiarę zwani są nieco ironicznie „religijnymi”, są bardzo liczne odmiany Żydów ortodoksyjnych, którzy często nawet nie uznają państwa, ani armii. Będąc zarazem nieustępliwymi wobec Arabów, prowokują wojnę, w której nie wzięliby udziału. Narazają życie młodych ludzi, którymi gardzą, bo ci nie przestrzegają ich zasad. Natomiast gdy w kibucu pytałem młodzież, co myślą o „religijnych”, wkładali ręce w usta po łokieć. Kiedy pewnego wieczoru w szabat wchodziliśmy do dzielnicy ortodoksów, która była zagrodzona barierkami, by nie wjechał tam jakiś świętokradczy samochód (automaty telefoniczne bywają zamykane na kłódkę), towarzyszący mi Izraelczyk skopał te barierki i porozrzucił je na boki w akcie żywej nienawiści. Tak, to jest szczerza nienawiść, karmiona przez poczucie obcości i zagrożenia. W tym kraju byłaby nawet prawdopodobna wojna domowa, gdyby nie zewnętrzny wróg.

Dzielnica ortodoksów w Jerozolimie. Brudno, gęsto, dojmujące poczucie obcości. W kilka dni potem czytam w

gazecie, że w szabas wjechali tu samochodem amerykańscy Żydzi, i niemal zostali ukamieniowani, uratowała ich policja.

Nie mogłem się powstrzymać przed uczuciem odruchowej niechęci do tych ludzi. Poruszają się inaczej, szybko, w zamyśleniu, którym nie potrafią się ze mną podzielić, a ja bym tego nawet nie chciał, wszyscy ukryci za grubymi szklami, dzieci też. Ktoś powiedział „karaluszki”, a ta brzydka metafora dreptała za mną uparcie, jak uparte bywają owady.

To może jest cenne doświadczenie, pojąć jeden z mechanizmów antysemityzmu. Mieszkańcy gett wydają się żyć na innej planecie, a emanuje z nich nietolerancja. W Polsce chasydzi byli bardziej pokorni, bo nie mieszkali u siebie. Nie zmienia to faktu, że mieszkańcy polskich małych miasteczek zostali wystawieni na trudną próbę. Ale prawdziwie głęboki i krwiożerczy rasizm jak wiadomo dotyczył właśnie tych, którzy usiłovali się przystosować.

W ramach rozmaitych grup religijnych są wielkie konflikty, jak za czasów Chrystusa. Zabójstwo premiera Rabina przez prawicowego fanatyka było kulminacją tego zjawiska.

Obrzydliwy betonowy plac, który wtedy nosił nazwę „królów Izraela”, leży przed pudełkowatym wielkim urzędem. Patrzę na betonowe schody, i na sklep z ubraniami – ostatni krajobraz w oczach umierającego premiera Rabina. Przypomina mi się sklep z pędzlami w Sztokholmie, a obok jama metra, ostatni krajobraz w oczach premiera Palmego.

Spotykam Gerszona Śliwińskiego, który nie tak dawno wyjechał z Polski. Pracuje w pobliskim sklepie z garmażerią. Kiedy w swoim mieszkaniu na wysokim piętrze z balkonem usłyszał odgłosy pokojowego wiecu, poczuł że musi wyjść z domu. Zabrał ze sobą swój amatorski aparat fotograficzny. Nie wiedział, że ten spacer i ten aparat zmienią jego życie. Lepiej nie myśleć jak wiele w naszym życiu zależy od przypadku. Śliwiński bardzo niechętnie przyznaje się, że dokonał historycznych zdjęć z powodu pęcherza moczowego. Rabin kończył przemówienie, tłum młodzieży bawił się, atmosfera festynu, kilkanaście osób pluskało się w pobliskiej fontannie. Może ten plusk spowodował, że Śliwiński postanowił udać się do toalety, którą dobrze znał, bo wszystko działo się w pobliżu jego garmażerii. Idąc ujrzał betonowe schody wiodące w dół z podestu gdzie przemawiał Premier,

obok stały samochody obstawy i limuzyny rządowe. Domyślił się, że Rabin będzie tędy szedł. Wśród gapiów widział młodego chłopaka, który gadał z kierowcami. To jest przyszły morderca.

Zdjęcia Rabina tuż przed i tuż po zamachu, które zrobił Śliwiński, były dowodem, że gdyby miał zamiast aparatu pistolet, też mógłby być mordercą. To wielka kompromitacja izraelskich służb specjalnych. Ale nie ma doskonałych służb, są tylko mity na ich temat i szaleńcy, którzy zawsze wszyskich zaskoczą.

Śliwiński pokazuje mi potem miejsca samobójczych zamachów w Tel-Awivie, gdy w powietrze wylatywały miejskie autobusy z ludźmi. Cierpiał z powodu ofiar, ale też cierpiał, że nie było go w pobliżu z aparatem, już nie amatorskim. Uwierzył, że został wybrany by dawać świadectwo.

Dwa dni w kibucu Jad Mordechaj (czyli Anielewicz) obok Gazy. Odwiedzam kolegę ze szkoły. Jest oczywiście pułkownikiem w armii. Kibuce, jedyny udany przykład komunistycznego przedsiębiorstwa, ale to się też kończy. Osobliwe miejsce, gdzie nadal tak wiele jest rzeczy wspólnych, ale na szczęście rodzice już nie oddają niemowląt do ogólnej sali. Nadal jednak wszyscy zarabiają tyle samo, w jednej stołówce jedzą darmowe posiłki, młodzież po ukończeniu szkoły podstawowej mieszka poza domem.

Wzrusza mnie pewien nieporządek, zostawione narzędzia i śmieci, jak na polskiej wsi. Starzy mieszkańcy tego kibucu, gdyby chcieli, mogliby mówić po polsku, ale zakopali głęboko ten język. Kibuc to też temat-rzeka. Z końcem socjalizmu w świecie, kibuce ujrzały w blasku wielkiej klęski pewnej idei, że nie chcą już tak dalek kolektywnie żyć.

Wspomnę na koniec, ku strasznej przestrodze, że w tym kibucu hoduje się trzmiele, na eksport, do Polski. W budynku przypominającym wielki bunkier. Biedni nasi antysemita, nie wiedzą, że jedzą pomidory zapylane przez żydowskie trzmiele.

Osobny temat na książkę to armia, bez niej nie da się niczego w Izraelu zrozumieć. Na każdym kroku spotyka się młodych ludzi płci obojga w mundurach, objuczonych bronią

z ostrą amunicją. Wdzięcznie prezentują się w tej postaci dziewczyny, szczególnie te z Etiopii. Czasami widać pary, które tulą się do siebie, w czym broń im nieco przeszkadza, dzisiaj często takie pary mówią po rosyjsku. Broń trzymają kurczowo, bo za jej utratę grozi siedem lat więzienia.

Temat kobiet w armii izraelskiej zgłębiałem ostrożnie, ale o tym chciałbym napisać gdzie indziej, osobny artykuł.

W weekend dworce autobusowe przypominają wielkie obozy wojskowe, bo młodzież jedzie do domu, wszyscy gadają przez komórkowe telefony, armia funduje przenośne telefony, by mamy mogły mieć kontakt z pociechami. Paradoksalny kontrast w tej armii, między czułością a niebывałymi przeciążeniami treningu. A. z oddziałów specjalnych opowiada mi o finalnym sprawdzianie: bieg przez 4 dni, ponad 200 km przez pustynię, w pełnym oporządzeniu, ze wspinaczką po drodze, a na końcu była przysięga na Masadzie. A. wyjechał z Polski lat temu dziesięć, dobry karateka marzył, by być w Legii Cudzoziemskiej, a wylądował tutaj. Opowiadał mi niezwykle, ale niecenzuralne rzeczy o swych doświadczeniach. Teraz już nie lubi armii, lubi za to polską literaturę i właściwie Polską tu żyje. Iluż ja takich ludzi spotykałem na świecie wygnanych, lub którzy sami Polskę opuścili, potem do końca życia ją dźwigają na plecach. Wielu takich ludzi spotkałem w Izraelu, chociaż ten kraj przestaje mówić po polsku.

Ciekawe są zalety i wady tej współczesnej Sparty, pewne jej wynaturzenia, ale też jej niezwykłość. I jest początek buntu młodzieży, przeciw życiu w wielkim wojskowym obozie do końca życia. „Pieprzę generałów” śpiewa jeden z najbardziej popularnych izraelskich rockmanów, wyśpiewuje początek końca fascynacji młodzieży armią i gotowości oddania życia za ojczyznę, na każdych warunkach.

Fascynującą rzeczą jest śledzić kolejne warstwy, które stworzyły i tworzą Izrael, ten kraj jest jak wulkan w stanie nieustannej erupcji, a ostatni potężny wybuch to imigracja z Rosji. Miasto Aszkelon, gdzie biblijny Samson tak narozrabiał. Siedzimy w kawiarni wielkiego handlowego centrum (one już wszędzie takie same, a ta unifikacja, to jest jakiś koniec świata) i próbujemy zgadnąć, kto jest skąd? Jak

antysemici bawią się w zgadywanie kto jest Żydem, zgadujemy w sposób bardziej wyrafinowany – kto jest Żydem z jakiej części świata? Niezwykle wyglądają przybysze z Etiopii, ciemnoskórzy ale o ładnych europejskich twarzach. Podobno przed wojną wynalazł ich w Łodzi pewien uczony żydowskiego pochodzenia, odkrył dwa plemiona w Etiopii, które wyznawały judaizm.

Z. którą spotykam w Jerozolimie, emigrantka z roku 68, przyjmowała ich w latach 70-tych na jednym z izraelskich lotnisk. Przybywali nadzy i goli, prosto z pustyni, dzieci nie wiedziały jak się wkłada ręce w rękawy koszuli, nie znali elektryczności. Bardzo trudno tu im się adaptować. W czasie mojego pobytu była wielka rozpacz w Izraelu, bo jedyny Etiopczyk – pilot myśliwca, postanowił wrócić do Etiopii.

B. sporo wie o tych przybyszach, ale boi się napisać całą prawdę na ten temat. Uważa, że „etiopczyk” wyznawali po prostu wczesną formę chrześcijaństwa, a była ona kiedyś bardzo bliska judaizmowi. Twierdzi, że gdzieś nad Amazonką jest plemię, które obrzezuje dziewczynki, a wszyscy jego członkowie, mają niebывałe, powyciągane języki, prawie do pępka, uważa, że jeśli przyjechali do Izraela „etiopski Żydzi”, to tamci o wiele bardziej się nadają. Jak wtedy, tylko już nad Amazonkę należy wysłać samoloty transportowe pod osłoną myśliwców. Debatujemy nad tym w Jaffie. Jest tu polski kościół i wiele ładnych miejsc, aż się nie chce gadać o takich trudnych sprawach. To w Jaffie widziałem piękną adaptację starej tureckiej dzielnicy. Nowa architektura zespecifika jednak ten kraj, Jerozolima jest zabetonowana na amen. Jeśli chce się ocalić magię tej ziemi, lepiej nie wychodzić z Biblii. O Izraelu można wiele dowiedzieć się poprzez architekturę: betonowe szorstkie i ciężkie bryły wczepione pazurem w ziemię mówią: nie damy się stąd ruszyć.

Spotykam wielu ludzi z Polski, każdy los jest inny, jest wiele urazy, ale też wiele miłości, poczucia odrzucenia. Dla wielu Izraelczyków Polska jest czarno-biała. Obozy, holocaust, antysemityzm. Nie chcą jeździć do Polski. Antypolonizm jest niestety dosyć powszechny. Problem, że forma w jakiej walczą z nim w Polsce pisma pravicowo-narodowe, zdaje się potwierdzać jego rację bytu. Antypolonizm z kolei

jest pożywieniem dla polskiego antysemityzmu. Oto powstało zwierzę samokarmiące się a bardzo brzydkie.

Architekt B. – jeden z lepszych jerozolimskich architektów – jest z Wilna. Jego niezwykle orientalny dom pełen jest polskich książek. Jak każdy tu mężczyzna, jest weteranem kilku wojen. W roku 1973, gdy Izrael dał się tak haniebnie zaskoczyć, on, wysoki oficer, znalazł się w końcu na wzgórzach Golan. Mógł tam zobaczyć to, czego podobno nie uwieczniła żadna fotografia. Był zachód słońca i płonęło tysiąc egipskich czołgów. Apokaliptyczne piękno tej sceny psuł zapach płonących ciał. Amos Oz, wielki izraelski pisarz o polskim korzeniu i bardzo przychylny Polsce, odważny i liberalny intelektualista, nigdy o wojnie nie pisał. Mówi, że wojna jest poza językiem, wojna to krzyk, bełkot a przede wszystkim smród.

Jadę z B. do palestyńskiego dystryktu, do Ramalla. Jak łatwo tam się dostać, jak łatwo wjechać do Izraela, legalnie lub nie. To naprawdę nie sztuka przemyścić ładunek wybuchowy, więc dziwi nie ilość zamachów, ale to, że jest ich tak mało, przy tej skali fanatyzmu i niechęci.

Wjeżdżamy w niebywałą bałagan samochodowego ruchu i chaosu architektury. „Czy im się uda zbudować jakieś państwo, tym bałaganiarzem?” – wzdycha B., nie jako wróg, ale sympatyk. Spotkania z Palestyńczykami zostawiają miłe wrażenie. Jak Żydzi byli rozproszeni po świecie, oni też się tułali, ale krócej. Oni też mają swoich liberałów i fanatyków, i swoje błędne koła.

B. w swoim artykule o powodach palestyńskiego powstania przed laty, wymienił osiemnaście przyczyn, które nieuchronnie prowadziły do intifady. To są błędy Izraela. Mówi mi, że pamięta podniecenie ludności palestyńskiej po zajęciu terenów przez Izrael. Spodziewali się prześladowań, ale liczyli też na przyjaźń. Dostali to, czego się nie wybacza, obojętność.

Ale grzechy, które popełnił Izrael wobec Palestyńczyków były trudne do uniknięcia. Jak ich nie popełniać, kiedy jest się w oblężonej twierdzy. Ani jedno z państw arabskich nie jest naprawdę krajem demokratycznym. Nie było jakichś wielkich zbrodni okupacji, był grzech zaniechania, a oprócz walki zewnętrznej brak było walki w sobie o zrozumienie

wroga. Jakie to jednak trudne w sytuacji wojny, a jak niezbędne właśnie w takiej sytuacji. Oto błędne koło z granatem w środku.

Zaskakująco wielu spotykam Izraelczyków, którzy mają liberalne poglądy i wiele rozumieją.

Prawicowo-narodowy premier Natanjahu został pchnięty na fotel szefa rządu, po śmierci Rabina, dzięki atakom terrorystycznym w Tel-Awivie i w Jerozolimie. To terroryści karmią fundamentalistów, i na odwrót, a więc znowu błędne koło.

Formacja narodowo-prawicowa w Izraelu (gdzie indziej na pewno też) przypomina naszą. Tak, to jest jedna rodzina. To nie tylko poglądy a też wyraz twarzy, nawet sposób poruszania się. Typ endeka, tylko o żydowskim znaku; zdumiewające!

Mimo podobieństw między Polską i Izraelem, są istotne różnice. Jedna jest – a raczej była – wielka. Polska to kraj alkoholików. Izrael jest krajem trzeźwym. Był. Żydzi rosyjscy zmieniają trzeźwość w nietrzeźwość. Przybyło ich tu w ostatnich latach 600 tys. To jakby do Polski przyjechało kilka milionów ludzi.

Panienki lekkich obyczajów z Maroka zostały wyparte przez panienki z Rosji, a na żydowskiej mafii rosyjskiej łamie sobie zęby Mosad. Czy to będzie zastrzyk europejskości i liberalizmu? – pytają z niepokojem liberałowie. Przybyło 20 tysięcy muzyków, tyleż samo lekarzy, dublując nagle personel lekarski. Muzycy grają na rogu każdej ulicy, a co mają zrobić lekarze? Muzyków słuchają przede wszystkim Rosjanie, roniąc łzy nad tym co utracili i nad tym co zyskali. Przybysze z Rosji nie chcą się pozbyć swego języka, uczą się hebrajskiego opornie, rosyjski więc słychać wszędzie.

Odkrywam ze zdumieniem, że cała obsługa galerii malarstwa w Tel-Awivie mówi po rosyjsku, od kasjerek, ochrony, do obszernych kobiet pilnujących mięsistych obrazów Freuda, a jest właśnie wspaniała wystawa wielkiego wnuka wielkiego psychologa.

Rosyjscy Żydzi reprezentują wszelkie typy fizyczne. Są postacie jak z antysemitycznych karykatur, są rośli przystojni blondyni. Obserwuję postacie rosyjskich rzeźników na targu,

na słynnym targu w Tel-Awivie. ...Oto stoją chłopcy mordziaste, z łapami po łokcie we krwi, z rosyjskimi przekleństwami w gębach kartoflanych. Trafi się nawet czasami prawdziwa baba, która jak wiadomo jest produktem słowiańskim. I jest na tym targu wielkie ruskie gadanie i targowanie się, a miesza się ono z arabskim i hebrajskim. Co za osobliwość!

Ten targ, czyli Suk, jeszcze bez cyrylicy, wspaniale opisał Leo Lipski.

Leo Lipski jest prawdziwym powodem mojej podróży. Uważam, że to jeden z najlepszych polskojęzycznych prozaików. Autor zaledwie kilkuset stron, najpierw w latach 60-tych publikowanych przez paryską *Kulturę*. Jego mini powieść „Piotruś” jest arcydziełem prozy. Niemal od czasu wojny sparaliżowany (był w łagrach, potem w armii Andersa), leży w Tel-Awivie nieruchomo i połyka polskie książki, nie zna nawet hebrajskiego.

Jego proza jest, jak kawałki surowego mięsa. Zdynamiczował w naszym języku zdanie. Ma już w Polsce swoich wielbicieli, ale jednak jest haniebnie niedoceniony i nieznan. I to w czasie, który obnażył bezradność polskiej prozy współczesnej, oraz kiepskie starzenie się literatury PRL-u.

Kiedy stałem już po drugiej stronie muru jego domu, ujrzałem jak zapadły żaluzje małego, niemal więziennego okna, przy którym leży przykuty do łóżka. I przypomniały mi się ostatnie słowa jego powieści „Piotruś”:

„Konanie w milczeniu przez lata. Zamurowany we własnym cieple (jak mniszki zamurowywano).

I wtedy wejść zwierzęta do twojego domu i siadać na tobie spokojnie, jak na kamieniu”.

Skok z Izraela do Niemiec dzisiaj nie budzi emocji, a przecież gdyby nożyczkami wyciąć lat kilkanaście, to zakręciłoby się w głowie od paradoksu, że te Niemcy dzisiaj takie poczciwe, a dopiero co dokonały największej zbrodni w dziejach świata, nasza polska szara bieda to przecież też ich współdzieło. A Izrael narodzony z gruzów wojny i z holocaustu?

Lipsk, miasto które przypomina wybieg pfeń żyraf, to

są ruchome szyje dźwigów, bo miasto jest gigantycznym placem budowy. Zachodnie Niemcy pakują w Lipsk ciężarówkę pieniędzy. Lipsk jest znakiem, że wielki mechanizm jednak ruszył i dawne Prusy i Saksonia są wchłaniane przez germańskiego molocha.

Całe dawne NRD jest w wielkim remoncie, ale tyle lat minęło i tak wiele zostało jeszcze do końca remontu, że aż strach, szczególnie wielki strach, jak się w tym kontekście pomyśli na trzeźwo o Polsce. Bo skoro taka potęga jak zachodnie Niemcy nie dają rady przerobić wschodnich, mimo gór pieniędzy i nadwyżek fachowej siły, to co z nami biedakami? Wschodnim Niemcom wypruto już niemal całe flaki, wewnętrzna infrastruktura nadawała się tylko do wymiany. U nas jest tak samo, ale nie ma na taki zabieg środków. Więc Polska ma mocno podgnięte wnętrze. Wystarczy otworzyć byle puszkę z instalacją elektryczną, w pierwszym lepszym domu, by się nieco spłoszyć.

W Lipsku buduje się i remontuje najwięcej z całych Wschodnich Niemiec. Co któryś budynek jest w remoncie, im bliżej centrum tym ich więcej, im dalej na przedmieścia, tym bardziej przewagę mają NRD-owskie liszaje. Tam dopiero widać, jak komunizm zrujnował ten kraj, aż dziw, domy są bardziej zdewastowane niż w Polsce. Inwestowano jedynie w dzielnice z wielkiej płyty, z fabryk domów. A to paskudztwo przybyło do Polski i załatwiło nas na amen. Niemcy nie dosyć, że nas zburzyli, to potem zapaskudzili na wiek domami-maszynami.

W dawnym NRD wszystko jest dzisiaj w łaty. Bardzo one są nowoczesne. Co nowe jest super, to XXI wiek, jeszcze lepsze niż w Niemczech Zachodnich. Porwane nerwy telekomunikacji zostały wyprute a wsadzono nowe telefony, działające świetnie. Nowe hale targowe pod Lipskiem to cud architektury. Tak sobie pisarze *science fiction* w latach 50-tych wyobrażali szklane kapsuły ludzkiej cywilizacji na odległych planetach. Jestem tam na nocnym balu, nieco surrealistycznym, na suficie świecą sztuczne gwiazdy, po gigantycznej hali fruwa plastikowy zeppelin, a na estradzie właśnie grają ckiwie niemieckie melodie, odpowiednik naszego dyskopolo.

Nic dziwnego, że wielu wchodnich Niemców dostaje

fiola, skoro żyją w połowie w NRD, a w połowie w wieku XXI. Jest spore bezrobocie i nawet nostalgia za NRD. O tak, ludzie tu jacyś nieweseli, bez entuzjazmu, jakby nie wzięli udziału w cudzie zjednoczenia, jakby Niemcy Wschodnie nie utracili niewoli i na rzecz wolności, biedy na rzecz dobrobytu, kłamstwa i życia w podłości na rzecz życia w normalności. Wszyscy tak się nażarli kłamstwa, że nawet po tych kilku latach, chodzą wzdęci od zatrucia. Nie wiem jakie jest lekarstwo na tak poważne zatrucie organizmu. Młodzież wschodnio-niemiecka punkowato-rockowa, kolorowa na łbach, jakby chciała w dziwactwie nadgonić Zachód. Gejowskie bary na wysokim poziomie, przez pomyłkę władowałem się do jednego zupełnie pozbawiony czujności w tej mierze i spędziłem tam sporo czasu w damskim towarzystwie, co budziło powszechną ciekawość.

W hotelu odkrywam „Health Club” z urządzeniami do ćwiczeń mięśni, z saunami. Kiedy jestem pod prysznicem przybywa z hałasem towarzystwo męsko-damskie, cały urząd, jest szef i sekretarki. Te, zupełnie nagie, obdarzone są biustami takich rozmiarów, że nie wiedziałem, że coś takiego w przyrodzie istnieje. I ładują się tuż obok pod prysznic. Tylko wielką siłą woli powstrzymuję chęć by salwować się ucieczką. Doświadczenie było zupełnie pozaerotyczne, a mimo aluzji do dzieł Rubensa i Jordensa, też pozaartystyczne.

Okazuje się, że w Niemczech Wschodnich wspólna nagość była jeszcze bardziej propagowana niż w części zachodniej, co ma korzeń w tradycji. Lepiej nie myśleć, do czego doprowadziły niemieckie korzenie i tradycje.

Ujrzawszy Elsterę przypomniałem sobie, że to tutaj książę Józef utopił się karmiąc legendę o samobójczej śmierci i nie gasnącą potrzebę Polaków, by gloryfikować zachowania nieracjonalne. Wedle historyków zachował się jak najbardziej racjonalnie, próbując przeprowić się konno wpław na drugi brzeg, gdy most został przedwcześnie wysadzony w powietrze. Nie mogę znaleźć jego pomnika, który gdzieś jest nad rzeką, a młodzi Polacy z Lipska nie mają pojęcia, że książę tam się utopił, nie zawsze chyba nawet wiedzą o zdarzeniu. Tak oto gasną na naszych oczach polskie mity, kończy się epoka romantyzmu, kończy się i tak zdumiewająco późno.

Bez trudu natomiast znajduję inny pomnik Bitwy Narodów. To jeden z najbardziej ponurych pomników jakie widziałem, niemal na 100 metrów wysoki, przypomina czarną twierdzę złego czarnoksiężnika, upstrzoną germańskimi posągami. Budowano ten grobowy pomnik przez wiele lat a ukończono jak na ironię w roku 1913, na progę strasznej wojny. Ten pomnik całą swoją mroczną istotą zapowiada przyszłe rzezie, a Hitlera musiało to miejsce inspirować i rajcować. Trzeba jednak przyznać, że dzisiaj pomnik zupełnie nie przystaje do Lipska i do świata, który tu się rodzi.

I znowu w ojczyźnie, jakoś do diabła szaro, jednak nadal szaro.

Spotykam przyjaciela, od roku go nie widziałem. Nie całujemy się jak zwykle na powitanie. On wierzący i coraz mocniej osadzony w Kościele, ja chociaż bronię się jak mogę, coraz bardziej jestem antyklerykalny. Nie mamy jednak czasu by obwąchać nasze ideologiczne podogonia. Pyta, jak żyję. W Stanach miałbym łatwe zadanie: „jest świetnie, wspaniale”. Tu mam prawo powiedzieć co czuję: „Żyję z refleksji, ale żyję nierefleksyjnie”.

Dzwoni do mnie W. Stają mi przed oczami dawne dobre czasy, kiedy konspirowaliśmy, zapomniałem już o tym, zaprasza na spotkanie, temat – czy grozi nam nowa cenzura? Pretekstem jest zerwanie plakatów do filmu Milosza Formana, „Larry Flint”. Na plakacie na łonie kobiety wisi ukrzyżowany półnagi mężczyzna, co zraniło uczucia religijne Kościoła i grupy wiernych.

Nie mogę wziąć udziału w tej obronie zagrożonej wolności, bo znowu wyjeżdżam. Co za groteska, oto mamy wolną Polskę, a spotykamy się w podobnym składzie jak konspirowaliśmy w stanie wojennym, by debatować, czy Kościół, pod skrzydłami którego chowaliśmy się wtedy, chce nam zabrać wspólnie wywalczoną wolność?

Tu w myśleniu jest potrzebny środek, ale u nas środek jest obłożnie chory, ledwie się rusza. Znajduję dwie publiczne wypowiedzi, które oddają pomieszenie umysłów. Oba głosy dotyczą nieszczęsnego plakatu do filmu.

Krzysztof Teodor Teopltitz szef *Wiadomości Kultural-*

nych, felietonista o długim PRL-owskim stażu, pisze tekst-
alarm. Woła: „Nad Polskę nadciąga chmura ciemnoty.
Rzeczy, które jeszcze niedawno wydawały się niewyobrażalne,
stają się obecnie faktami”. Tu autor przytacza sprawę plakatu,
plus kilka innych problemów, fobie antysemickie, wizje
spisku masonów itd. Ja się z nim zgadzam, że to ciemnota,
ale nie zgadzam się z histerycznym tonem, z otulaniem Polski
w ciemną chmurę z płonących łąk.

Nasz nieoceniony prymas Glemp też snuje wizję apoka-
liptyczną, ale po swojemu, inaczej. W jego kazaniu pasywnym
roi się od złych duchów i diabłów, mówi: „Złe duchy z czasów
Chrystusa działały metodą – można powiedzieć chałupniczą.
Szatan stosował swoją inteligencję do poziomu cywi-
lizacyjnego. Dziś nie pozbywa się wcale metod prostackich
(...)”. Wedle Prymasa szatan bywa strasznie przebiegły. Złe
duchy to walczą z konkordatem, z aborcją, z pornografią, a
szatan wcielony to Jerzy Urban i jego pismo *Nie*. Zaś naj-
bardziej przebiegły szatan przebiera się za tolerancję. Wspom-
niany został ten nieszczęsny plakat z filmu. Prymas, ma swoje
słabości, które dzieli z księdzem Jankowskim, więc nie potrafi
się powstrzymać by nie być ironicznym wobec tych, co zabili
Chrystusa i omawiając sprawę plakatu, kpi: „gdyby nie daj
Boże jakiś bluźnierca w miejsce imitacji Chrystusa umieścił
gwiazdę Dawida (...)” (na łonie półnagiej kobiety).

Ja rozumiem, że ludzi wierzących może ten plakat
obrażać, nie upieram się by wisiał na ulicach i rozumiem też
szefa *Wiadomości*, ja też uważam, że za wiele jest w Polsce
ciemnoty. Ale Le Pena jeszcze nie mamy, nie ma go nawet
na horyzoncie. Mamy smętnego Wrzodaka, który jest tak
pijany własną głupotą, że zatacza się od płotu do płotu. Może
wałnąć kogoś sztchetą, ale tłumy nie porwie. Mamy
prymasa, który niestety mówi. I postkomunistów. Nie dosyć,
że udało się im wyjść cało z upadku komunizmu, to jeszcze
na tym skoku porobili wielkie pieniądze. Tak, to jeden z bar-
dziej udanych w historii skoków na bank. A zaskorupienie
ich przeciwników, czyni z postkomunistów obrońców wartoś-
ci liberalnych i orędowników wejścia Polski do Europy.
Prawica narodowa i AWS, niby to chcą do Europy, ale na
swoich warunkach, z obroną Częstochowy i z państwem
wyraźnie narodowym.

Można jednak uznać, że póki zachmurzenie w tej części
Europy jest umiarkowane, to nie jest u nas dramatycznie, jest
tylko niezbyt mądrze. Ale im więcej po świecie się kręcę, tym
wyraźniej widzę, że nie tylko Polska jest cudownym dowo-
dem na tolerancję materii na niekompetencję. To jest zja-
wisko globalne.

SMECZ

SOS – AIDE AUX MALADES POLONAIS

Stowarzyszenie SOS AIDE AUX MALADES POLONAIS działa
od roku 1985. Założone zostało aby przyjąć z pomocą polskim cho-
rym, których szanse na wyleczenie w Kraju są minimalne lub nie
istnieją.

Akcja nasza rozwija się w trzech kierunkach:

1) CHORZY:

Są to zarówno osoby dorosłe jak i dzieci, w Polsce skazane;
Francja daje im szansę uratowania.

Ci, dla których wskazania lekarskie zostały dokładnie ustalone
przez lekarzy w Polsce, a następnie przez specjalistów francuskich,
przyjeżdżają do Francji dzięki naszemu Stowarzyszeniu, dla posta-
wienia diagnozy, na leczenie lub na operację. Od 1985 roku przez
nasze ręce przeszło 896 przypadków. 155 chorych odbyło konsulta-
cje lekarskie, było leczonych lub operowanych w rozmaitych
szpitalach w Paryżu lub innych miastach na terenie Francji. Szereg
z nich wracało na leczenie wielokrotnie.

2) LEKARZE STYPENDYŚCI:

W uzasadnionych przypadkach sprowadzamy do francuskich
ośrodków specjalistycznych lekarzy polskich, by umożliwić im staże
zawodowe. Od 1985 roku przyjęliśmy w ten sposób 22 polskich
lekarzy-stażystów w Paryżu, Marsylii, Nicei, Bordeaux i Metz.

3) POMOC BEZPOŚREDNIA.

W razie nagłej potrzeby dostarczamy szpitalom i klinikom w
Polsce urządzeń medycznych, których nie ma na miejscu.

Jest rzeczą oczywistą, że powodzenie naszej akcji zależy od
ofiarodawców.

Przewodniczący Stowarzyszenia Wiceprzewodnicząca Stowarzyszenia
Dr Thomas BIEDZINSKI Dr Alina MARGOLIS-EDELMAN

18, rue Claude-Lorrain – 75016 Paris – Tel. (33) (1) 40.91.04.69

Agence. ANTONY, B.N.P.: N° 0004589767

Compte CCP 1001103 L Paris

Libellé des chèques: SOS AIDE AUX MALADES POLONAIS

Sąsiedzi

Ukraina – między reformą a mafią

Pięciolecie niepodległości odświętowano hucznie w odnowionym Centrum Kongresowym „Ukraina”, nazywanym oficjalnie „pałacem”, wbrew wszelkim pojęciom o estetyce architektury. Świadczy to, jak i w wielu innych dziedzinach, o zaniku smaku na skutek sowietyzacji. Dawne elity, umiędzące odróżniać brzydotę od piękna, zginęły w tyglu stalinowskiego piekła i hitlerowskiej okupacji, a jej resztki wyemigrowały. Nastąpiła nie tylko zeszepecona socrealizmem odbudowa Kijowa, ale i zmiana mieszkańców. Wielu dawnych obywateli metropolii nie wróciło z ewakuacji, Żydów wymordowali Niemcy w Babim Jarze, a część dawnej biurokracji wywędrowała na intratne stanowiska do Moskwy. Niektórzy twierdzą, że w stolicy Rosji jest co najmniej milion przybyszów z Ukrainy. Większość z nich znalazła się tam w wyniku przebiegłej polityki kadrowej imperium, polegającej na przyciąganiu co zdolniejszych ludzi do centrum władzy. Niektórzy wyjechali dla kariery, niekiedy – jak na przykład w wypadku jednego z najciekawszych twórców nowoczesnego teatru Witiuka – uciekając przed chamstwem ukraińskiej biurokracji. Dawniej była jeszcze inna grupa, mianowicie tych komunistycznych dostojników, którzy – jak ostatni z nich, Piotr Szelest – popadli w niełaskę i musieli przymusowo szukać dożywocia w Moskwie. Był to bardzo dziwny sposób cichej deportacji. Obecnie potok wyjazdów do północnej stolicy bynajmniej nie ustał. Ale teraz jest on dyktowany regułami gospodarczymi. Ponieważ w Moskwie pulsuje *boom* rozbudowy, a w Kijowie trwa epoka bezruchu, wielu inżynierów, architektów i zwyk-

łych budowlanych wyjeżdża na zarobki, do włości moskiewskiego burmistrza Łuzkowa, który wprowadzie prowadzi zażartą walkę z Ukrainą o Krym, a zwłaszcza o Sewastopol, ale przyjezdnych z „wrolego” kraju chętnie przyjmuje w imię „zjednoczenia wszystkich Słowian”. Zdarzają się na tej emigracji tragiczne przypadki. Najjaskrawszym jest chyba znany niegdyś ukraiński poeta kijowski Witalij Korotycz, który za czasów *pieriestrojki* Gorbaczowa, przyjął ofertę nowych władców na Kremlu i objął redakcję popularnego ongiś ilustrowanego tygodnika *Ogoniok*. Nieudany moskiewski pucz i walka Jelcyna z Gorbaczowem zastały Korotyca w Stanach Zjednoczonych. Zwlekając z decyzją dokąd wrócić, do Kijowa czy Moskwy, znalazł się pomiędzy nowymi frontami i został przez jednych i drugich wyrzucony za burtę wydarzeń historii. Podobno prowadzi sfrustrowany byt profesora literatury na jakiejś uczelni amerykańskiej.

Demokracja bez metryki

Za każdym razem kiedy wraca jakaś historyczna data, dzisiejsi władcy w Kijowie przeżywają konwulsje z ustaleniem swoich przodków. Raz robią krok naprzód, aby przy innej okazji cofnąć się z powrotem. Z zamierzonych czasów Rusi Kijowskiej uznano za najgodniejszego antenata współczesnej postkomunistycznej oligarchii Jarosława Mądrego, wielkiego Księcia, który panował w latach 1019-1054 nad Dnieprem. Znany był zresztą z wypraw na zachód, gdzie założył grody Jarosław i Bełz. Ale dziś, w okresie przyjaźni z Polską, nie o to chodziło. Jarosław Mądry jest przykładem dla scentralizowanej władzy i swego rodzaju apoteozy etatyzmu, gwiazdy przewodniej współczesnych rządów bez określonej ideologii, reprezentujących interesy kasty technokratów i urzędników, a nie określonej partii czy koalicji stronnictw. To przywdziewanie szat historycznych ma niekiedy tragicomiczne reperkusje. Oto dawna szkoła prawników w Charkowie im. Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy terroryzmu państwowego – „Czerezwyczałki” przedzierzgnęła się w Akademię Prawniczą imienia Jarosława Mądrego, a ci docenci, co dawniej nauczali doktryny walki klasowej i rozprawy z ukraińskim burżuazyjnym nacjonalizmem, wykładają – w miarę umiejętności – kodeks praw człowieka i obywatela.

Po Jarosławie Mądrym istnieje w galerii przodków wielka pustka i piedestał zajmuje z kolei hetman Wojsk Zaporozkich Bohdan Chmielnicki, który świetnie nadaje się do zmiennych interpretacji i manipulacji, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunki z państwami ościennymi. Natomiast z antenatów dzisiejszej doby wybrano nie Szymona Petlurę lecz historyka Mychajła Hruszewskiego, może z uwagi na jego powrót z emigracji do ówczesnej Ukrainy Sowieckiej i socjalistyczne przekonania. Władza ignoruje nie tylko postać i zasługi Petlury, co wprowadza pewne i niepotrzebne zamieszanie jeśli chodzi o przykłady dobrych stosunków z Polską, ale przemilcza też rolę aktywnej opozycji antykomunistycznej w najnowszych dziejach, a mianowicie postać generała Piotra Hryhorenki, jak też działaczy Grupy Helsińskiej.

Wskutek tego, zapomnieniu ulegają nazwiska i zasługi wielu demokratów galicyjskich, bukowińskich i wołyńskich, zwłaszcza wybitnych polityków z UNDO we Lwowie i ich kolegów, spośród socjaldemokratów albo autorów z lewicy, jak Romana Rozdolskiego. Skutki są takie, że dzięki hałaśliwej propagandzie nacjonalistów, przeciętny Ukrainiec wie więcej o Konowalcu niż o Starosolskim lub Mudrym czy Makaruszce.

Między klanem a partią

U schyłku Związku Sowieckiego, kiedy na Kremlu rządził Breżniew, mówiono o władzy „Dniepropetrowskiej Mafii”, gdyż zarówno sam Leonid Iljicz, jak też większość jego współtowarzyszy i zauszników, był Rosjaninem z tego ośrodka przemysłowego i naukowego, który po obaleniu Chruszczowa – stał się symbolem regionalnego pochodzenia nowej kliki moskiewskich władców. Bardziej przypadkiem niż jakaś reguła sprawił, że po okresie prezydentury Leonida Krawczuka, który pochodził z Wołynia i opierał się na klikach dawnych działaczy komunistycznych i komsomolskich z zachodniej i środkowej Ukrainy – zwłaszcza na postkomunistycznej inteligencji kijowskiej. Jego następcą Leonid Kuczma przyszedł z Dniepropetrowska, gdzie stał na czele największej na świecie wytwórni rakiet transkontynentalnych.

Zwycięstwo Kuczmy osiągnięte nie dzięki poparciu określonej partii lecz głosom wyborców – przeważnie ze

wschodnich i południowych połaci kraju – sprawiło, że wnet biura władzy prezydenckiej zaczęły się zaludniać urzędnikami z Dniepropetrowska. Nie chciano tej fali utożsamiać z cieniami przeszłości. Przeczyłoby to zresztą genezie etnicznej ówczesnej kliki na Kremlu i współczesnej formacji władzy na ulicy Bankowej w Kijowie. Wówczas pod pojęciem „mafii” zaczęła już figurować nowa, dotychczas nieznaną strukturą gospodarki podziemnej, wrócono do nazwy „klan”. Pojęcie trochę trąci myślą ale szybko się przyjęło w nowym żargonie politycznym, ukutym przez socjologów i dziennikarzy.

Faktycznie współczesny ustrój Ukrainy można by nazwać „technoklanokracją”, bo władza spoczywa w rękach technokratów wywodzących się lub należących do regionalnego klanu dniepropetrowskiego. Dotyczy to w pierwszej fazie prezydentury Kuczmy i jego aparatu władzy. Ale aparat ten w porównaniu z bardzo skromną ilością urzędników za Krawczuka rozrósł się, podobnie jak u Jelcyna w Moskwie, w ogromną machinę biurokratyczną i liczy sobie obecnie ponad tysiąc pracowników różnych szczebli. W jego składzie dniepropetrowszczanie tworzą decydującą większość.

Ale na czele tego aparatu biura prezydenta Kuczmy stał bardzo długi człowiek „obcy”, przedstawiciel młodszego pokolenia, historyk i dziennikarz z Kijowa, Dmytro Tabacznyk. W czasie akcji wyborczej był on autorem strategii i taktyki sztabu organizacyjnego. Za te zasługi otrzymał nagrodę w postaci nominacji na szefa kancelarii prezydenckiej. Z biegiem czasu Tabacznyk stworzył z kancelarii potężny ośrodek decyzji. Unikając początkowo rozgłosu stał się szarą eminencją prezydenta. Wszystkie inicjatywy przechodziły przez jego biuro i wszystkie decyzje Kuczmy powstawały za jego sprawą. Koncentracja władzy w rękach „sekretarza” przybrała takie rozmiary, że zaczęła irytować przywódców partyjnych i członków parlamentu.

Sprawa stała się pikantną kiedy przyjęto latem ubiegłego roku nową konstytucję, która w ogóle takiej koncentracji nie przewiduje. Drugim elementem, który ostatecznie zadecydował o upadku Tabacznyka, stała się złożona jesienią zapowiedź Kuczmy, że będzie się znowu ubiegał za dwa lata o urząd prezydenta państwa. Natychmiast po tym oświadczeniu zaroilo się w życiu politycznym. Konkurenci Kuczmy rozwinęli inicjatywę w partiach politycznych i frakcjach Werchownej

Rady, często łączonej ze zbliżającymi się w 1998 wyborami do parlamentu. Kuczma zorientował się, że tym razem będzie musiał oprzeć się na partiach politycznych. Pod koniec ubiegłego roku Dmytro Tabacznik otrzymał dymisję.

Nowa faza

Na miejsce Tabacznika prezydent powołał Jewhena Kusznarjowa, którego dotychczasowa kariera była związana z Charkowem, drugą po Kijowie metropolią Ukrainy. Nowy szef administracji prezydenta jest rosyjskiego pochodzenia, ale stale wykazywał lojalność wobec państwa ukraińskiego. Demonstracyjnie używa też języka ukraińskiego jakby w szczególny sposób tę lojalność pragnął podkreślać. Posiada markę znakomitego organizatora. W odróżnieniu od swego poprzednika, który unikał występów publicznych, Kusznarjow nieustannie pokazuje się w telewizji, przemawia w radiu, urządza konferencje prasowe, dyskusje i konferencje „naukowo-praktyczne”. Słowem – popularyzuje jak i gdzie tylko może politykę swojego szefa, prezydenta Kuczmy.

Abstrahując od tej radykalnej zmiany w stosunku do społeczeństwa, głównym elementem, znamionującym przejście do nowego etapu i nowej treści, jest fakt, że Kusznarjow jest czołowym działaczem Ludowo-Demokratycznej Partii, powstałej na bazie ruchu społecznego „Nowa Ukraina” o zabarwieniu socjaldemokratycznym. Do LDP Igną teraz ministrowie, dyrektorzy, posłowie, wyżsi i średni urzędnicy. Coraz więcej „ludowych demokratów” pojawia się w otoczeniu Kuczmy. Widocznie prezydent postawił na konia LDP. Ale od czasu do czasu też w stronę innych ugrupowań centrowych ukraińskiego centrolewu. Kokietuje też „Ruch” pod egidą Wiaczesława Czornowoła, obok Partii Komunistów, najszerszej rozgałęzionej stronnictwa.

Jednak faza klanów jeszcze nie zanikła. Trwa w dalszym ciągu walka pomiędzy klanem dnipropropetrowskim i jego najgroźniejszym konkurentem, klanem donieckim. W ubiegłym roku doszło do dramatycznego konfliktu pomiędzy tymi dwoma gigantami ciężkiego przemysłu, górnictwa, metalurgii i budowy maszyn. Donieck przeważa potencjałem, ale jest to przemysł dnia wczorajszego, pożerający ogromne subsydia i

wymagający radykalnej restrukturyzacji. Mimo to, region doniecki bogacił się sprzedając za granicą węgiel, wyroby hutnicze i sprzęt wojskowy. Na tej fali zabłysła gwiazda burmistrza Doniecka, Juchyma Zwiahilskiego, którego pierwszy prezydent Krawczuk powołał na prowizorycznego premiera, aby w ten sposób uspokoić strajkujących górników, którzy żądali przedterminowych wyborów prezydenckich. Mimo tego manewru doszło do wyborów, a po przegranej Krawczuka Zwiahilski uciekł do Izraela, gdyż obawiał się aresztowania za popełnione rzekomo defraudacje. Kuczma mianował premierem „neutralnego” szefa bezpieki, generała Jewhena Marczuka.

Przez jakiś czas istniało zawieszenie broni, ale kiedy Marczuk nie potrafił dać sobie rady z postulatami Zagłębia Donieckiego, a tamtejsza centrala Partii Liberalnej kierowana przez gubernatora Doniecka Wołodomyra Szczerbania poczęła rozszerzać swe wpływy na inne regiony, prezydent Kuczma wzmocnił pozycję klanu z Dniepropetrowska, mianując na miejsce zwolnionego Marczuka swojego ziomka Pawła Łazarenkę. Wkrótce po tej nominacji doszło do zamachu bombowego na nowego szefa rządu, z którego ten wyszedł cało. Wywołało to uporczywe plotki, że chodziło o inscenizację dla zaostrożenia kursu przeciwko konkurencji z Doniecka. Tak się też wkrótce stało. Kuczma dymisjonował gubernatora Szczerbania, a po kilku miesiącach zginął od kul zamachowców inny filar Partii Liberalnej, o identycznym nazwisku Jewhen Szczerbań. Obydwa wydarzenia osłabiły wpływy donieckich liberałów. Niebawem zjawiał się na ukraińskiej ziemi eks-premier Zwiahilski z Izraela, któremu ten sam parlament, co przedtem obarczył polityka podejrzeniami o przywłaszczenie sobie wielomilionowych sum, nagle przywrócił nietykalność poselską. Może komuś chodziło o wywołanie konfliktów w łonie klanu donieckiego? Wszystko to brzmi jak scenariusz z filmu gangsterskiego, ale stanowi część dzisiejszej rzeczywistości ukraińskiej.

Hydra korupcji

Prezydent Kuczma rozpoczął swoją działalność od zapowiedzi nieubłaganej walki z korupcją. Był to kontrast w porównaniu z polityką jego poprzednika. Krawczuk wyznawał poglądy według zasady: „zostawcie mnie w spokoju i ja was też

nie tknę”. Na to tylko czekała ukraińska mafia, nie taka bogata jak jej rosyjska siostrzyca i mniej od niej brutalna. Ale naturalne bogactwa Ukrainy, wielkie zapasy rzadkich metali, stal, węgiel, ogromne ilości skomasowanej na terytorium republiki wszelkiej broni na wypadek trzeciej wojny światowej, duża flota handlowa – wszystko to stało się obiektami nielegalnej wyprzedaży. Według obliczeń przewodniczącego parlamentarnej komisji do walki z zorganizowaną przestępczością i korupcją, pułkownika Hryhorija Omelczenko, co najmniej 250 członków parlamentu jest zamieszanych w afery korupcyjne. Jest to najwyższy stopień udziału polityków w zorganizowanej przestępczości po Włoszech w poprzednim okresie. Większość posłów broni się też do upadłego przed wprowadzeniem ustawy o zawieszeniu nietykalności w wypadku korupcji.

Wszystkie zapowiedzi prezydenta Kuczmy o podjęciu energicznych kroków w walce z mafią utonęły w trybach biurokracji przeżartej korupcją. Niezdatnym do tej walki okazał się nowy premier Pawło Łazarenko, podejrzewany zresztą o załatwianie wielkich interesów z koncernami kontrolującymi zakupy ropy i gazu w Rosji. Oczekiwane przyspieszenie reform nie sprawdziło się. Zdenerwowany kunktatorstwem Łazarenki jedyny chyba prekursor i obrońca gospodarki wolnorynkowej Wiktor Pynzenyk podał się na początku kwietnia do dymisji. Po jego odejściu pozostał w rządzie jako jedyny przedstawiciel zachodniej Ukrainy minister Roman Szpek, ale i jego klan dniepropetrowski ma już na oku.

Reakcja zachodnich kół finansowych jest wyraźnie negatywna. Kurczą się i tak bardzo nikłe inwestycje zagraniczne. W połowie kwietnia państwo nie ma wciąż jeszcze budżetu na bieżący rok. A prezydent Kuczma powtarza w kółko, że Ukraina potrzebuje polityków z „czystymi rękami”. Proklamowana przez niego w połowie lutego wielka ofensywa przeciwko hydrze korupcji pozostała papierowym manifestem. Prezydent Ukrainy trzyma się zresztą przykładu Jelcyna. Stale wymienia premierów i ministrów. Ale karuzela personalnych zmian nie daje skutków. Jelcyn ma zupełnie inny instrument władzy: konstytucję Rosji przykrojoną na jego miarę. Kuczma tego nie ma.

15 kwietnia 1997

Bohdan OSADCZUK

Ci, co odeszli

O Arturze Międzyrzeckim: wspomnienie

Kojarzy mi się ze słońcem, ciepłym lub gorącym dniem, z niebieskim niebem. I z Warszawą. Julia wyjechała na wakacje z Danielą, Grażyna – z Joanną. Wychodzimy z Arturem z Wiejskiej, idziemy na Sadową, po drodze kupujemy wino i spędzamy resztę popołudnia na rozmowie o literaturze, o malarstwie, o wszystkim. Jest sam początek lat sześćdziesiątych, pracujemy razem w redakcji *Nowej Kultury*. Długo to nie potrwa. Nasz zespół, już przecież uszczuplony i zmieniony w stosunku do swego poprzedniego, bardziej rewizjonistycznego składu, zastąpi wkrótce inny zespół, po którym przyjdzie jeszcze inny; jak Artur zauważył z właściwą sobie ironią, odbijało się to za każdym razem korzystniej na poziomie pisma. Ale wtedy chyba nie przewidywaliśmy takiego obrotu rzeczy; w każdym razie nie psuło to nam dobrego humoru. Nie wydaje mi się zresztą, byśmy nasze wyjście z *Nowej Kultury* przeżywali w sposób dramatyczny. Mieliliśmy poczucie, że jesteśmy w dobrym towarzystwie i że bronimy słusznego stanowiska. Reszta była nieistotna.

Artur kojarzy mi się z Warszawą nie tylko dlatego, że tam właśnie poznaliśmy się jakieś czterdzieści lat temu, gdy zaszedłem przypadkiem do kawiarni „Czytelnika”, gdzie czytał wyjątki z „Opowieści mieszkańca namiotów”. I nie tylko dlatego, że później wielokrotnie przemierzaliśmy razem ulice Śródmieścia. Kojarzy mi się z Warszawą, gdyż była dla niego czymś więcej niż tylko miejscem urodzenia. Mógł powiedzieć słowami Antoniego Słonimskiego, którego tak lubił: „Tobie ojczyzną wioska, ruczaj/ Mnie – Mokotowska, Bracka, Krucza”. Powiedział inaczej:

*Przyszedłeś tu na świat i zawsze wracałeś ze świata
 Chociaż nie ma już tych skrzących się ulic gimnazjalisty
 Nie ma kina Splendid gdzie oglądałeś pierwszy dźwiękowy
 film
 I nie ma ciebie dawnego młodzieńca tropiciela własnego
 życia
 Z po raz pierwszy zapalonym papierosem
 Marki Rarytas której też nie ma*

Jak dla Słonimskiego zresztą, Warszawa była dla Artura ojczyzną nie tylko z dziedzictwa – również z wyboru. Wrócił do niej po dziesięcioletniej wojennej wędrówce przez Związek Sowiecki, Bliski Wschód, Włochy i Francję – a nie był to powrót łatwy. Ktokolwiek wracał z Zachodu do Warszawy w roku 1950, choćby nawet nie był świadom przed powrotem przepełnienia więzień i pustki półek sklepowych, wiedział, że czeka go życie wśród ruin, szarzyzna i bieda, podejrzliwość i strach. Te ostatnie otaczały zwłaszcza „andersowców”; nazwą tą ówczesny język urzędowy piętnował byłych żołnierzy Drugiego Korpusu. W ćwierć wieku później, po dwuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych, powrót był wprawdzie nieporównanie łatwiejszy ale też wymagał przełamania oporów przed dorobkiewiczowską atmosferą owego czasu, skażoną pomarcowym czadem, na który Artur był szczególnie uczulony. Do tego chyba odnosi się wiersz pisany w Des Moines (Iowa):

*Krajobrazom się wierności nie przysięga
 Trzeba by głowy szalonej
 I nie tęskni się przecież do zdrady z za węgla
 Do scen jak z Boscha*

*Do własnej śmierci się wraca – tylko do niej –
 jak w melodramacie za pół grosza*

W centrum Warszawy Artura znajdowała się ulica Wiejska, którą ze wzruszeniem opisał. Stąd jedna z jego dróg wiodła przez plac Trzech Krzyży i Bracką lub Nowy Świat w stronę placu Zamkowego; druga – alejami Ujazdowskimi do Łazienek; trzecia – wzdłuż Hożej, przecinając Mokotowską i

Kruczą, do domu na Skorupki, dawnej Sadowej. Pomijając Trakt Stanisławowski, nie jest to najpiękniejszy fragment miasta. Różni się jednak od innych – a było to znacznie bardziej widoczne w latach pięćdziesiątych – gdyż uratowało się w nim względnie dużo kamienic z końca ubiegłego wieku i budynków z lat trzydziestych: pozostałości przedwojennej Warszawy. Każdemu, kto zachował ją w oczach taką, jaką była przed sierpniem 1944, kto mógł być jak Artur, powiedzieć o sobie: „Jesteś przedwojenny i twoi bliscy szybują w zaświatach” – właśnie ten jej fragment unaoczniał jako jedyny niemal osadzenie w czasie, związek z przeszłością.

Warszawa była dla Artura realnym miastem, zespołem widoków i miejsc: redakcji, gdzie pracował, wydawnictw, gdzie ukazywały się jego książki, kawiarni, gdzie spotykał przyjaciół, mieszkań, gdzie składał wizyty, Związku Literatów, PEN Clubu. Oraz jedynym na świecie tak liczny skupiskiem osób bliskich i znajomych, w tym takich, które, choć budziły niechęć lub zgoła ostrą awersję; były przecież jakoś oswojone, włączone w dobrze znanych rolach do teatru codzienności. Ale Warszawa jest zarazem w twórczości Artura symbolem tożsamości i pamięci:

*Już niczego nie zdołam poprawić
 Ani obyczajów nie zmienię
 Ani wspomnień*

*Te obrazy pulsujące
 Przypisano mi na zawsze
 Te nie kończące się filmy
 Z tobą i ze mną na ulicy księdza Skorupki
 I w naszym dawnym mieszkaniu
 Na Mazowieckiej pod jedenastym*

*Ach jest na pewno
 Jakaś przepastna dawność
 Czarna dziura sprzed znajomej chronologii
 Spoza wspomnienia
 Jakaś przeszłość niejasno przeczuwana
 Szumiąca muszla-świat*

Ale to już ani ty ani ja

Przed wszystkim był poetą. Co to znaczy – wiedzą zaiste tylko poeci, gdyż im tylko dane bywa to osobliwe i nieprzekazywalne doświadczenie świata i mowy utożsamiane niegdyś z widzeniem niewidzialnego oczyma duszy – dlatego Homer był ślepy – albo ze słyszeniem wewnętrznego dyktanda niepochwytne dla ucha. Nam dostępne są wyłącznie twory słowne, które uzewnętrzniają doświadczenie poetów i z których próbujemy je odtwarzać, choć wiemy, że te próby, uporczywie ponawiane, zawsze pozostaną daremne. Dla Artura bycie poetą zasadało się, jak sądzę, na uczestnictwie w poezji rozumianej jako ponadjednostkowy i ponadczasowy, wielogłosowy głos, który przychodzi z przeszłości tak odległej, że aż mitycznej, i który w każdym pokoleniu ktoś podejmuje i przekazuje następcom. Na odtwarzaniu wzorca ustanowionego przed wiekami – ale we własnym imieniu, środkami udostępnionymi przez swój czas, w języku odziedziczonym z tytułu urodzenia:

*Ktoś kto odszedł z lirą wraca z maszyną do pisania
Żeby wystukać na niej swą odwieczną piosenkę niekochanego
Bo jak powiedziano: zawsze ten sam Orfeusz śpiewa
Kiedy ktokolwiek śpiewa w którymkolwiek stuleciu
Ten sam egejski poeta swojej podbitej wyspy
Trwalszy od własnej mowy i starszy od Homera*

Poezja Artura jest nasycona historią. Historią poezji, historią świata, historią Polski. Historią poezji od starożytności po dzień dzisiejszy: jawnymi i ukrytymi cytatami, odniesieniami, przypomnieniami, nawiązaniem. Echami starożytnych i Villona, Szekspira i Mickiewicza, Apollinaire'a i Mandelsztama. Mandelsztam zwłaszcza był dla Artura postacią emblematyczną: uosabiał losy poetów w XX wieku i wiązał historię poezji z historią świata:

*A na północ półnagi półbosi
Wyszeptując ustępy z Inferno
Oszalały jedzie Święty Osip
W nieskończoną dal niemiłosierną*

*Jeszcze kracze kruk nad kroplą krwi
Ale dalej nie ma nic oprócz lodu
I przekrzywia eskimoskie brwi
Persefona wilczego ogrodu*

Grecka bogini i Dante, rytm Mandelsztama i jego męczeństwo, człowiek człowiekowi wilkiem, Kołyma, krew i zmarzlina: nasz wiek, nasze losy. Artur po opuszczeniu Warszawy znalazł się w Związku Sowieckim, a choć miał to szczęście, że uniknął łagru, spędził dwa lata w jego cieniu. Mógł tam trafić w każdej chwili. Mógł powtórzyć etapy Mandelsztama, o którym chyba wtedy nawet nie słyszał, nim jeszcze dane by mu było spełnić się jako poecie. A i później mógł zginąć wielokrotnie. Toteż wiedział, jak łatwo mogło go być nie być, zdawał sobie w pełni sprawę, że przypadkiem jest jednym z tych, „którzy doznali [...] owego *happy endu*, jakim jest sam już fakt, że żyją i mogą opowiedzieć, gdzie byli i w jakich okolicznościach” i dojmująco odczuwał brak osób i dzieł, którym nie dane było zaistnieć w kulturze. W 1968 roku pisał:

*To się tylko tak mówi że książki zostają
Scripta manent
To się tylko tak mówi i trzeba tak mówić
W imię nadziei że wolny umysł
Zwycięża w końcu każdą tyranie*

*Ale nie jest to prawda zupełna
Nawet nie zdajemy sobie sprawy
Ile zniszczyli barbarzyńcy
I ile jeszcze zniszczą*

*To się tylko tak mówi że książki zostają
Bywają czasy gdy rozważnego Senekę
Pociesza tylko pewność że i tak wszystko runie
I w nieogarnionych płomieniach
W popiół się będzie obracać
Ale marna to pociecha dla ludzi wolnych
Choć stosowna może dla więźniów i krzepiąca
Dla skazańców wleczonych po obozach*

*Ani tam ani gdzie indziej
 Nie doliczymy się jednak naszych zabitych Sokratesów
 Naszych Prometeuszy sądzonych za grabież
 I nigdy się nie dowiemy
 Kto właściwie zginął w Apeninach
 Jaki Mickiewicz osiemnastoletni
 Nie wyniósł głowy z warszawskiego powstania
 I czy swoje Ballady zdążył już napisać*

Jak historia poezji wpisała się w twórczość Artura, tak historia świata i historia Polski ukształtowały pospołu jego życiorys i dostarczyły materii wspomnieniom, które później przywoływał i przetwarzał w prozie i w wierszach. Rozstrzygające były dlań lata wojny, zwłaszcza okres bezpośredniego udziału w walce: kampania włoska z kulminacją pod Monte Cassino. „Rzadko o tym mówię, ale i to, czym jestem, i to wszystko, co napisałem, w ogromnej mierze wzięło początek z tamtych lat i z tamtych miejsc” – powiedział w odczycie w czterdziestą rocznicę bitwy. Wracał do nich wielokrotnie. Opisywał śmierć wojska wśród pękających planet i walących się schronów, niczym geologiczny kataklizm niosący zagładę gatunków. Przemawiał do „zmarłych z Ancony i Bari”, by potwierdzić swą przynależność do ich grona, „gdy nóż [mu] przyłożą / Do piersi zamiast medali”. Odtwarzał w wyobraźni spojrzenia „niedostępnych kompanów / Oczekujących [go] na włoskich cmentarzach”. Apelowł sam do siebie:

*Zamknij nareszcie te annały goryczy
 Wyzwoliciele zgliszcz
 Na wojnie i po wojnie
 Wszystko jest jakie jest
 I ty też jesteś jaki jesteś
 Dziwowisko natury
 Wygnaniec z niespójnym życiorysem [...]*

Apelowł bez skutku, gdyż widma wojny nawiedzały go nadal, w ostatnich latach może nawet częściej niż poprzednio: ojciec spotkany w wojsku „Gdzieś pod Tel-el-Khebir / [...] Na egipskiej pustyni”, matka, Tadeusz Borowski więziony

„w transporcie więźniów / Z Warszawy do Oświęcimia”, „Żydowski księgarz Umberto Saba / Sławny włoski poeta” z jego kozą „o rysach semickich”, i ten Żyd, któremu „gwiazda Dawida / Żółciła [...] się na rękawie” i którego „biegli schwytać [...] / Żandarmi w Elsynchronie / Gestapowcy w Warszawie”.

Artur nie był jednak więźniem historii i pamięci. W poezji, jak ją rozumiał i uprawiał, jest miejsce na żart i na poważny, polityczny protest, na piosenkę i na oniryczną wizję, na najczulszą lirykę i na metafizyczną zadumę. Poezja bowiem

*Jest pełna sprzeczności jak samo życie

 Jest zawsze i wszędzie czymś cudownie innym
 I nienawidzonym (bo wielu nienawidzi jej skrycie
 I pogardza nią) właśnie za jej inność właśnie za to
 Że ten oszalał ruch skrzących się obrazów
 Jest w samej swej naturze
 Alternatywą dla ustalonego porządku rzeczy
 I nie poddaje się uroszczeniom zbrojnego barbarzyńcy
 I obojętnie jakim regułom nawiedzonego pedanta*

Wrażliwy na przyrodę, malarstwo i rzeźbę, Artur lubił patrzeć i umiał widzieć. Światła Vermeera i mozaiki z Bizancjum, rzymskie monety, greckie amfory, posągi, sąsiadują w jego utworach z krajobrazami, drzewami, ptakami, grą żywiołów, następstwem pór roku. Ptakom, którym przyglądał się z opiekuńczą przyjaźnią – nigdy nie zapomniał o karmieniu sikorek – poświęcił cały cykl wierszy śmiesznych i smutnych, łagodnie drwiących i pełnych współczucia. Był mistrzem iście malarskiego opisu zdolnego zawrzeć w słowach widok miejsca i nastroj chwili:

*Ogrody mają zapach cmentarzy i lekarstwa
 W dymach gwizdzących pociągów odpoczywa ziemia
 Spokój jest coraz większy im dalej jest od miasta
 Lecą nad polem wrony płyną liście w strumieniach
 Oto czerwień jarzębin liści spadanie jesień
 Niska przestrzeń łagodna z losami pogodzona
 O wilanowski Jowiszu i ty Herkulesie*

*Diano nad kartofliskiem i brzozą pochyłona
 Ku łacińskim pagórkom pora już wam odchodzić
 Na południowych brzegach tłoczą do kadzi wino
 A tutaj wrony lecą liście w strumieniach płyną
 I nieprędko się niebo surowe wypogodzi*

W Obraz ładu przyrody, która podąża swym kołobiegami, sprawia, że niemal przeoczamy dramatyzm przemijania i odchodzenia, wspomniany przecież, ale dyskretnie, bez nacisku. Artur jako człowiek odznaczał się tą rzadką elegancją, która polega na zajmowaniu dystansu wobec samego siebie, na zachowywaniu formy, na opanowanym uzewnętrznianiu własnych przeżyć i doznań. Jego twórczość jest, jak on, zdyscyplinowana i autoironiczna. Ale jest to autoironia ze śmiercią na drugim planie.

*Ta równina te dęby to słońce
 Każde światło każdy zakamarek
 Wszystko porównywane
 Wszystko jak gdyby i jak*

*Za dużo pamięta – mówi ktoś do Parek
 I daje znak
 Jakby orkiestrze czekającej.*

Polityka jako walka o władzę i sprawowanie władzy interesowała Artura w stopniu znikomym. Kolidowała z jego rozsądkiem i umiarem, z całkowitym brakiem fanatyzmu, z dążeniem, by naprzód zrozumieć, a dopiero potem potępić, jeśli już w żaden sposób nie da się tego uniknąć. W pierwszych latach pięćdziesiątych, po powrocie, przeżywał zapewne wahania, które były wtedy udziałem wielu lewicowych inteligentów, i zawierał wymuszone kompromisy z obowiązującą linią. Po Październiku 1956 stawał się coraz wyraźniej człowiekiem kultury przekonanym – i słusznie – że jego pierwszym obowiązkiem jest obrona jej autonomii, ciągłości i otwartości.

Nawet w owych latach przekonanie takie miało jednak bezpośrednią wymowę polityczną, gdyż wynikało zeń, że

aparaczczyki PZPR nie mają prawa podporządkowywać kultury swym ideologicznym przesądom i doraźnym rozgrywkom. Toteż między jego rzecznikami a obrońcami partyjnego monopolu musiało prędzej czy później dojść do starcia. Doszło do niego w marcu 1968 r. Artur jako obywatel i jako poeta potępił wtedy ze stanowczą jednoznacznością niszczenie kultury połączone z antysemitycznym pogromem. Od tego czasu jego utwory częściej niż poprzednio reagują na wydarzenia bieżące. Wystarczy wymienić kilka tytułów i dat: „Odprawa” (1968), „Habeas corpus” (1976), „Wojna nerwów” (1981), „Ani czas ani miejsce” (1982) oraz napisane już w ostatnich latach „Pochwała szkieletu w szafie” i „Skład zasad naszej spójni”, które trzeba było, dla uniknięcia nieporozumień, zaopatrzyć w przypisy podkreślające ich charakter ironiczny.

Poezja była dla Artura czymś ponadczasowym i bezprzestrzennym. Wymagała wpisywania się w tradycję, podejmowania jej, współczesniania i przekazywania. A więc również – przyswajania własnej mowie wcieleń poezji inaczej ujętych, uczasowionych i umiejscowionych. Poeta jest zawsze tłumaczem. Jakoż w historii poezji polskiej, od Kochanowskiego do Miłosza, niemal wszyscy wielcy tłumaczyli. Artur postępował zgodnie ze swoją teorią. Jego przekłady, głównie – acz nie tylko – z poezji francuskiej, wypełniają gruby tom. Inne weszły do ułożonej wraz z Julią Hartwig antologii poezji amerykańskiej.

Działalność w PEN Clubie, polskim i międzynarodowym, pozwalała Arturowi, zwłaszcza w latach PRL, występować w obronie autonomii, ciągłości i otwartości kultury, stanowiąc zarazem przedłużenie jego pracy poety i tłumacza. Przywiązywał do PEN Clubu wielką wagę. W okresie stanu wojennego, gdy polski PEN Club został „zawieszony” przez władze PRL, użył wszystkich swych talentów dyplomatycznych, wspartych niezwykłym urokiem osobistym i rozbudowanym kręgiem wiernych przyjaciół w wielu krajach, by utrzymać niezależną reprezentację międzynarodowego polskiego środowiska pisarskiego. Zaś po „okrągłym stole”, nadał PEN Clubowi rangę, jakiej ten nie miał w życiu polskim od dziesięcioleci. Zrobił zeń ważną instytucję i sam poniekąd stał się ważną instytucją.

A przy tym – pozostał takim, jakim znaleźliśmy go od lat.

Ciekawym świata i ludzi, książek i obrazów. Miłośnikiem podróży. Zwierzęciem towarzyskim. Świetnym gawędziarzem. Troskliwym i czułym przyjacielem. Już tylko mniej pił wina. Przestał palić. Zeszczupłał. Nie mówiło się o tym głośno, wiadomo było jednak, że jest chory. Bardzo chory. Ale do końca elegancki, do końca pełnił swe obowiązki. Aż stało się to, co opisał przed niemal trzydziestu laty:

Nie czekajcie dłużej przyjaciele

Nie ma go już w domu ani w ciele

Rozwiąz się znad krzesta i znad biurka

Jakby gaz co ulotnił się z kurka

Stał się lekki jak obłok na niebie

Cały wyszedł z mieszkania i z siebie

Sam się wytchnął sam z siebie się przeniósł

Jest dziś echem wspomnień po wspomnieniu.

Krzysztof POMIAN

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Notatki Redaktora

Prasa podaje, że *Słowo – Dziennik Katolicki*, które było na skraju bankructwa, zostało przejęte przez Fundację „Nasza Przyszłość”, tj. przez Radio „Maryja” ks. Rydyzka. Redaktorem naczelnym został mianowany Artur Zawisza, b. współpracownik organu Stronnictwa Narodowego *Mysł Polska*. Jednocześnie bp Edward Frankowski, sufragan sandomierski, podczas niedzielnej mszy rezurekcyjnej w konkatedrze w Stalowej Woli, oświadczył: „Rządzą nami pętaki i takie pętaki Polskę sprzedają, i takie pętaki dzieci nam uczą, pętaki tworzą telewizję i takich pętaków przysyłałi nam ze Wschodu a teraz z Zachodu”. Biskup skrytykował również tekst odwołania do Boga w preambule do konstytucji: „Zapis pomija chrześcijańskiego Boga w Trójcy Jedynej i umożliwia dechrystianizację Polski”.

W dalszym ciągu ks. prałat Jankowski w Gdańsku mnoży swoje wystąpienia o charakterze antysemitycznym, wysuwając np. ostatnio postulat, by kandydaci do sejmu i senatu w zbliżających się wyborach wyliczyli się z pięciu pokoleń.

Są to objawy niezmiernie niepokojące, które pogłębiają podziały w społeczeństwie, i mogą być wstępem do wojny domowej. Podobną działalność rozwija na terenie wojska bp Polowy. Na tym tle wyważone deklaracje rzecznika prasowego episkopatu, bp. Pieronka, brzmią nieprzekonująco. Raczej jest słaba nadzieja, by te sprawy prezydent Kwaśniewski zechciał poruszyć w rozmowach z papieżem Janem Pawłem II w czasie jego pobytu w Polsce.

Te subtelne i skomplikowane zabiegi prezydenta Kwaśniewskiego wobec Stolicy Apostolskiej spowodowały, że nagle zdecydował się on na przyspieszenie ratyfikacji konkordatu. Jak wiemy, konkordat został wprowadzony, że tak powiem,

kuchennymi schodami przez rząd p. Suchockiej. Treść konkordatu budziła bardzo liczne zastrzeżenia. Spowodowały one opóźnienie ratyfikacji konkordatu przez parlament. Na ten temat parokrotnie wypowiadałem się w swoich „Notatkach”. W dalszym ciągu uważam, że konkordat może być ratyfikowany dopiero po uchwaleniu konstytucji, bowiem wtedy będzie można stwierdzić, na ile jest z nią zgodny, i czy nie będzie wymagał ponownego przenegocjowania. Idzie o to, by uniknąć w przyszłości nowych, niepotrzebnych zadrażnień z Kościołem. Nie ma więc powodu by nagle przyspieszać za wszelką cenę jego ratyfikację ze względów czysto taktycznych i koniunkturalnych.

W Warszawie powstał w swoim czasie zespół do spraw NATO, który miał przygotować polski raport o kosztach rozszerzenia NATO. Pracowali nad nim społecznie urzędnicy kilku resortów. Z góry było ustalone, że raport zostanie ogłoszony nie jako dokument rządowy. W jego opracowaniu brało udział dwóch urzędników MSZ-u: Maciej Kozłowski i Witold Waszczykowski. Raport ten został ogłoszony i zaprezentowany pod auspicjami pozarządowego Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego. Jego prezesem jest Janusz Onyszkiewicz a na czele rady stoi Tadeusz Mazowiecki.

Raport był oceniony bardzo pozytywnie m.in. również przez premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Niespodziewanie, na skutek decyzji ministra spraw zagranicznych Dariusza Rosatięgo, Maciej Kozłowski i Witold Waszczykowski otrzymali ustną naganę i zostali ukarani utratą nagrody kwartalnej. Ta decyzja wywołała duże poruszenie. Zdawałoby się, że zarówno prezydent jak i rząd szukają współpracy z opozycją w sprawach mających znaczenie ogólnopolskie. Specjalnie o to zabiegał prezydent i do tej pory jego inicjatywy nie cieszyły się sukcesem. I nagle, gdy taka możliwość współpracy nastąpiła, została przekreślona. Jest to tym dziwniejsze, że prezydent właśnie *gros* swojej działalności poświęca polityce zagranicznej.

W ogóle w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dzieje się niedobrze, i jest wreszcie czas by tę stajnię Augiasza uporządkować zarówno z punktu widzenia organizacyjnego jak i polityki personalnej.

Minister Miller zarządził, że posiadanie broni przez obywateli zostanie ułatwione. Praktycznie każdy, kto nie był karany, takie pozwolenie może otrzymać. Zarządzenie to wydano w okresie, kiedy sprawa bezpieczeństwa w Polsce przedstawia się w sposób katastrofalny. Na porządku dziennym są morderstwa i napady rabunkowe, przeważnie nie wykrywane przez policję. Polska nie jest Szwajcarią, i długo nią nie będzie, gdzie każdy rezerwista ma broń i umundurowanie u siebie w domu.

Przed wojną rząd polski zakupił duże tereny w Argentynie, którymi zarządzała spółka Colonizador del Norte S.A. Miała ona zająć się osadnictwem Polaków na tych terenach. Jeszcze przed wojną 140 rodzin polskich zakupiło od Colonizador del Norte działki rolnicze. Spółka była źle administrowana, nie kontrolowana ani przez rząd polski na uchodźstwie, ani później po 89 r. przez Warszawę. Spółka przegrała proces o 12 tys. ha w prowincji Misiones, co jeszcze bardziej skomplikowało sytuację i spowodowało, że polskim osadnikom grozi ekspulsja. Trzeba dodać, że w podobnej sytuacji znajdują się również polscy osadnicy w Paragwaju. Związek Polaków w Argentynie działa w tej sprawie bardzo energicznie, a przede wszystkim prezes Jan Kobyłański, który osobiście pokrył koszty adwokatów (ok. 30 tys. dolarów amerykańskich). Praktycznie sprawy zostały wygrane w sądzie, jednak bez osiągnięcia rezultatów materialnych. Paradoksem jest, że Ameryka Południowa jest ulubionym terenem turystycznym – bo trudno to inaczej nazwać – polskich parlamentarzystów, którzy tymi sprawami nigdy się nie zainteresowali. A przecież idzie nie tylko o los polskich osadników, ale o uratowanie chociażby szczątków Colonizador del Norte, które ciągle są jednak pokaźne. *Kultura* od lat poruszała te sprawy, które nie znalazły oddźwięku ani kiedyś w Londynie, ani obecnie w Warszawie.

Jednym z posunięć nie przemyślanych, a mogących spowodować niedobre skutki, jest uchwalona ostatnio ustawa lustracyjna. Do tej sprawy powrócę w następnych „Notatkach”.

O religii bez namaszczenia

Alarmująca ekskomunika

Poniższy tekst jest przekładem artykułu redakcyjnego znanego tygodnika katolickiego *The Tablet*, pisma o światowym autorytecie i zasięgu – z dnia 11 stycznia br. i dotyczy obłożenia ekskomuniką katolickiego teologa ze Sri Lanki ks. Tissa Balasuriya, autora wydanej w r. 1990 książki pt.: „Mary and Human Liberation”. Ekskomunika jest bardzo surową karą kościelną, od czasu II Soboru Watykańskiego zasadniczo nie stosowaną (jeden wyjątek stanowi zupełnie specyficzna sprawa nieżyjącego już dziś arcybp. Lefebvre’a, zob. *Kultura*, maj 1991). Ma ona służyć wzmocnieniu dyscypliny kościelnej, jest jednak często symptomem i dodatkową przyczyną osłabienia tej dyscypliny. W krótkim okresie rządów Jana XXIII i Soboru Kościół programowo wyrzekł się stosowania anatem wobec kogokolwiek. Oczywiście – jak to mówi soborowa Deklaracja o Wolności Religijnej – prawda wchodzi do umysłów własną mocą a nie mocą środków administracyjnych.

Artykuł *Tabletu* wyjaśnia z grubsza, jak doszło do zastosowania ekskomuniki wobec ks. Balasuriya. Uzupełnia go wzmiankowany w artykule wybór spornych cytatów z książki ks. Balasuriya.

A.P.

Gdy Rzym wyraża niepokój z powodu stanowiska indywidualnego teologa, jest zawsze powód po temu. Stróże tradycji muszą mieć możliwość pociągania do odpowiedzialności tych, którzy nauczają w imieniu Kościoła. Ale sposoby wykonywania tego zadania są często pożałowania godne i wnioski,

do których się dochodzi, stronicze. Należałoby pamiętać, że wszyscy bez wyjątku najwięksi teologowie Drugiego Soboru Watykańskiego byli w swoim czasie poddani urzędowym sankcjom. Paweł VI kazał Kongregacji Doktryny Wiary stawiać na pierwszym miejscu uprawianie dobrej teologii, a nie potępienie błędów, ale za Jana Pawła II nie bardzo widać, by ta instrukcja była w praktyce stosowana. Dokonana ostatnio ekskomunika teologa ze Sri Lanki ks. Tissa Balasuriya w oczach wielu ludzi wygląda na skandal.

Nie jest łatwą rzeczą – i nigdy nie było – pogodzenie wiary w niezbędną Chrystusa w dziele Zbawienia z niezbędnym szacunkiem należnym innym wielkim religiom Wschodu. Usiłowania w tym kierunku, podjęte przez ks. Balasuriya, były nacechowane szczerością i niewątpliwie chrześcijańską wiarą, nawet jeśli może nie udało mu się uniknąć błędów w sformułowaniu wniosków. Pewne cytaty z jego książki, które podajemy poniżej, stanowią główny przedmiot sporu, ale nie jest to głos heretyka. 72-letni ks. Balasuriya jest kapłanem znanym ze swego umiłowania katolickiego Kościoła i wielu lat wiernej służby. Przyznają to nawet ci, których irytuje jego antykolonialny ton czy demagogiczny charakter niektórych jego wypowiedzi.

Kongregacja Doktryny Wiary postąpiła bardzo bezwzględnie, zarzucając ks. Balasuriya „odchylenie od integralnej prawdy wiary katolickiej” i stwierdzając, że pociąga to za sobą automatyczną ekskomunikę na podstawie kanonu 1364.1 dotyczącego apostatów, heretyków i schizmatyków.

Zwróćmy uwagę na sposób postępowania Kongregacji. Najpierw posłano księdzu Balasuriya listę „sposprzeżeń” dotyczących jego rzekomych błędów. Ks. Balasuriya odpowiedział obszernym pismem, w którym stwierdził, że jego stanowisko zostało podane w spaczonyj formie, podając na to 58 przykładów. W listopadzie 1995 Kongregacja zawiadomiła go, że jego odpowiedź została uznana za „niezadowolającą” i zażądała podpisania specjalnie sformułowanego *ad hominem* Wyznania Wiary. Ks. Balasuriya ze swej strony zaproponował podpisanie znacznie szerszego wyznania, mianowicie *Credo* Pawła VI, z dodatkową uwagą, że akceptuje to wyznanie „w kontekście rozwoju teologii i praktyki kościelnej od czasu II Vaticanum”. Zdaniem Kongregacji ta uwaga sprawiła, że

podpisane przez ks. Balasuriya *Credo* Pawła VI stało się „defektywne”. Co to ma znaczyć? Czyżby powrót do metod i treści teologii przedsoborowej?

Jest jeszcze inny powód do poważnego niepokoju. Nawet gdyby Wyznanie Wiary ks. Balasuriya zostało przyjęte, pozostaje jeden punkt, którego nie jest on w stanie zaakceptować, mianowicie twierdzenie, że Kościół nigdy nie będzie mógł uznać możliwości święceń kapłańskich dla kobiet. To twierdzenie, zawarte w deklaracji Kongregacji Doktryny Wiary z 28 października 1995, zostało tam zakwalifikowane jako nieomyślne. Posunięcie to jednak wielu teologów uznało za nie do przyjęcia. Czyżby zatem wszyscy, którzy choćby tylko powątpiewają w zasadność tej nauki, podlegali automatycznej ekskomunice? Jeśli tak, to znajdzie się wśród nich bardzo wielu katolickich wiernych.

Ale głównym powodem niepokoju wielu katolików są metody Kongregacji dla Spraw Doktryny Wiary. Dla przykładu, w odróżnieniu od przypadku arcybiskupa Lefebvre'a, który wbrew zakazowi Rzymu publicznie wyświęcił czterech biskupów, ks. Balasuriya nie wykroczył formalnie przeciw jakimkolwiek artykułowi wiary. Wprost przeciwnie, wyraził gotowość skorygowania każdego swego poglądu, jeśli okaże się on dowodnie błędny. Ale do żadnej rzeczowej dyskusji nie doszło. W rzeczy samej Kongregacja wyraźnie odmówiła podjęcia dyskusji na temat podniesionych przez ks. Balasuriya zagadnień. Gdzie tu jest sprawiedliwość? Jak można uznać człowieka winnym bez dania mu szansy wykazania swej niewinności? Nie ma tu śladu poszanowania prawa, a tam gdzie nie ma odpowiedniej procedury prawnej, panuje tyrania.

INKRYMINOWANE ZDANIA Z KSIĄŻKI

KS. TISSA BALASURIYA

„MARIA I WYZWOLENIE CZŁOWIEKA”

(*The Tablet*, 11.1.1997, str. 51).

„Na czym polega jedność Jezusa z Bogiem? W jakiej mierze i w jakim sensie jest Biblia księgą natchnioną?

Odpowiedzi na te pytania pojawiły się stosunkowo późno w historii chrześcijaństwa i wymagają one wiary tylko w stopniu, w jakim jest ona należna władzy nauczycielskiej Kościoła. Niekoniecznie pochodzą one od samego Jezusa” (str. 38).

„Kto po okresie apostołskim, jest w stanie powiedzieć, czy Maria była dziewicą nawet po urodzeniu Jezusa? Pragnienie widzenia Marii w perspektywie świętości wywołało tendencję do przypisywania jej doskonałego i niezmiennego dziewictwa, nawet jeśli dowiedzenie tego poglądu na podstawie Pisma św. jest wątpliwej natury” (str. 49).

„Nie mamy trudności z pojęciem grzechu pierworodnego w sensie ludzkiej skłonności do zła, której wszyscy podlegamy, ani też z koncepcją zbiorowej grzeszności społeczności ludzkiej czy środowiska i jej demoralizującego wpływu na pojedynczego człowieka. Kwestionujemy natomiast zasadność hipotezy grzechu pierworodnego przyjętej w tradycyjnej teologii, według której człowiek rodzi się w sytuacji bezsilnego wyobcowania od Boga” (str. 66).

„W ewangeljach nie ma mowy o tym, by Jezus kogokolwiek ochrzcił. Gdyby chrzest był konieczny do zbawienia i umożliwienia życia duchowego, na pewno poświęciłby temu baczną uwagę. Jezus (natomiast) domagał się nawrócenia w sensie zmiany sposobu życia – jak w przypadku Zacheusza” (str. 68).

„Tradycyjne ujęcie sprawy grzechu pierworodnego jest związane z koncepcją Boga, która w krajach Azji jest nie do przyjęcia. W naszych krajach myśl, że ludzie rodzą się w stanie alienacji od swojego Stwórcy, nasuwa zgoła odpychającą koncepcję Boga. Myśl, że całe pokolenia na całych kontynentach żyły i umierały w warunkach mniejszej niż u innych możliwości zbawienia, jest nie do pogodzenia z myślą o sprawiedliwym i kochającym Bogu” (str. 81-82).

„Jedną z konsekwencji rozwoju Mariologii w sensie ‘zstępującym’, tj. postulowanie boskiego macierzyństwa, niepoka-

lanego poczęcia, dziewictwa i Wniebowzięcia, jest to, że nie myśli się o Marii jako o ludzkiej matce człowieczego syna, który żył w zwyczajnych ludzkich warunkach i stawał wobec sytuacji podobnych do tych, w jakich stają codziennie miliony matek i dzieci” (str. 139).

„Skoro kobiety miały pełen udział w społeczności Jezusa, nie ma żadnego powodu, by nie mogły mieć udziału w strukturach przywódczych, także w kapłaństwie” (str. 171).

Tłumaczył Antoni POSPIESZALSKI

Zbyt liberalny tygodnik katolicki

Papież Jan Paweł II wyznaczył „komisarza”, który ma nadzorować Towarzystwo św. Pawła Apostoła (zakon paulistów) – tak, jak podała PAP, piątkowa prasa włoska pisała o mianowaniu biskupa Antonio Buoncristianiego na stanowisko delegata apostolskiego przy tym zakonie. Pauliści zajmują się przede wszystkim duszpasterstwem za pomocą mediów, wydają największy tygodnik katolicki we Włoszech *La Famiglia Cristiana*. Tygodnik już kilkakrotnie był krytykowany przez Watykan za zbyt liberalizmowi i odchodzenie od oficjalnej linii Kościoła.

Ojciec Święty przesłał do przełożonego zakonu list, w którym podkreślił, że decyzję o mianowaniu delegata apostolskiego podjął po długim zastanowieniu. – Do takiej decyzji – powiedział w piątek rzecznik Watykanu Joaquin Navarro-Valls – skłoniła papieża „delikatna sytuacja”, która niedawno powstała w zakonie i „zakłóca jego harmonię oraz wspólnotę”. Jan Paweł wyraził „zakłopotanie” treścią niektórych artykułów w gazetach wydawanych przez paulistów.

Pauliści szczególnie odchodzą od oficjalnej linii Waty-

kanu w sprawach etyki seksualnej. Wydali m.in. książeczkę o edukacji seksualnej pt. „Od bociana do kasety wideo”, w której doradza się rodzicom, by chodzili przy dzieciach nago, co pozwoli na „przełamanie tabu”, oraz by nadmiernie nie dramatyzowali spraw seksu. Jak napisała Associated Press, pauliści głoszą w swoich gazetach, iż masturbacja nie jest całkowitym złem oraz że żony nie powinny zwracać uwagi na to, iż ich mężowie znoszą do domu pisma pornograficzne.

W zeszłym roku kardynał Joseph Ratzinger, przewodniczący watykańskiej Kongregacji Doktryny Wiary, wezwał na rozmowę przełożonego zakonu paulistów o. Silvio Pignottiego i zagroził mu utworzeniem komisji kontrolnej w redakcji. Jak pisał w listopadzie ub.r. brytyjski dziennik *The Times*, poparcia paulistom udzielił wówczas jeden z prominentnych duchownych watykańskich. Arcybiskup Alessandro Maggioni miał powiedzieć: „z całym szacunkiem dla kardynała Ratzingera” trzeba zauważyć, że „większość matek wie więcej o edukacji seksualnej niż on”.

Latem ub.r. doszło do kontrowersji między Stolicą Apostolską a paulistami na temat problemu homoseksualizmu. – Rodzice powinni uszanować skłonności homoseksualne swoich synów – pisała gazeta wydawana przez zakon.

Kierujący od 17 lat tygodnikiem *La Famiglia Cristiana* o. Leonardo Zega oświadczył w piątek, że jeśli Watykan będzie chciał zmienić linię pisma, to będzie musiał również zmienić kierownictwo gazety. Tygodnik ma nakład ok. 1,2 miliona egzemplarzy, dobrze rozchodzi się także wydawana przez zakon paulistów gazeta dla młodzieży *Il Giornalino* (600 tys.).

W istniejącym od 83 lat Towarzystwie św. Pawła Apostoła działają 1194 osoby, w tym 575 księży.

Powyższa informacja ukazała się w piśmie Rzeczpospolita 1/2 marca 1997 r.

Kronika kulturalna

Czytelnictwo polskie na emigracji

Monumentalnych zasług Marii Danilewicz Zielińskiej jako honorowej kronikarki życia kulturalnego emigracji wojennej w Wielkiej Brytanii nie trzeba nikomu przypominać, a już najmniej czytelnikom *Kultury*, której Pani Maria jest stałą współpracowniczką. Obecny zbiór szkiców: „Książka i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii”, starannie wydany (choć autorka skarży się na cięcia i opuszczenia) nakładem Biblioteki Narodowej w Warszawie, to pozycja bynajmniej nie tylko dla bibliofilów i bibliotekoznawców. Jest to lektura, którą należałoby polecić każdemu, komu leży na sercu los kultury polskiej na obczyźnie. Wydaje się, że właściwymi adresatami tej książki powinni być ludzie zajmujący się socjologią kultury – nawet jeśli przyjąć (co od dawna już nie jest sprawą oczywistą), że książka jest wciąż jeszcze (jak długo?) podstawowym medium upowszechniania wartości kulturowych. (*Nota bene*, autorka sama nie jest wolna od tych wątpliwości: w eseju z r. 1953 [*sic!*] wykazuje w tym względzie zadziwiająco nowoczesność sądów, uznając za zjawisko normalne i nawet niejako pożądane stale rosące znaczenie innych środków przekazu w procesie dyseminacji kultury).

Obecny zbiór, na który składają się artykuły pisane na przestrzeni lat 1953-84, składa się z trzech zasadniczych części:

Część pierwsza jest dokumentacją dziejów Biblioteki Polskiej w Londynie jako pierwszoplanowej instytucji kulturalnej społeczności emigracyjnej w Wielkiej Brytanii od momentu jej założenia w 1942 r. poprzez 30 lat sterowania tą instytucją pośród zmiennych losów kolei (których widocz-

nym znakiem stały się choćby częste zmiany nazw i adresów).

Na część drugą składają się głównie felietony dla *Wiedomości* londyńskich poświęcone w większości ciekawostkom dotyczącym cennych, a z reguły zapoznanych poloników w zbiorach bibliotek angielskich, głównie w sławnym „Britiszu” (British Museum Library), w bibliotekach Oxfordu i Cambridge’a a także w słynnej John Ryland’s Library w Manchesterze. Wiedzą o tych to właśnie, często odkrytych przez nią samą bibliofilskich skarbach, dzieliła się Pani Maria szczerze z przybywającymi coraz tłumniej z Polski młodszymi pokoleniami badaczy literatury polskiej i komparatystyki literackiej, do której swego czasu należała pisząca te słowa. Szkoda, że cięcia wspomniane na początku dotyczyły głównie tych rozdziałów, bo skądinąd czyta się je jak powieść detektywistyczną.

Od części historycznej, poprzez specjalistyczno-literacką, dochodzimy do tej części książki, która stanowi portret zbiorowy producentów i odbiorców książki na terenie emigracyjnym. Stanowi ona analizę danych z ankiet bibliotecznych z lat 1960-tych i wnioski wyprowadzone z rozpisanej przez *Kulturę* w r. 1981 ankiety „Książka polska na emigracji”. Tu trzeba mieć na uwadze, że nawet jeśli wiele z tych wniosków zdezaktualizowało się już z upływem czasu, niemniej jednak są one ogromnie cenne dla zrozumienia niepowtarzalnie ważnej roli, jaką odgrywa(ła?) książka (nawet niekoniecznie najwyższego lotu) w życiu społeczności emigracyjnej. Wzruszające, ale jakże anachroniczne są te opisy książek gorliwie podawanych sobie z rąk do rąk i zaczytywanych „na śmierć”. Ciekawe, jakby dziś wyglądała taka ankieta: istnieje, moim zdaniem pilna potrzeba, po 16-tu latach, ponowienia tego typu sondaży trendów czytelniczych (na zasadzie: „powiedz mi co czytasz, a powiem ci, kim jesteś”) wśród następnych pokoleń społeczeństwa emigracyjnego. Biblioteka Polska w Londynie właśnie rozesłała ankietę czytelniczą, ale wydaje mi się ona zbyt ogólnikowa i mam wątpliwości, czy wniesie nowe informacje do przeczukanego, raczej żałowanego, obrazu stale się zmniejszającej klienteli wypożyczalni BP. Jedno jest pewne, że „złoty wiek” czytelnictwa polskiego na emigracji już minął, choć oczywiście nie znaczy to, że minęło zapotrzebowanie na polską książkę i gazetę. Czytamy teraz, podejrzewam, bardziej „specjalistycznie”, czyli po prostu, normalnie!

Pewien, choć zbyt ogólnikowy obraz wyłania się z lektury sprawozdań obecnej przewodniczącej Komisji Bibliotecznej,

p. Eugenii Maresch, za lata 1995 i 1996. P. Maresch oblicza, że w Londynie mieszka w tej chwili około 40.000 Polaków (lub raczej: ludzi mówiących i czytających po polsku), z których zaledwie 5% interesuje się polską książką i nowymi wydawnictwami. Biblioteka Polska miała w r. 1995 w swoim rejestrze 1.700 czytelników, ale zaledwie 12.000 wypożyczeń. W następnym roku, po przerejestrowaniu komputerowym, okazało się, że aktywnych czytelników jest tylko 480! Autorka sprawozdania wyciąga z tego wniosku ten sam, jaki sugerowałam wcześniej: „po prostu mamy teraz wytrawnych czytelników, dla których Biblioteka zabiega o dostarczanie najnowszych wydawnictw krajowych i emigracyjnych”. Cyfry potwierdzają, że Biblioteka staje się coraz bardziej placówką badawczo-naukową niż wypożyczalnią książek do czytania. (Te ostatnie – wynika z moich rozmów z wydawcami i księgarzami – większość czytelników emigracyjnych sprowadza z Polski, głównie ze względu na koszt; rynek wydawniczy na emigracji od r. 1989 praktycznie się załamał).

Wracając jeszcze na moment do sprawozdania Komisji Bibliotecznej: sprawa przyszłości Biblioteki Polskiej w Londynie napawa troską, jeśli nie uda się zmobilizować większej ofiarności społecznej, zwłaszcza ze strony sponsorów publicznych takich jak np. przedsiębiorstwa polskie, które mogłyby bez większego dla siebie uszczerbku (ulgi podatkowe!) przyjąć w sukurs Bibliotece, a tego nie robią. Wedle danych ze sprawozdań w chwili obecnej fundusze wypracowane przez Bibliotekę wraz z darami społecznymi pokrywają zaledwie jedną trzecią potrzeb i aktualnych wydatków.

Jak przekonać ludzi majątnych, a takich jest wśród nas (podobno) coraz więcej, że książka jest pomnikiem trwalszym od marmuru?

Taki też pomnik wystawiła sobie pani Maria Danilewicz Zielińska, dla której książka zawsze była i jest największą miłością Jej życia. Z okazji 90-tej rocznicy urodzin składam Jej, w imieniu wszystkich miłośników książki, najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wielu jeszcze lat owocnej pracy.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Szagalewa ostatni spadkobierca

W 25 ROCZNICĘ ŚMIERCI ARNOLDA SŁUCKIEGO

Jego wyjazdu z kraju generacja dzisiejszych trzydziestolatków, do której i ja należę, nie pamięta. W szkole nie spotkaliśmy nazwiska tego poety w żadnym z podręczników... Krytycy literaccy też o nim zapomnieli, ostatni artykuł poświęcony jego osobie ukazał się ponad dziesięć lat temu... W listopadzie minie dwadzieścia pięć lat od jego samotnej śmierci...

Arnold Słucki należał do pokolenia, które przyszło na świat w niepodległej Polsce. Urodził się 15 kwietnia 1920 roku w Tyszowcach na Lubelszczyźnie. Miał zostać rabinem i w tym celu, już jako czternastoletni chłopiec, wysłany został przez rodziców do Warszawy, gdzie ukończył seminarium nauczycielskie i kształcił się w Instytucie Judaistycznym. Dzisiaj nie wiemy, czy odpowiadało to światopoglądowi i ambicjom przyszłego poety. Natomiast na pewno krok ten był zgodny z ambicjami i światopoglądem środowiska, w którym się urodził i wychował – świata ortodoksyjnych Żydów polskich. Szybko przeszedł ze skrajności w skrajność – jeszcze przed wojną został członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Witold Wirpsza określił tę nagłą zmianę światopoglądową Słuckiego, jako „przeskok od jednej ortodoksji do drugiej, skrajnie przeciwnej”. Sytuacja ta jego zdaniem „bywa przy zapalczowości uczuć naturalniejsza, niż się z pozoru wydaje”¹.

W czasie działań wojennych 1939 roku Słucki z własnej woli znalazł się po stronie sowieckiej. Przyglądał się tam z bliska państwu komunistycznemu. Był kolejno: robotnikiem fabrycznym, księgowym w kołchozie, nauczycielem niemieckiego w Kazachstanie, wreszcie wstąpił jako ochotnik do Armii Czerwonej (zresztą niedługo później był z niej zwolniony). Po utworzeniu oddziałów I Armii Wojska Polskiego

1. W. Wirpsza, „Śmierć wygnańca”, *Kultura* 1973, nr 1/2, s. 173.

powrócił do kraju. Był redaktorem gazety żołnierskiej *Do boju*. Po roku 1944 rozpoczął aktywną działalność w Związku Walki Młodych (ZWM), a następnie w PZPR. Świadectwo tamtych czasów odnaleźć można częściowo w utworach z lat 1950-1955. W okresie tym Słucki wydał pięć tomików poezji oraz zbiór szkiców krytycznych, opublikowanych wcześniej w *Przeglądzie Kulturalnym*, a zebranych i oddanych do druku w lecie 1956 roku.

Środowisko literackie powojennej Warszawy przyjęło Słuckiego nieufnie. Na przykład Antoni Słonimski nazywał go z przekąsem: „Żydem stepowym”. Aleksander Wat, wspominając w „Moim wieku” pierwszomajowy pochód pisał: „(...) byłem w pierwszym szeregu z Iwaszkiewiczem, z Kruczkowskim, z Ważykiem, z nią [Janiną Broniewską – S.Ż.] i z tym poetą chasydem, Słuckim. (Taki dość kiepski poeta, choć czasem pisze niezłe wiersze na chasydzkie tematy). I Słucki trzymał mnie pod rękę z jednej strony”. (A. Wat, „Mój wiek”, t. I, Warszawa 1990, s. 247).

Arnold Słucki w latach 1950-55 był pisarzem socrealizmu, choć dokładniejsza analiza motywów funkcjonujących w wierszach z tego okresu wskazuje na głębsze możliwości interpretacyjne, które uważnego czytelnika odsyłają w krąg topiki judajskiej. Witold Wirpsza pisał w roku 1982, dziesięć lat po śmierci poety: „Myślę, że w ostatniej fazie swej twórczości Słucki jest poetą głęboko religijnym, był nim właściwie *in nuce* zawsze, tylko z początku zdarzyło się tak, że kostium i maska do tego nie pasowały”². Do czasu wyjazdu na studia do stolicy jego znajomość polskiego była bardzo słaba. Wcześniejsze kontakty z Polakami sprowadzały się jedynie do relacji sąsiedzkich z mieszkańcami rodzinnych Tyszowców. Słucki był znawcą tradycji i kultury żydowskiej: Starego, jak i Nowego Testamentu, nieobce mu były również teksty talmudyczne oraz zawiłe meandry interpretacji kabalistycznych. Znał biegle hebrajski i aramejski. Dlatego też świat żydowski w jego poezji odnajduje swoje najpełniejsze miejsce. Jacek Trznadel pisał: „Świat Biblii i mitów, dawnych symboli literackich, jest w poezji Słuckiego więcej niż ozdobnikiem – jest składnikiem wyobraźni, organizowanej według zasady: na to samo odpowiedzieć tym samym”³.

2. W. Wirpsza, „Przejęzyczenie”, s. 112-113, *Kultura* 1982, nr 11, s. 109-113.

3. Por. J. Trznadel, „Dwie prawdy o Kolchidzie”, *Twórczość* 1960, nr 8, s. 95.

Poeta, jak sam siebie najlepiej określił, był tego świata „ostatnim spadkobiercą”.

W roku 1956, po opublikowaniu w *Przeglądzie Kulturalnym* krytycznego artykułu na temat rodzącego się faszyzmu i antysemityzmu w szeregach członków PZPR, Arnold Słucki zostaje usunięty z partii, do której był przyjęty powtórnie dopiero po interwencji dawnych towarzyszy. Przystaje być ostatecznie jej członkiem dziesięć lat później, kiedy to z własnej inicjatywy oddał legitymację na znak protestu, w związku ze sprawą Leszka Kołakowskiego.

Po wypadkach marcowych 1968 roku wyjechał z Polski na emigrację. Początkowo przebywał w Izraelu, jednak ostatecznie na miejsce swego stałego pobytu wybrał najbliższy Polsce skrawek wolności – Berlin Zachodni.

Słucki był całkowicie nieobecny w literaturze polskiej w latach 1968-82. Tylko raz udało się Iwaszkiewiczowi w roku 1975, w marcowym zeszycie *Twórczości*, „przemycić” kilka wierszy Słuckiego. Ostatni tom wierszy „Biografia anioła” wydany został w Polsce pośmiertnie na początku lat osiemdziesiątych.

Arnold Słucki zmarł w zapomnieniu, jesienią (15 listopada) 1972 roku w Berlinie Zachodnim, gdzie mieszkał wraz z żoną Inką przez ostatnie lata swojego życia, w małym lokalu przy Genthinerstrasse 30k w pensjonacie „Alter West”. Poeta pochowany został na cmentarzu Ruhleben. Na dużym kamieniu, leżącym na mogile Słuckiego, widnieje napis: „poeta polski”. Trzydzieści lat przed śmiercią w tomiku „Promienie czasu” Słucki, jakby zapowiadając swoją nagłą śmierć, pisał:

umrzemy

– sami.

Znajdą nas w łózkach jak przedmioty
wykopane z epoki neolitu (...)

Życie Arnolda Słuckiego przypomina swoistą pielgrzymkę, wędrówkę ku jakimś bliżej nieokreślonym rewirom świętości... Początkowo było to święte miasto komunizmu Moskwa, tak silnie obecna w jego wczesnej poezji z kremłowskim „pałacem Słońca”. Później była nim Jerozolima, która okazała się miastem straconych złudzeń, a wreszcie Qumran – mistyczna utopia, obiekt dojrzałych fascynacji Słuckiego, brakujące ogniwo ekumeniczne pomiędzy

judaizmem a chrześcijaństwem. Aby w końcu, celem pielgrzymki życiowej, miastem świętym, stała się ponownie Warszawa, do której tęsknił zza muru Berlina, do której przyjechał na początku swej wędrówki, po raz pierwszy jako czterastoletni kandydat do szkoły rabinackiej.

Sławomir J. ŻUREK

HAWTHORNDEN CASTLE

Międzynarodowy Dom Pracy Twórczej w Szkocji oferuje pisarzom czterotygodniową gościnę w idealnych warunkach. Podania należy składać przed końcem września. Bliższych informacji udziela: Adam Czerniawski, Administrator, Hawthornden Castle, Lasswade, Szkocja, EH18 1EG.

UKRAIŃSKO-POLSKIE SYMPOZJUM

Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenie Polski i Ukrainy
5-7 czerwca 1997
Kijów

W roku 1997 paryska *Kultura* obchodzi swoje pięćdziesięciolecie. Od chwili jej założenia *Kultura* nieustannie propaguje ideę wzajemnego pojednania pomiędzy narodami Polski i Ukrainy, oraz wszystkimi narodami od Niemiec do Rosji. Jest wielką zasługą czasopisma i jego założyciela Jerzego Giedroycia, że współczesne polskie elity polityczne i intelektualne rozumieją konieczność polsko-ukraińskiego dialogu i porozumienia. Pamiętając o tych zasługach oraz o konsekwentnym poparciu dla ukraińskich aspiracji niepodległoś-

ciowych, czasopismo *Polityczna Dumka*, Akademia Kijowsko-Mohylańska, Ukraiński Instytut Uniwersytetu Harvarda, Instytut Filozofii Ukraińskiej Akademii Nauk oraz Ukraińska Fundacja Filozoficzna pragną uczcić ten jubileusz organizując w Kijowie międzynarodowe sympozjum „Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenie Polski i Ukrainy (ku 50-leciu paryskiej *Kultury*).” Uczestniczyć w sympozjum będą ukraińscy, polscy i amerykańscy literaturoznawcy, historycy, oraz publicyści, zajmujący się stosunkami polsko-ukraińskimi. Sympozjum powinno być okazją do wspólnej refleksji nad dorobkiem *Kultury* oraz omówienia problemów z dziedziny historii, literatury, polityki, najaktualniejszych z punktu widzenia wzajemnych stosunków między Polską i Ukrainą.

Budowa liberalnej demokracji i gospodarki rynkowej w krajach, które odzyskały niepodległość albo powstały po rozpadzie *Pax Sovietica* okazało się zadaniem trudniejszym niż się tego spodziewały zarówno społeczeństwa, jak i demokratyczna opozycja. Zmianom pozytywnym towarzyszą zjawiska kryzysowe we wszystkich prawie dziedzinach życia. Nowo utworzone systemy polityczne, zwłaszcza w krajach Europy Wschodniej, dalekie są od autentycznej demokracji i ciążą w kierunku różnych anti-, względnie pseudo-demokratycznych praktyk, dążąc do odtworzenia, pod innym szyldem ideologicznym, autorytarnego systemu rządów. W związku z tym istnieje potrzeba zastanowienia się nad aktualnością doświadczenia i dorobku *Kultury* we współczesnych, postkomunistycznych warunkach.

Celem tak pomyślanego sympozjum jest nie tylko lepsze zapoznanie kręgów opiniotwórczych na Ukrainie z historią ostatniego pięćdziesięciolecia ale i zainteresowanie młodszego pokolenia Polską i stosunkami polsko-ukraińskimi, oraz przekonanie go, że warto się tymi sprawami bliżej zająć. Powinno to posłużyć dalszemu rozwojowi polsko-ukraińskiego dialogu. Dialog taki jest niezbędny, jeśli Polska i Ukraina mają zająć godne miejsce w europejskiej wspólnocie wolnych narodów.

Książki

Rozdroże

„Literatura polska w latach II Wojny Światowej”* stanowi najnowsze ogniwo w serii „Wielka historia literatury polskiej” opracowanej w Instytucie Badań Literackich PAN, rozpoczynającej się „Średniowieczem” a doprowadzonej do „Młodej Polski”. Wydany obecnie tom przeskakuje nad Dwudziestolecie i omawia krótki ale brzemienny w konsekwencje okres pięciolecia wojennego, zobrazowanego już bibliograficznie w „Literaturze polskiej i teatrze w latach II Wojny Światowej” (Wrocław, Ossolineum, 1983-4) zestawionej w tymże IBL-u przez Jadwigę Czachowską, Marię Krystynę Maciejewską i Teresę Tyszkiewicz. Obie te publikacje razem wzięte składają się na odkrywczy obraz pięciolecia stojącego na rozdrożu między literaturami II i III Rzeczypospolitej.

Po raz drugi w ciągu dobiegającego kresu stulecia wyodrębnia się kilkuletni okres zdeterminowany „wielkimi” wojnami. Pierwszy, formalnie zamknięty traktatem wersalskim, był niejako przedłużeniem XIX w. i choć zamyka go odrodzenie państwowości polskiej i przekreślenie granic zaborów, to jednak na odcinku literatury raczej zdeorganizował niż załamał istniejące struktury i nie sparaliżował „koryfeuszów”: Żeromskiego, Reymonta, Przybyszewskiego, czy Struga. Śmierć Sienkiewicza (1916) zamknęła niejako serię pogrzebów – Wyspiańskiego, Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej i Brzozowskiego.

Pierwsza wojna światowa nie wyłoniła wielkich nazwisk a pisarze najbardziej się wówczas liczący, z Żeromskim, Strugiem i Tetmajerem na czele, mieli ustaloną już reputację i nie

* Jerzy Święch, „Literatura polska w latach II Wojny Światowej”. Warszawa, 1997, Wydawnictwo Naukowe PWN, s. 583, ilustr.

wnieśli wiele nowego do jej poziomu, na miarę wcześniejszych sukcesów. Tym większe znaczenie miało opanowanie sceny literackiej przez poezję, a raczej „mowę wiązaną” idącą utartymi ścieżkami a tematycznie związaną z politycznymi aspektami „sprawy polskiej” i „trudem żołnierskim”. Wystąpienie skamandrytów nabiera w tym kontekście znamion buntu (czy przełomu), choć było to raczej nagłe i równoczesne wystąpienie kilku utalentowanych debiutantów pod jawnym patronatem Staffa i Żeromskiego. Sytuację tę ilustruje pogrzeb Żeromskiego w r.1926: latarnie osłonięte kirem na znak narodowej żałoby, trójka skamandrytów (Lechoń, Wierzyński, Iwaszkiewicz) krocząca z rozpiętymi na poduszce odznaczeniami Zmarłego, autora „Przedwiośnia” (dla jednych) i „Wiatru od morza” (dla Narodu). Na istotną odnowę czekać wypadło długo – kiełkowała powoli i opornie na marginesach życia literackiego, z trudem wybijała się na powierzchnię, by zaowocować w dotąd ujawnianym bez rozgłosu dorobku Brunona Schulza, St. Ign. Witkiewicza czy juveniliach Gombrowicza i Miłosza. A katastrofiści? – Byli, owszem, świadomi swej odrębności, niewielu znajdowali popleczników. Przyboś i pośmiertnie Czechowicz są wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Skamandryci debiutujący w atmosferze powszechnego aplauzu, zepsuci sukcesami i powtarzający samych siebie, schodzić zaczęli na drugi plan, jako poeci i przechodzili do prozy, jak Iwaszkiewicz czy Wittlin, albo dziennikarstwa, jak Wierzyński. W okresie Dwudziestolecia, podobnie jak dziś, emocji wydawniczych dostarczała odkrywana w przekładach literatura światowa, a nadprodukcja poezji nie przynosiła arcydzieł. Na plan pierwszy wysuwa się w okresie międzywojnia proza powieściowa w różnych odmianach: prób epickich Dąbrowskiej czy Naglerowej, powieściach politycznych Kadena, opowieściach biograficznych Berenta, eseistyce Irzykowskiego, reportażach Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Szeroko – i nie tylko w Krakowa, promieniował teatr, rodziły się media, prosperowała prasa literacka, dojrzewała do uchwalenia ustawa biblioteczna, rosły nakłady nowości i przedruków „klasyków”. Szło nowe... I wtedy właśnie, w słońcu upalnego września, spadły pierwsze bomby, przekreślając i osiągnięcia i – jak się wydawało – uzasadnione nadzieje. Rodzi się literatura: poza krajem czy emigracyjna?

Problem ważny, istotny a przez prof. Święcha i Wydawców rozstrzygnięty na rzecz „poza krajem”. Bo jeśli „emigra-

cyjna” to od jakiej daty? I jakie racje przemówiły przeciw „na uchodźstwie”? Wiele jednak przemawia przeciw „uchodźstwu”. Członkowie Polskich Sił Zbrojnych, zarówno zmobilizowani jak i ochotniczo zgłaszający się do służby w wojsku nie uchodzili ale zmierzali do punktów zbórnych. Jak wyglądało to na terytorium sowieckim nie warto przypominać. Świadectw nie braknie. Można, z licznymi zastrzeżeniami uważać za uchodźców mieszkańców Warszawy w końcowej fazie powstania warszawskiego – byli oni raczej wypędzani a następnie wywożeni do obozów w Rzeszy. Mieszkańcy wschodnich województw nie uchodzili do Rosji ale byli brutalnie wysiedlani. Sprawa właściwego określenia ich statusu jest właściwie otwarta bo i emigrantami politycznymi nie byli. Są jak widać sytuacje trudne do zwięzłego i jednoznacznego określenia, których się ryczałtem nie da określić.

Rzecz się podobnie dzieje na odcinku „emigracyjności”. W żywym słowie i w praktyce półwiecza „emigracyjność” nabrała specyficznego smaku. Nie jest trafnym określeniem tych „co lekliwie nieśli za granicę głowy”, by dołączyć się do szeregów, – ani tych co z Kraju zostali wywiezieni na Wschód czy Zachód, – ani parasolem, pod którym mieszczą się emigranci zarobkowi z paszportami kraju ojczystego. W okresie II wojny światowej takimi „emigrantami politycznymi” (?) byli Polacy w Lille, Pittsburgu czy Kurytybie. Dlatego sądzę, że Redakcja serii postąpiła słusznie używając w tytule eufemizmu „w okresie II Wojny Światowej”. Obejmuje on zarówno Kraj jak rozproszonych poza nim pisarzy, wytworzane przez nich piśmiennictwo.

Przybliżona data końcowa okresu wojennego wiązana jest najczęściej, i moim zdaniem słusznie, z czerwcem 1945, gdy po cofnięciu uznania legalnemu Rządowi RP przez „Aliantów” emigracyjność literatury przestała być terminem przedwcześnie stosowanym i niedokładnym. Autor opowiada się za datą wcześniejszą – 1944 – biorąc pod uwagę z jednej strony Jaltę a z drugiej formalne przejście od literatury podziemnej do literatury Polski Ludowej, dokonujące się stopniowo w miarę kurczenia się rozmiarów okupacji niemieckiej.

Tak czy inaczej rozumując, zamykamy okres wojenny latami 1939-1945. W latach tych zarysowały się zasadnicze różnice zasięgu i kształtu piśmiennictwa w Kraju i poza Krajem traktowanego łącznie a opartego o wspólnotę języka. „Piśmiennictwa” raczej niż literatury, gdyż przedmiotem

rozważań prof. Świącha i jego poprzedników śledzących początki literatury „emigracyjnej” są nie tylko publikacje zwarte i czasopisma literackie ale i dokumenty życia społecznego dochowane w niekonwencjonalnych kształtach wydawnictw podziemnych w nakładach niekiedy zaledwie kilku egzemplarzy, do których dotrzeć dziś trudno, a które docierały do ograniczonej aktualnymi warunkami kolportażu liczby czytelników. Teatr rządził się swoimi prawami: widzom gromadzącym się po kryjomu w prywatnych mieszkaniach przeciwstawiają się tysiące widzów sztuki teatralnej „Tu jest Polska” wystawionej w Bagdadzie w 1943 r.

Prof. Świąch określa kilkakrotnie przedmiot swoich dociekań jako literaturę okolicznościową, co raczej zwięza jej zakres i skłania się do wiązania poszczególnych utworów z określonymi sytuacjami czy osobami. Dla mnie stanowią one mniejszość w porównaniu z literaturą ratunkową niosącą pomoc w różnorodnych formach: wierności językowi zagrożonemu wpływami obcych języków otoczenia, obawy przed zamilknięciem i brakiem czytelników i wydawców, współczucia i poczucia obowiązku itp. Pogląd ten potwierdzają relacje o recepcji druków powstających samorzutnie w egzotycznych krajach a właściwie wszędzie, na całej mapie świata. W określeniu literatury jako ratunku mieści się i prasa obozów jenieckich i – teatr. W „Literaturze” Świącha roi się od wzmianek o utworach o charakterze symbolicznym i zastępczym, gdy omawia poezję walczącą i reperkusje twórczości amatorskiej z obozów jenieckich, łagrów, miejsc zsyłki, różnych form holokaustu, więzień itp. Autor wybiera z nich i omawia w teorii, według wyraźnej deklaracji te tylko, w których dopatrzyć się można walorów literackich, w praktyce jednak – i słusznie – granice te przekracza, dając temu wyraz w taryfie ulgowej w stosunku do powstałych w podziemiu utworów przemycających treści aktualne pod przykrywką naiwnych w gruncie rzeczy symboli. (Boję się cytowania przykładów, bo chodzi o utwory tragicznie zmarłych debiutantów).

Przykro jest konstatować, że zarówno literatura powstająca w Kraju jak i poza Krajem w toku lektury książki prof. Świącha błędna i rozczarowują. Nie pojawiły się w tym okresie nie tylko arcydzieła ale nawet utwory „okolicznościowe” rangi i popularności np. „Z dymem pożarów” czy, schodząc niżej, wierszy Słońskiego czy Mączki z okresu I wojny światowej, a to, co z przeżyć wojennych pozostało albo

czekało w szufladach, albo dręczyło pamięć, by ujawnić się potwierdzone trwałością pamięci. Odnosi się to w szczególności do „wielkich nazwisk” pisarzy przebywających w czasie wojny w Kraju: Iwaszkiewicza, Dąbrowskiej, Nałkowskiej. Fakt, że ich utwory powstały po 1945 r. sprawił, że przypomniane są krótkimi tylko wzmiankami. Uwzględnienie ich wpłynęłoby na ogólną ocenę wpływu wojny na literaturę, ale pokawałkowałoby obraz ich dorobku. Bez nich zadawała się trzeba tekstami ogłoszonymi drukiem przed 1945, co skłania do wniosków, że literatura podziemna reprezentowana jest przez minimalną w stosunku do „poza Krajem” ilość nazwisk i tytułów książek o szansach przetrwania na kartach historii literatury. Nasuwa się tu porównanie z literaturą powstałą w Kraju między powstaniem listopadowym a styczniowym, przed pozytywizmem.

Warto mocno podkreślić, że literatura „ratunkowa” odpowiadała na zamówienie społeczne w dobrym tego słowa znaczeniu. *Vox populi* domagał się nowego „Pana Tadeusza”, niecierpliwie czekano na pojawienie się wieszczów, szafowano nawet przedwcześnie tym określeniem. Wieszczów zastępowali wskrzeszani przedrukami „klasycy” – właściwie włączyć by należało Kraszewskiego, Sienkiewicza, Dąbrowską i Zofię Kossak do autorów reprezentujących literaturę współczesną i podejmujących aktualne tematy.

Oba nurty literatury, rzeczowo zilustrowane przez prof. Święcha, nie zapisały się arcydziełami i nie mogą nasuwać analogii z lat 1830-ych, gdy każdy rok przynosił utwory najwyższej miary nie tylko poetów słynnej Trójcy ale i sędziwego Niemcewicza czy krnąbrnego Lelewela. Obraz wyłaniający się z „Literatury polskiej w latach II Wojny Światowej” ilustruje rozmiary klęski będącej wynikiem nagłego załamania się, niemal zaniemówienia. Usprawiedliwiają to warunki egzystencji, stan realnego zagrożenia w każdej chwili, karykaturalne nikłe i prymitywne warunki publikowania. To w Kraju. Poza Krajem wchodzi w grę, poza niepewnością losu, częstość przemieszczeń, brak drukarni dysponujących czcionkami polskimi, a nawet brak papieru racjonowanego na równi z żywnością. Część pierwsza („Literatura w Kraju”) jest ponadto żałosnym katalogiem ambitnych poczynań i nekrologią obiecujących debiutantów. Ostał się, prawdę mówiąc, tylko Miłosz.

Bilans lat wojennych nie zamyka się żywymi do dziś aktywnymi z części drugiej, mówiącej o literaturze poza Kra-

jem. Poprzez przedruki w prasie podziemnej i chytrze szmuglowane egzemplarze, weszły do literatury krajowej reprezentacyjne wiersze Słonimskiego, Balińskiego, Lechonia, Wierzyńskiego – fragmenty entuzjastycznie przyjętych „Kwiatów polskich” Tuwima. Recepcja ich „tu i tam” jest analogiczna. Autor „Literatury” porównuje to do naczyń połączonych.

Objęcie jednym opracowaniem materiału wymagało dostępu do oryginalnych tekstów – licznych a rozproszonych – a skupienie ich jest pobożnym życzeniem. Prof. Święch cierpliwością i pracą przeszkody te pokonał i zdołał w bezprecedensowym stopniu je opanować, z autopsji poznał i skrupulatnie przewertował przeważający procent omawianych publikacji, w tym rzadkich i tragicznie rozproszonych czasopism i druków ulotnych zwłaszcza dotyczących widowisk teatralnych. Jako autorka skromniej pomyślanych „Szkiców o literaturze emigracyjnej” i wieloletnia strażniczka druków emigracyjnych w Bibliotece Polskiej w Londynie, mogę rzeczowo ocenić trud dotarcia do unikatów, wydawnictw niskonakładowych itp. Dużo ujawniła „Bibliografia” Czachowskiej ale osobisty trud autora pomnożył ich ilość i włączył do charakterystyki i omówień różnych gatunków. Dotarcie do cymeliów podnosi wagę opracowania. Będzie ono walną pomocą w ustalaniu hierarchii twórców, wartości artystycznej ich utworów, powiązań i zasięgu ich wpływów. Będzie też, niewątpliwie, zachętą do publikowania rozproszonych lub przemilczanych utworów.

„Literatura polska w latach II Wojny Światowej” zasługuje na pochwałę nie tylko ze względu na rzeczowość i bezstronność opracowania ale także język i jasność sformułowań sprawiającą, że ma szansę dotarcia do szerokiego grona „zwykłych” czytelników. Służyć będzie niewątpliwie jako podręcznik uniwersytecki i znajdzie się w bibliotekach podręcznych polskich i sławistycznych, zwłaszcza jeśli będzie rozprowadzana lepiej, niż to się obecnie praktykuje (to znaczy: zaniebduje).

Wreszcie zewnętrzny kształt „Literatury”: przejrzysty układ, znakomite indeksy i wskazówki bibliograficzne, zwarte objaśnienia i wspaniale dobrane przez Szczepana Gąssowskiego ilustracje.

Feijó, Portugalia
6 kwietnia 1997

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Badania kresoznawcze

Omawiając mechanizmy pamięci ujawniające się w literaturze, Marek Zaleski zauważa: „Im bardziej staramy się przeszłość ocalić, tym bardziej – paradoksalnie – staje się ona obca i niezrozumiała. Wiedzona impulsem i chęcią pamięci literatura zamiast obrazu przeszłości tworzy sztuczne raje, świat kolekcjonera sentymentalnych pejzaży i barwnych anegdot. I autor, i jego czytelnicy poruszają się w nim niczym grupa turystów z przewodnikiem – czy nie tak jest we wspomnieniach Wittlina, powieściach Kuśniewicza, Paźniewskiego, Szewca, albo w ‘Bohini’ Tadeusza Konwickiego?” Na to pytanie wypada odpowiedzieć twierdząco. Dawne Kresy wschodnie – bo literatury poświęconej temu obszarowi dotyczy uwaga Zaleskiego – pojawiają się w naszej literaturze współczesnej jako przetworzona w mit rzeczywistość. Jest to proces w gruncie rzeczy oczywisty: utrata najczęściej prowadzi do idealizacji, to nieuniknione. Z drugiej strony właśnie Kresy – odgrywające w naszej tradycji rolę nieprzecenioną – muszą stać się obszarem ów mit produkującym. Rozpoznanie jego zawartości to także ważna funkcja kultury, która bez przerwy musi sprawdzać swe wizje, rzadziej odnosi się ona do literatury samej, częściej do badań nad literaturą. Problematyka kresowa w ostatnich latach staje się w tych badaniach zjawiskiem coraz żywiej obecnym. Są dwa podstawowe ośrodki, w których jest systematycznie podejmowana. Pierwszy znajduje się we Wrocławiu: tu wydano dwa tomy poświęcone tym zagadnieniom – zbiór esejów Jana A. Choroszego „Huculszczyzna w literaturze polskiej” (1991) oraz zredagowany przez niego i Jacka Kolbuszewskiego zbiór prac „Świat Vincenza” (1992) stanowiących plon sesji poświęconej twórczości tego twórcy. Kolbuszewski jest też autorem przeznaczonej dla szerszej publiczności książki „Kresy” (1995) opublikowanej nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego w serii „A to Polska właśnie”.

Drugi ośrodek ukształtował się przy Uniwersytecie Szczecińskim. Kierujący pracami Zakładu Literatury Polskiej XX wieku Bolesław Hadaczek nie tylko sam opublikował monografię poświęconą temu piarstwu („Kresy w literaturze

polskiej XX wieku”), uzupełnioną antologią stanowiącą jego szeroką i głęboko historycznie zakorzenioną panoramę (oba tomy omawiałem na łamach *Kultury*), lecz także stworzył forum pozwalające na pogłębienie prac badawczych – jest nim seria zeszytów Szczecińskich Prac Polonistycznych, zatytułowana „Kresy w literaturze”. Ukazało się dotąd pięć zeszytów omawiających zarówno twórczość poszczególnych autorów – bardziej lub mniej znanych: Józefa Łobodowskiego, Artura Sandauera, Jarosława Iwaszkiewicza, Zygmunta Haupta czy Włodzimierza Odojewskiego, ale także Józefa Bursewicza, Marii Rodziewiczówny, Łesi Ukrainki czy Michała Czajkowskiego. Nie brak tu też opracowań problemowych, jak choćby szkic Mirosławy Kozłowskiej o regionalizmie w prasie wileńskiej w latach 1923-1939 lub praca Kazimierza Długosza poświęcona słownictwu i frazeologii piosenek lwowskich. To, rzecz jasna, jedynie wybrane tematy, które odnaleźć można na kartach tej serii publikacji. Podejmowane są tu też problemy czysto teoretyczne – jak choćby w rozprawie Hadaczka „Wyznaczniki kresowości (kresowizmy)”. Nie ulega wątpliwości, że właśnie ośrodek szczeciński wykazuje w badaniu literackiej problematyki kresowej niezwykłą wprost dynamikę – tym bardziej, że zagadnieniom tym poświęcono szereg prac magisterskich i doktorskich, jak choćby niedawno opublikowana rozprawa Ingi Iwaszów „Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego” (1994). Można zasadnie przypuszczać, że właśnie w tym ośrodku dojdzie w najbliższym czasie do publikacji dalszych ważnych rozpoznań tej literatury.

Nie znaczy to, że problematyka kresowa pojawia się jedynie w Szczecinie i we Wrocławiu. Warto w tym kontekście wspomnieć też o zredagowanym przez Eugeniusza Czapplewicza i Edwarda Kasperskiego tomie „Kresy w literaturze. Twórcy dwudziestowieczni” (1996), w którym znajdujemy nie tylko szkice o poszczególnych pisarzach, ale też esej Czapplewicza „Czym jest literatura kresowa”, stanowiący m.in. próbę podsumowania dotychczasowego stanu badań w tej dziedzinie. Nie bez znaczenia pozostaje też monografia francuskiego slawisty Daniela Beauvois „Walka o ziemię. Szlachta polska na Ukrainie prawobrzeżnej pomiędzy caratem a ludem ukraińskim 1863-1914” (1996) wydana nakładem Fundacji Pogranicze w Sejnach.

Wszystkie te publikacje zdają się wskazywać, że właśnie lata dziewięćdziesiąte – nie tylko za sprawą zniesienia w kraju

cenzury – przyczyniły się do ożywienia samej literatury problematyką kresową, lecz także spowodowały gwałtowny wzrost zainteresowań badawczych tej literaturze poświęconych. Jest to o tyle istotne, że dziedzictwo Kresów stanowi jeden z najbardziej oddziałujących na wyobraźnię elementów naszej kultury narodowej. Nie można badań nad tą literaturą zredukować wyłącznie do opisu jakiejś kolekcji. Jak bowiem pisze w szkicu „Naprzód w przeszłość” wchodzącym w skład jego tomu „Formy pamięci” i rozpatrującym konsekwencje obecności Kresów w literaturze cytowany już Marek Zaleski: „Jakiż więc wniosek końcowy? Otóż taki, że zapisana w tekstach literackich pamięć tego regionu, rozpatrywana w obu przypadkach jako przykład stosunku do tradycji i jako przykład stosunku do przeszłości, okazuje się inspirującym anachronizmem. W obu wypadkach, poddana procedurze postępowania badacza, jawi się ostatecznie pod postacią paradoksu polegającego na tym, że im doskonalsze techniki utrwalania przeszłości, im lepszy dostęp do niej, tym bardziej obraz przeszłości staje się problematyczny i tym większa na tym tle powstaje erozja teraźniejszości”. Jak dalece zasada ta jest uniwersalna pokaże przyszłość.

Leszek SZARUGA

Stasi w oczach polskich historyków

Nakładem Wydawnictwa FAKT ukazała się niedawno książeczka „PRL w oczach Stasi” a ściślej II tom tej pracy, obejmujący głównie dokumenty z lat 1980-1981. Tom I, opublikowany w 1995 r., sprawiał wrażenie dość przypadkowego wyboru materiałów z archiwów Stasi z różnych lat (1971, 1980-82), a jego wartość informacyjną pomniejszał dodatkowo fakt, że większość nazwisk, występujących w dokumentach, utajniono. Autorzy pracy – Włodzimierz Boro-

dzie i Jerzy Kochanowski z Uniwersytetu Warszawskiego – tłumaczyli wówczas ten stan rzeczy wstrzeźliwością Urzędu Gaucka w udostępnianiu akt dotyczących Polski oraz przesadną anonimizacją danych osobowych, zastosowaną przez archiwistów Urzędu. W II tomie autorzy dziękują pracownikom tej instytucji za pomoc okazaną w czasie badań. W październiku ubiegłego roku ukazał się w *Polityce* artykuł Stanisława Podemskiego, który sugerował, że dokumenty ujawniane przez Urząd Gaucka służą dezorientacji polskiej opinii publicznej i wywołują jej wzburzenie. Według *Polityki* kontakty historyków z Uniwersytetu Warszawskiego z placówką Joachima Gaucka stały się z winy strony niemieckiej „anemiczne” i niewiele dały.

Pomimo tej niezbyt jasnej sytuacji wydaje się jednak, że liczne mankamenty tomu i zawarte w nim błędy, powstały za sprawą autorów i wydawcy. Już sama okładka książki może symbolizować zasadnicze nieporozumienie, które tworzy jej treść. Otóż tytuł opatrzony jest godłem państwowym NRD, choć bardziej logiczne byłoby umieszczenie na okładce emblematu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MfS), skoro książka ma zawierać materiały dotyczące PRL a powstałe w tym resorcie. Tak jednak nie jest: spośród 20 dokumentów, zamieszczonych w tomie, zaledwie osiem – to materiały sporządzone przez Stasi i dotyczące sytuacji w Polsce w latach 1980-81, przy czym zaledwie trzy – to oceny aktualnych wydarzeń w PRL, czyli właściwie to, co sugeruje tytuł pracy. Paradoksalnie, wybór archiwaliów opublikowany przez Borodzieja i Kochanowskiego to raczej „PRL w oczach PZPR” a ściślej jej przedstawicieli, należących do nurtu marksistowsko-leninowskiego. Do materiałów tego rodzaju należy przecież zaliczyć publikowany w I części książki fragment informacji o rozmowach wiceministra bezpieczeństwa państwa generała Wolfa z delegacją polskiego MSW (Stachura, Milewski, Słowikowski); towarzysze z PRL przedstawiają sytuację w kraju i działania podejmowane przez „organy”.

Oczywiście nieadekwatność tytułu (ma on zapewne przyciągnąć nabywców) to sprawa drugorzędna. Autorzy są świadomi, że dokumenty b. NRD są cennym uzupełnieniem źródeł polskich, które – jeśli chodzi o materiały archiwalne –

są bardzo fragmentaryczne. Problem polega na niestarannym wydaniu tomu i zaniedbaniu kwerendy w innych zbiorach archiwalnych, głównie w archiwach SED. Widoczne jest to zwłaszcza w II, nb. najciekawszej części pracy, która zawiera materiały związane z IX Zjazdem PZPR. Borodziej i Kochanowski natrafili bowiem na dokumenty, które wnoszą wiele istotnych informacji do ciągle jeszcze niepełnego obrazu sytuacji w partii w 1981 r. i wpływu „bratnich państw” na wydarzenia w Polsce.

Na moskiewskim spotkaniu przywódców KPZS, KPCz i SED, które odbyło się 16 maja 1981 r. i było poświęcone sytuacji w PRL w związku ze zbliżającym się zjazdem PZPR, postanowiono wzmocnić poparcie dla „zdrowych sił” w polskiej partii i w ten sposób doprowadzić do bardziej zdecydowanej walki z „Solidarnością”. Celowi temu miała służyć intensyfikacja kontaktów z wybranymi towarzyszami z PZPR. Publikowane w książce dokumenty są głównie wynikiem rozmów, które przedstawiciele SED prowadzili z partnerami z polskiej partii. Dodać trzeba, że rozmowy te trwały aż do ogłoszenia stanu wojennego a prowadzili je także reprezentanci KPZS i KPCz, przy czym, w tym ostatnim wypadku, nie są dotychczas znane odpowiednie dokumenty. Kontakty te skupiały się merytorycznie i chronologicznie na dwóch problemach: zbliżającym się IX Zjeździe PZPR (swego rodzaju „uwerturą” było XI plenum KC i podjęta na nim przez Grabskiego próba puczu), zaś po negatywnym, z punktu widzenia bratnich partii, przebiegu Zjazdu – konieczności usunięcia Kani i zastąpienia go działaczem, który byłby gotów do „zdecydowanej walki z kontrrewolucją”. Okazał się nim Wojciech Jaruzelski, który objął stanowisko I sekretarza 18 października 1981 r. Jak wynika z rozmowy członka sowieckiej speckomisji d/s Polski Rusakowa z Honeckerem 21 października, stało się to właśnie w wyniku „konsultacji” z „pozytywnymi siłami” z PZPR i działań tychże sił, wspieranych przez towarzyszy z bratnich partii. Skutków zmiany na stanowisku szefa PZPR nie trzeba przypominać. „Konsultacje”, prowadzone od maja 1981 r., były zatem podstawowym czynnikiem ingerencji sąsiednich państw w sprawy wewnętrzne PZPR i tym samym odegrały decydującą rolę w doprowadzeniu do podjęcia walki „w obronie socjalizmu” w PRL.

Autor wstępu do II części omawianego tomu – Jerzy Kochanowski, nie docenia tego kontekstu historycznego. Jest to zapewne rezultatem pominięcia innych dostępnych źródeł, głównie dokumentów SED. Stąd też liczne błędy we wprowadzeniu do drugiej części książki. Sprawia ono wrażenie, że autor nie zdaje sobie nawet sprawy, iż publikuje materiały wschodniemieckiej partii, a nie Stasi. SED przekazywała *ex officio* MfS dokumenty istotne dla tego ministerstwa. Podobnie postępowały inne resorty, np. Ministerstwo Spraw Zagranicznych czy Ministerstwo Obrony. Informowano również „w drugą stronę”; a w archiwach SED znajdujemy materiały Stasi i innych resortów. Błędne jest zatem twierdzenie Kochanowskiego, że prezentowane w książce zapisy z rozmów z funkcjonariuszami PZPR znalazły się tylko w archiwach MfS. Również niezgodna z faktami jest informacja, że materiały na temat tych rozmów znikają z archiwów SED w czerwcu 1981 r., by pojawić się tam ponownie dopiero jesienią. W oparciu o te błędne przesłanki autor stawia dość fantastyczną hipotezę, jakoby Stasi przejęła od początku czerwca 1981 r. inicjatywę i kontrolę nad kontaktami z przedstawicielami PZPR. Można tu zauważyć rozpowszechnioną w Polsce tendencję do demonizowania Stasi. W rzeczywistości w systemie politycznym NRD podział ról był jasny i wyraźnie przestrzegany; ośrodkiem odpowiedzialnym za kontakty z „bratnimi partiami” były władze SED; tam też kierowano sprawozdania z „konsultacji”.

Jerzy Kochanowski sięgał głównie do pracy Michaela Kubiny i Manfreda Wilke: „Hart und kompromisslos durchgreifen. Die SED contra Polen 1980/81”, zawierającej cenny wybór dokumentów z archiwów NRD, czytał jednak niezbyt uważnie. Wspominając naradę na Kremlu 16 maja 1981 r., przypisuje Breżniewowi wymienienie Grabskiego i Olszowskiego jako „działaczy, na których można liczyć”. W rzeczywistości – jak wynika z dokumentu opublikowanego przez autorów niemieckich – Breżniew mówił, że „niektórzy towarzysze uważają, iż Olszowski i Grabski to ludzie, na których można się oprzeć”, natomiast sam sekretarz generalny dystansował się od tej opinii.

W omawianym tomie zamieszczono także dwa listy do wydawcy, autorstwa Stanisława Cioska i Zbigniewa Pudysza.

Szczególnie dziwi pozostawienie bez komentarza wywodów generała Pudysza, który wprowadza w błąd czytelnika. Były wiceminister spraw wewnętrznych twierdzi, że Urząd Gaucka przejął po MfS „dosłownie wszystko”. Tymczasem do tej pory nie jest znany los materiałów Głównego Zarządu Wywiadu MfS, wiadomo jedynie, że na pewno nie ma ich w Urzędzie Pełnomocnika Federalnego d/s Akt Stasi. Opisano również zainscenizowaną w listopadzie 1989 r., zapewne przez funkcjonariuszy Stasi (zwała się ona wówczas już „Nasi”: *Amt für Nationale Sicherheit*), akcję „szturmu” na siedzibę ministerstwa: w rzeczywistości demonstrantów wpuszczono do budynku, w którym znajdowali się już osobnicy wyglądający jak pravicowi ekstremiści, zaś z górnych pięter „nieznani sprawcy” zrzucali pozbawione większego znaczenia akta. Po odpowiednim przedstawieniu „zagrożeń” przez media NRD, budynek ponownie zamknięto; naprawdę ważne dokumenty usunięto już zawczasu.

Sumienności autorów nie wystawiają najlepszego świadectwa liczne błędy w nazwiskach, w dodatku osób powszechnie znanych. Dla przykładu Andrzej Kurz (nie Kurc) – członek kierownictwa Radiokomitetu, swego czasu dyrektor Wydawnictwa Literackiego w Krakowie; Józef Żyto (nie Żyta) – zastępca Prokuratora Generalnego PRL, aktywny w zwalczaniu opozycji demokratycznej; Friedrich Dickel (nie Dieckel) – minister spraw wewnętrznych NRD; współautor cytowanego wielokrotnie wyboru dokumentów SED nazywa się Manfred (nie Martin) Wilke. Wiele pozostawia do życzenia indeks osób: zupełnie niezrozumiałe są kryteria podawania imion i podstawowych danych biograficznych wymienionych postaci; nie ma ich właśnie przy nazwiskach działaczy mniej znanych, zwłaszcza polskiemu czytelnikowi. W wypadku kilku dokumentów brak jakichkolwiek informacji o osobach w nich występujących.

Podobny brak logiki charakteryzuje zamieszczony na końcu tomu wykaz skrótów, mało pomocny przy lekturze książki. Autorzy wprowadzają bowiem zupełnie dowolnie nowe skróty, obce językowi polskiemu, czasami wręcz zastępują nimi od dawna przyjęte i zrozumiałe abrewiacje. Można się wprawdzie domyślić, że RL to „Rzeczpospolita Ludowa”, gorzej jednak z „NSPJ”, skrót, którego daremnie

szukać w końcowym wykazie, występuje już na stronie 6. książki, lecz dopiero dalsza lektura pozwala zrozumieć, że chodzi po prostu o SED. Brak na liście skrótów „VEB”, autorzy tłumaczą natomiast, że „NRD” to „Niemiecka Republika Demokratyczna”. Nie każdy czytelnik domyśli się od razu, że „MBP” to to samo co Stasi. W dokumentach kilkakrotnie pojawia się błędne i mylące tłumaczenie „Volksrepublik Polen” jako „Rzeczpospolita Polska” (zamiast „Polska Rzeczpospolita Ludowa”).

Autorzy mają również kłopoty z polską ortografią i gramatyką. Szczególnie wiele trudności sprawia im łączna bądź rozdzielna pisownia partykuły „nie” z poszczególnymi częściami mowy, czy też poprawna pisownia cząstki „by”. Ilość błędów (niekiedy po kilka na jednej stronie) przekracza statystyczną średnią w polskich publikacjach, która w ostatnich latach szybko wzrasta. Rażą językowe nieporadności: „z rozmów wynikało wrażenie...”, „O przebiegu konferencji Golis poinformował, że udało się w istotny sposób zejść na zasadniczy kurs”. Bez wątplenia wydawca winien stworzyć etat korektora. Nie sądzę, aby miał trudności finansowe, bowiem książeczka formatu damskiej chusteczki do nosa i objętości 180 stron kosztuje w warszawskich księgarniach 19 złotych. W dodatku druk wsparła niemiecka Fundacja Konrada Adenauera.

Autorzy zapowiedzieli na przyszły rok wydanie III tomu „PRL w oczach Stasi”, który ma zawierać dokumenty z drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Miejmy nadzieję, że przygotowując kolejną publikację, zechcą uwzględnić przynajmniej część powyższych uwag.

Wanda POLAK

Nadane nowości wydawnicze

- SZENTALINSKI (Witalij). *Wskrzyszona słowo*. Z „archiwów literackich” KGB. Str. 432, 16 str il. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- NAŁKOWSKA (Zofia). *Dzienniki 1939-1944*. Tom V. Oprac., H. Kirchner. Str. 700. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki powojenne 1945-1965*. T. 3. Wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski. Str. 464. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki powojenne 1945-1965*. T. 4. Str. 413. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- LEWICKA (Krystyna), OSIŃSKA (Barbara). *Poczet artystów polskich i w Polsce działających*. Str. 525. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1996.
- LEWIN (Aleksander). *Gdy nadchodził kres...* Ostatnie lata życia Janusza Korczaka. Str. 182. Wydawnictwa szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1996.
- Słownik pseudonimów pisarzy polskich XV w. – 1970 r.* Tom IV A-Z. Nazwiska. Opracował zespół pod redakcją Edmunda Jankowskiego. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1996.
- Lament nad Sarajewem*. Siedmiu poetów Bośni. Wybór, przekład i słowo wstępne Julian Kornhauser. Str. 143. Wyd. Biblioteka Krasnogrudy, Szczecin 1966.
- WITTELS (Małgorzata). *Album z podkową*. Str. 157. Towarzystwo Przyjaciół Miasta-Ogrodu Podkowa Leśna, 1996.
- KAPPELER (Andreas). *Petite histoire de l'Ukraine*. Str. 223. Seria: Cultures & Sociétés de l'Est nr 26. Wyd. Institut d'Études Slaves, Paris 1997.
- Szybko i szybciej*. Eseje o pośpiechu w kulturze. Red. D. Siwicka, M. Bieńczyk, A. Nawarecki. Str. 226. Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1996.
- WŁODARCZYK (Hélène). *L'aspect verbal dans le contexte en polonais et en russe*. Str. 240. Wyd. Institut d'Études Slaves, Paris 1997.
- POTOCKI (Wacław). *Muza polska*. Na tryumfalny wjazd najjaśniejszego Jana III. Wyd. Adam Karpiński. Seria: Biblioteka Piarszy Staropolskich, Tom 4. Str. 129. Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Stowarzyszenie „Pro Cultura Litteraria”, Warszawa 1996.
- NOWARA (Lesław). *Trzecie oko*. Str. 51. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1996.
- BOCHENSKI (Aleksander). *Dzieje głupoty w Polsce*. Pamflety dziopisarskie. Str. 371. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1996.
- LÓW (Ryszard). *Hebrajska obecność Juliana Tuwima*. Szkice literackie. Str. 74. Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 1996.
- BARAN (Adam F.). *Bibliotekarz z Dzikowa*. Dr Michał Marczak (1886-1945). Str. 112. Wydawnictwo Diecezjalne, Sandomierz 1996.
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Województwo braclawskie. Tom 10. Str. 573. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1996.

- Życie w pasji i działaniu*. Książka z okazji osiemdziesięciolecia prof. dra Witolda Niecińskiego. Str. 156. Wydawnictwo Książkowe „Linia”, Warszawa 1996.
- Temps de paix – temps de guerre*. *Les artistes polonais a Paris 1900-1918*. Paris octobre 1996 – janvier 1997. Katalog.
- Lubelscy sentymentalisci*. Arek Kobus, Wojtek Kozak, Kazik Malinowski, Jarek Suszek. Str. 152. Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996.
- STOPYRA-GAWROŃSKA (Jani-na). *Bez dzieciństwa*. Str. 172. Wyd. IWAR, Warszawa 1997.
- Wszyscy jesteśmy pociągiem*. Formacja Szesnaście, nr 1-1996. Str. 63. Kraków.
- Uwolnić mrożone truskawki*. Formacja Szesnaście, nr 2-1996. Str. 65. Kraków.
- Deszcz róż*. Formacja Szesnaście, nr 3-1996. Str. 67. Kraków.
- Cień Sanderusa*. Formacja Szesnaście, nr 4-1996. Str. 67. Kraków.
- HERLING (Gustaw). *Das venezianische Porträt*. Erzählungen. Str. 300. Wyd. Carl Hanser Verlag, München, Wien 1996.
- Klub Sc/h/alonych Twórcuff. *Poszukujący*. Almanach. Str. 88. Nakładem Kluczberskiego Domu Kultury, 1996.
- ZAREMBA (Charles). *Le dialogue de maître Polycarpe avec la mort*. Et autres textes macabres polonais. Seria Cultures & Sociétés de l'Est nr 29. Str. 118. Wyd. Institut d'Études Slaves, Paris 1997.
- CHODUBSKI (Andrzej). *Wstęp do badań politologicznych*. Str. 151. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1995.
- W kręgu cywilizacji europejskiej*. Praca ofiarowana Profesorowi Andrzejowi Piskozubowi w 40-lecie pracy naukowej. Str. 191. Wydawnictwo Adam Marszałek i Uniwersytet Gdański, 1996.
- Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*. Kontynuacja. Red. A. Brodzka i L. Burska. Str. 245. Wyd. Instytut Badań Literackich, Warszawa 1996.
- DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Książka i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii*. Szkice. Str. 230. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- Słownik stereotypów i symboli ludowych*. Tom. *Kosmos*. Niebo, światła niebieskie, ogień, kamienie. Red. J. Bartmiński. Str. 439. Wyd. UMCS, Lublin 1996.
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Błogosławiona, święta*. Str. 35. Wyd. UMCS, Lublin 1996.
- ORŁOŚ (Kazimierz). *Święci tańczą na łąkach*. Str. 35. Wyd. UMCS, Lublin 1996.
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Bój z tobą, synu...* Str. 34. Wyd. UMCS, Lublin 1996.
- MICH (Włodzimierz). *Między integralizmem a liberalizmem*. Polscy konserwatyści wobec kapitalizmu. Str. 370. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- RUDIUK (Maria Magdalena). *Cate to niewszystko*. Str. 126. Wyd. Norbertinum, Lublin 1997.
- KOCIUBA (Grzegorz). *Budzenie się twarzy*. Str. 63. Wyd. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne Fraza, Rzeszów 1997.
- O'GRADY (Desmond). *Punkt zwrotny*. Chryścijaństwo przed i po obaleniu Muru Berlińskiego. Str. 220. Wyd. Veritas Foundation Publication Centre. Londyn, Oficyna Wydawnicza „4K”, Bytom 1997.
- BYSTRZYCKI (Przemysław). *Znak cichociemnych*. Str. 259. Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1991.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

10.3.97

W Warszawie odbyło się posiedzenie Rady Programowej Fundacji Wspierania Współpracy Polsko-Litewskiej im. Adama Mickiewicza. Fundacja ta powstała z inicjatywy Prezydenta RP. A. Kwaśniewskiego i prezydenta Litwy, Algirdasa Brazauskasa. Po stronie polskiej prezesem Fundacji jest minister Wojciech Lamentowicz, po stronie litewskiej szef Kancelarii prezydenta A. Mieškauskas. Przewodniczącym Rady Programowej został Ignacy Rutkowski a jego zastępcą Leon Brodowski. W tym roku Fundacja będzie finansować konferencję w Wilnie o współistnieniu narodów Europy Wschodniej i Północnej oraz dni kultury polskiej organizowane przez Instytutu Kultury Polskiej w Wilnie. Ponadto ustalono udzielanie corocznie dwóch stypendiów dla „młodych talentów” z Litwy chcących studiować w Polsce. Analogiczne stypendium będzie udzielane przez stronę litewską dla studentów z Polski. Projektuje się ponadto edycję dzienników rektora Michała Romera.

20.3.97

Jacek Bocheński został wybrany prezesem Polskiego PEN Clubu. Wcześniej był jego wiceprezesem.

3.4.97

Minister obrony narodowej, Stanisław Dobrzański, zadeklarował, że Polska przygotowuje batalion dla rezerwy strategicznej międzynarodowych sił stabilizacyjnych SFOR. Jak dotąd, tylko Polska zadeklarowała zgodę na przygotowanie batalionu. Obecnie 17.000 polskich żołnierzy bierze udział w 17 misjach pokojowych. Najwięcej, ok. 1.100 podlega ONZ, reszta w misjach OBWE i SFOR. Polacy są obecni w 14 krajach: m.in. Libanie, Iraku, Kuwejcie, Zach, Saharze, Gruzji, Tadżykistanie, Angoli, Abchazji. Ten udział jest bardzo kosztowny, gdyż ONZ pokrywa wydatki, ale normalnie z wielkim opóźnieniem, nawet do 3 lat, natomiast misje NATO i OBWE obciążają wyłącznie Polskę.

10.4.97

Wisława Szymborska przekazała 100 tys. dolarów z Literackiej Nagrody Nobla na stworzenie funduszu wspomagającego osoby i instytucje podejmujące szczególnie wartościowe działania społeczne. W skład kapituły funduszu oprócz poetki weszli: Jacek Kuroń, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz, Janina Ochojska i siostra Małgorzata Chmielewska. Raz w roku kapituła funduszu rozpatrywać będzie honorowy tytuł społecznika

roku. Wyróżnione tym tytułem osoby lub instytucje otrzymają dotacje na prowadzoną przez siebie działalność społeczną.

10.4.97

Na spotkaniu prezydenta Kwaśniewskiego z członkami Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za granicą dyskutowano konieczność utworzenia centrum koordynującego działalność wszystkich instytucji rządowych i pozarządowych oraz środowisk społecznych zajmujących się sprawami Polonii. Taki ośrodek – zdaniem członków komisji – powinien powstać przy urządzeniu prezydenta. Zdaniem prezydenta kwestia ustalenia trybu konsultacji i koordynacji przedstawicieli resortów rządowych „Wspólnoty Polskiej”, komisji sejmowych, senatu i organizacji społecznych jest sprawą priorytetową.

16.4.97

Stynny wiolonczelista, Mścisław Rostropowicz, wystąpił w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Poprzedniego dnia otrzymał doktorat *honoris causa* Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina i został udekorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP. ■ Thomas Venclova, litewski poeta i działacz praw człowieka został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP.

17.4.97

Lidzbarski Dom Kultury organizuje obiady na wzór obiadów czwartkowych króla Stanisława Augusta. Kolejny obiad czwartkowy będzie poświęcony Józefowi Czapskiemu. Prelegentem będzie prof. Janusz Marciniak z Poznania. Materiały dotyczące twórczości Józefa Czapskiego przygotowano przy pomocy redakcji *Kultury*.

26.6.97

W dawnym klasztorze w Wigrach koło Suwałk odbędzie się spotkanie ludzi kultury na temat: „Kultura litewska i kultura polska – podobieństwa i różnice”. Organizatorami są: redakcja miesięcznika *Kulturos Barai* z Wilna i redakcja kwartalnika *Lituania* w Warszawie, pod patronatem litewskiego i polskiego komitetów UNESCO, z udziałem Czesława Miłosza i Thomasa Venclovy.

ZACHÓD

17.2.97

Zmarł w Paryżu w wieku 76 lat Jerzy Nomarski, dyrektor badań naukowych CNRS w Paryżu, profesor Wyższej Szkoły Optycznej.

15.3.97

W Wiedniu odbyło się III Walne Zebranie Wspólnoty Polskich Organizacji „Forum Polonii w Austrii”. Wybrano nowy zarząd na następną dwuletnią kadencję. Prezesem został inż. J.S. Tomaszewski. „Forum Polonii” zrzesza 30 (na istniejących 33) środowisk polonijnych w Austrii, co stanowi prawie 90% zamieszkałych tam Polaków.

30.3.97

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat Tadeusz Żencykowski-Zawadzki, wybitny działacz niepodległościowy. Po wojnie zastępca dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. ■ Zmarła we Francji Janina Penner-Brochwicz, z domu Wojakowska, znana aktorka scen warszawskich w latach 1935-1938.

11.4.97

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór ku czci śp. Artura Międzyrzeckiego. O twórczości zmarłego poety mówił Krzysztof Pomian, a wiersze jego, jak również własne, czytała Julia Hartwig-Międzyrzecka.

12.4.97

Zmarła w Londynie Tamara Karren-Zagórska, poetka, dramaturg, krytyk teatralny, wdowa po Wacławie Zagórskim.

24.4.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. Uniwersytetu Poznańskiego Macieja Serwańskiego na temat „Henri de Valois: un prince français sur le trône de Pologne”.

28.4.97

W Centre des Civilisations Polonaises na Sorbonie odbył się odczyt prof. Andrzeja Rottermunda, dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie, na temat „Warszawa – narodziny stolicy 1596-1668”.

8.5.97

Na uniwersytecie Paris-Sorbonne odbył się wieczór autorski Natalii Gorbaniewskiej, znanej poetki rosyjskiej.

15.5.97

Na terenie Szkoły Wojskowej St. Cyr-Coëtquidan przy współudziale przedstawicieli władz francuskich i polskich odsłonięto tablicę upamiętniającą formowanie polskich jednostek wojskowych w Coëtquidan w latach 1917-1918 i 1939-1940.

List do Redakcji

Rzeszów 18.03.1997

Czcigodny Panie Redaktorze,

Ponieważ Pani Anna Strońska w swoim wnikliwym artykule „Lachy i rezuny” (nr 9/588) zechciała się powołać na wyniki moich badań, ośmielam się zabrać głos, by przedstawić własną opinię na temat antagonizmu polsko-ukraińskiego.

Sądzę, że konflikt przemyski jest wyrazem niepokoju, który od końca II wojny światowej nurtuje z większą lub mniejszą siłą tutejszą ludność. To tutaj w końcu lat siedemdziesiątych pojawiła się pogłoska – wzbudzając panikę – o zamierzonej ponownej korekcie granic wschodnich. W latach dziewięćdziesiątych podejrzewa się Ukraińców o chęć przejścia Przemysła. O tym że takie twierdzenia są przyjmowane poważnie świadczy uchwalony swego czasu przez Radę Miasta Przemysła apel o wyłączenie Ukraińców z procesu reprivatyzacji.

Główną przyczynę upatrywałbym w braku poczucia stabilności i zakorzenienia mieszkańców. Lecz nie przypisywałbym tego tylko pamięci o akcjach UPA. Swoją rolę odegrało również i polskie wojsko. Niechęć i nienawiść do Ukraińców przynieśli też uciekinierzy i przesiedleńcy ze Wschodu. Panujący przez prawie pół wieku system polityczny nie sprzyjał stworzeniu z różnych grup społecznych i etnicznych wspólnoty; a raczej kultywowaniu (w zaciszu domowym) wzajemnych urazów i niechęci. Wolność słowa sprawiła, że owe urazy i niechęci wyszły na powierzchnię życia.

Nie znaczy to, że na terenie całej Rzeszowszczyzny mamy do czynienia z podobnymi problemami. Wymieniony przez Pana Piotra Tymę Jarosław jest dobrym przykładem harmonijnego współżycia mieszkańców niezależnie od ich narodowości. Tłumażyłbym to faktem, że społeczność Jarosławia nie ucierpiała tak bardzo w wyniku ruchów ludnościowych po drugiej wojnie światowej. Nie została tam złamana przez przyjazd obcych tkanka społeczna. Dlatego Ukraińcy zachowali status „swoich” i ich obecność w mieście nie budzi zastrzeżeń.

Co zrobić aby przełamać zastój w stosunkach polsko-ukraińskich? Moim zdaniem, należy się poddać swego rodzaju terapii psychoanalitycznej: trzeba wszystkie owe straszne wydarzenia wydobyć na światło dzienne i przeprowadzić ogólnonarodową polsko-ukraińską dyskusję. Oczywiście, wcześniej należy uzgodnić punkt widzenia na owe kwestie. Propozycja pana Wiktora Poliszczuka, że naród ukraiński nie odpowiada za zbrodnie wojenne, bo UPA stanowiła jedynie 2% ludności ukraińskiej, nie może być przyjęta przez naszego partnera. To jakby Polska dla polepszenia stosunków z Litwą musiała potępić nie tylko gen. Żeli-

gowskiego lecz także i całą wileńską Armię Krajową. Sądzę też, że nie można wiązać problemów wynagrodzenia krzywd mniejszości ukraińskiej w Polsce z kwestią stosunków ze wschodnim sąsiadem. Ukraińcy mieszkający w Polsce są obywatelami polskimi i jako tacy posiadają prawa które państwo polskie powinno respektować.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Jerzy JESTAL

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Wioletta D., Polska – Sformułowania powiadamiające, że „wiersza dźwięk tłucze się po myśli” wydają się bezceremonialne, choć oczywiście, Pani postulat, by poeci okazywali poczucie humoru jest słuszny – szkoda, że wyrażony w formie dość nieporadnej.

Jerzy J., Polska. – Trochę Pan jednak przesadza roztaczając wizję przemiany generałów i sekretarzy w świętych – i czarny humor ma swe granice. Rymowana publicystyka nie zwalnia od rygorów logicznego myślenia. I, rzecz jasna, dbałości o oryginalność obrazu.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1997.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1997

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6. tel.: (613) 789-8260. fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.

Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 497 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIEWIĘTNASTY

zawiera opracowania: „Znicz” (Gen. T. Bór-Komorowski): *Wytyczne społeczno-polityczne na okres powstania*; M. Jackiewicz: *Impresje białoruskie*; T. Mianowicz: *Rok 1981: mity i rzeczywistość*; *Spotkanie z Adamem Mickiewiczem – Aleksander Herzen i Władysław Mickiewicz*; Mirosław Adam Supruniuk: *Bibliografie emigracyjne*; *Sprawa Żydów – obywateli polskich w świetle oficjalnych dokumentów oraz praktyki władz radzieckich*; Prof. St. Kot: *Stosunki Ambasad RP w ZSRR z wojskiem (do wiadomości gen. Andersa)*; M. Szeskin, M. Kahan: *Memoriał do gen. Andersa*; J. Osica, A. Sowa: *Rozmowa z Andrzejem Ajnenkielem*; W. Kempfi: *Moje lata uniwersyteckie*; M.M. Drozdowski: *Dziennik doktoranta z 1956 r.*; J.J. Milewski: *Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923*; St. Jankowiak: *Sprawa ekstradycji dowódcy Brygady Świętokrzyskiej płk. A. Dąbrowskiego – „Bohuna”*; K. Zamorski: *Epilog dwóch tajnych biur 2 Korpusu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240

Cena F. 90,00